

Krystyna Baraniak

II / 2434

SYBIRSKI SZLAK  
~~SYBIRSKA ODYSEJA~~

Mojej Matce, Siostrom oraz Bratu  
- z podziękowaniem za wspomnienia,  
które umożliwiły powstanie tej książki

Warszawa 1991

© ARCHIWUM WARSZAWY

## Od autora

Mimo sfabularyzowanej akcji, praca ta stanowi dokument. Wszystko, co w niej zawarte, zdarzyło się naprawdę, zaś główni bohaterowie żyją dotychczas. Ich dzieje, dzieje deperutowanej w latach 1940-1946 rodziny oraz powiązane z ich przeżyciami dramaty innych postaci są autentyczne.

Zachowując nazwy geograficzne, zmieniłam jedynie imiona własne ludzi.

Nieścisłości fabuły mogą się zdarzyć, lecz tej jedynie natury, że jakiś epizod mógł mieć miejsce wcześniej lub później, co wynika z przyczyn warsztatowych.

Pragnąc wyjść na przeciw ewentualnym zarzutom zamierzonego wyeksponowania wątku religijnego, jak również innych, niezwykłych, okoliczności towarzyszącym dziejom pierwszoplanowych postaci /matki z czworgiem dzieci/, śpieszę wyjaśnić, iż nie działałam tendencyjnie. Taka była po prostu prawda, której usiłowałam pozostać wierna. Prawda oglądana oczami kilkuletniego dziecka.

Ufam, iż żyjący szczęśliwie i dziś, którzy odnajdą tu siebie lub bliskich, przyjmą moje starania życzliwie

/-/ Krystyna-Inga

CZESC PIERWSZA

1.Niepokój.....	str.2
2.W drogę.....	39
3.Po śladach.....	69
4.Znowu na szlaku.....	95
5.Przystać.....	109
6.Zanim przyjdą po nas.....	136
7.W nieznane.....	<del>164</del> 193

## Rozdział I

### N I E P O K O J

Pierwszy jęk Wiktorii przepadł w zgiełku wiosennej nawałnicy tak zacieklej, że oniemieli najstarsi gazdowie. Nagły poryw zachodniego wiatru w mgnieniu oka przygnał ponad kotłinę masy ciężkich chmur, które natychmiast wchłonęły słoneczny blask oraz okoliczne szczyty. Wszystko odbyło się z takim przyspieszeniem, że mało kto zdążył zaryglować okno lub umknąć pod dach, gdy z mroku wytrysnął oślepiający zyg-zak błyskawicy a w ślad przetoczył się po graniach hurkot gromu. Szyby zadzwoniły ostrzegawczo, Wiktorina zaczęła rzedzić, zaś położna - uczyniwszy pośpiesznie znak krzyża - pochyliła się nad nią troskliwie. Wiktorina skupiła wolę na jednym: zdławić krzyk bólu. Żadnych koncertów! Ciekawscy strażnicy zawiodą się. Nie usłyszą niczego. Bóle nasilały się, atakowały coraz częściej, więc coraz mocniej zaciskała zęby. Także burza gwałtownie nabierała mocy. Ostre smugi, niby gorejąca wiotła której trzon tkwił gdzieś poza zachodnim widnokretem, bez ustanku siekły przestwór, a mgnienia za ledwie poprzedzając nieprzerwane detonacje pierunów. Aż struchlało wszelkie stworzenie, aż uznało swą małość i bezradność. Wtedy dopiero nawałnica cofnęła się tak nagle, jak przyszła. Lecz spokój nie trwał długo. Dziwny, daleki zrazu szum, za ledwie dał się słyszeć, przeobraził się w ogłuszający pomruk, dziki wiszg. Wiktorina cierpiała coraz bardziej, moment rozwiązania przybliżał się. Joachim patrzył na żonę z trwożnym podziwem, modląc się w duchu o po-myślny finał. A gdzieś od Nowego Sącza, od wschodu, szła nowa groza. Wielka trąba powietrzna, zawrotnie wirując na elastycznej podstawie i wybuchając kuliście ku chmurom, mknęła z chyżością, erkanu, niszcząc, co napotkała. Zahaczywszy o gotyckie ściany Bystrzyku, bez wysiłku zmiotła całe pałacie

świerków, które - wraz z lawiną odłupanych od zboczy wapieni - runęły splątana masą u stóp starego młyna - miejsca ulubionych zabaw tutejszej dzieciarni. Wciąż wirując i tocząc się, trąba wykonała nagły zwrot i - oszczędzając przygraniczną placówkę Straży - ominęła ją sporym łukiem. Prac skrajem Leśnickiego Wąwozu, zmieniła w kupę szesap wielką szopę na obrzeżu pobliskiej wsi i - wytraciwszy siły gdzieś na Lipnickiej grani - przewaliła się na słowacką stronę.

Zda się w oczekiwaniu tej chwili, niebo chlusnęło ulewą tak obfitą, jakby ocean stanął dęba i wypróżniał się na ziemię.

Skromny leśnicki potoczek, wijący się faliście wzdłuż traktu, w mig stał się rwącym, mętym nurtem, rzeką, rozlewiskiem. Wezbrane błyskawicznie wody zalały skosy pobliskich poletek, wzniosły się wyżej, aż liznęły złowieszcze ogrodzenie kaszar, w których rządziła Wiktoria. I to był kres popisowego numeru matki-natury.

W ciszy, jaka właśnie zapadła, rozległ się jednocześnie głośny płacz niemowlęcia oraz szczęśliwy głos Joachima.

- Dziewczynka! Mary jeszcze jedną córkę, moja droga.

Wiktoria leżała, bezwładna i bardzo wyczerpana, chociaż wśród trwał akurat tyle czasu, co krótkotrwała burza majowa. Położna w skupieniu krzątała się przy malenstwie. Joachim spojrział w okno i zamarł z wrażenia. Spoza szybko rozstępujących się chmur wypływało na błękitne znów niebo jasne światło słoneczne. Wypełniwszy całą kotlinę, wyostrzyło szczyty górskie, wtargnęło do pokoju. Przez otwarte szerokie okno wpadał zapach świeży, krystalicznie czysty.

Od strony Czerwonego Klasztoru, w kierunku Sokelicy, wystrzelił wspaniały łuk tęczy, spinając oba krańce doliny nierealnym w swej urzędzie, nاپوietrznym niby-mostem.

- Dobry omen - pomyślał Joachim.

Położna, ukończywszy pracę, wyprostowała się z widoczną ulgą,

- Chrystusowa godzina, proszę państwa. Wiem, że spojrzalam na zegar w

stosownym momencie. Dobra godzina, żeby przyjść na ten świat. Godzina na Męki Pańskiej. *Do tego-piątek!*

Joachim poczuł skurcz serca, nieuzasadniony niepokój. Aby go stłumić, poszedł do łóżka.

- Ona będzie pupilką losu, zobaczysz - odgarnął z czoła żony wilgotne pasmo czarnych włosów, których rzadkim odzieniem wciąż jeszcze się zachwycał, utulił dłonią małą, ciągle dziewczęcą głowę. Wiktorcia drzemka.

-----

Letnia, spokojna noc, pachną floksy, wszyscy śpią. Czuwa tylko strażnik-dyżurny oraz Wiktorcia. Zanim się położy obok Joachima, sprawdzi, co u dzieci, wsunie dłoń pod pieluszkę Ingi - stałe zabiegi mające ją upewnić, że nic złego się nie dzieje.

Jednak sen nie przychodzi, myśli się kłębią. Dlaczego Dorota mruczała we śnie? Czy to dobrze, że Leszek śpi tak cichutko? I... Ojej, nie słychać oddechu malutkiej! - nasłuchuje niespokojnie.

Joachim jęczy przez sen, miota się. Coś mu się sni niedobrego? Może go obudzić? Lepiej nie, musi wypocząć przed jutrzejszą podróżą po Emilkę. Do Przemyśla, kawał drogi. - Myśl zatacza szerszy krąg. Co z przeniesieniem Joachima do Nowego Targu. Może teraz coś załatwi? Marzeniem Wiktorii jest zamieszkać w mieście, gdzie szkoły na miejscu, gdzie bliżej świata. Można by wtedy zabrać Emilkę od Felicjanek. Jaka oszczędność! Nie mówiąc już o uniknięciu nowych wydatków; na Dorotę. -

myśli zmieniają kierunek. Czas najwyższy wziąć do domu krawców, obszyć dzieci przed przeprowadzką, zwłaszcza mundurek gimnazjalny dla Derety. Lecz - o Boże! - jakże stąd odjechać. Przecież grobek Bądzia w Króścienku! - Zasypia ze łzami pod powieką, z wciąż żywym bólem w sercu po tragicznie utracenym synku, jakby się to działo wczoraj, nie przed sześcioma laty.

Budzi ją krzyk Joachima. W księżycowej poświacie widzi go, siedzącego prosto, wpatrującego się w nią z przerażeniem.

- Nie śpisz? - otacza ją ramieniem. - Jesteś!... Trzeci już raz to samo. Szukam cię. Szukam dzieci. Gonię was, gonię i wciąż mi się wyrykacie. Znikacie gdzieś. Tracę siły, ustaję. Znow się pojawiacie. Więc się podrywam. Już-już was mam... Wtem - przede mną rozpadlina. No, przepaść. A wy - na tamym brzegu. Chcę skoczyć, pewien, że to łatwe, że przefrunę. Zamiast tego, odwracam się a tu - łan pszeniczny. Ciężki, wyzłoceny. Jak te nasze na Wołyniu bywały, pamiętasz?... A z tej złocistości wyłania się mój, świętej pamięci, ojciec. Prawdziwy patriarcha rodu, jak za życia. Powozi furą pełną siana i przywołuje mnie z wysokości. Kiwa ręką. Ruszam posłusznie, lecz niechętnie, wolniutko, bo myślę o was. Oglądam się i widzę, jak spadacie do przepaści. Cała piątka! Budzi mnie własny krzyk. Za każdym razem płaczę i za każdym razem widzę was, spadających, jakby w coraz większym oddaleniu.

- Sen-mara, Bóg-wiara - szepcze Wiktorina i dodaje uspokajająco: - To znaczy, że niebawem stąd wyjedziemy, śpij - przytula się do mężowskiego boku.

-----

Tatusiu, czy to prawda, że będzie wojna? - Leszek wpatruje się w ojca, jak w wyrocznię.

- Kto wie... - odpowiada ostrożnie Joachim, pochylony nad poranną porcją "czarnego" kakao, gdyż tylko takie - ze względu na "katar kiszek" - wolno mu pić.

Wiktoria rozmawia z Emilką, zachęca - wymizerowane, jej zdaniem, dziecko - do jedzenia. Leszek z Dorotą rozpoczynają swe zwyczajowe utarczki o przywłaszczenie uwagi ojca.

Wojna? Może sobie być! Jedno i drugie pilnie wpłacało grosiki na FON. Wszystkie dzieci w szkole wpłacały. Niektóre wolały nawet wyrzec się kanapek, żeby tylko przysperzyć Polsce masę nowych czołgów, samolotów i karabinów!

Joachim patrzy na nich z miłością, ale i obawą. W oczach ma dotychczas widok dwóch młodych strażników a raczej to, co z nich zostało. Zamordowani, rozebrani do naga, wypatroszeni z wnętrzości. W pustych jamach brzusznych - śmieci pomieszane ze zwierzęcymi ekskrementami. Jawne wyzwanie. Coś paskudnego wisi w powietrzu. Niemcy, jak widać, nie mają zamiaru poprzestać na Czechosłowacji. *Pozostało czekać na najgorsze.*

Żeby chociaż zdążyć z wyjazdem. Żeby ich zabezpieczyć - spogląda na zgromadzonych przy stole.

- Tatusiu, a minister Beck jest niemieckim szpiegiem! Adolfowa mówiła! - wrywa się Dorota i milknie, przestraszona tym odczwaniem się "bez zaproszenia do rozmowy z dorosłymi".

- Nie pleć głupstw! - karci ją Joachim. - / zapamiętaj, że minister Beck to dobry Polak i mądry człowiek. Już tam "Dziadek" wiedział najlepiej, komu zaufać. Co pochodzi od Marszałka, święte jest, zrozumiane?

Dorota, uszczęśliwiona, że ojciec potraktował ją tak poważnie, wykrzywiła się dyskretnie do brata. Leszek *robi lekceważący grymas.*

- Tatusiu, za co aresztowane tych panów, co ich dzisiaj przyprowadzili? - jednocześnie zerka na siostrę z miną świadcząca o tym, że pytanie jest retoryczne, bo on i tak wie więcej od niej.

Wiktoria uznaje śniadanie za skończone, więc - przecinając dyskusję - zarządza:

- Dzieci, do zabawy! Emilko, nie przeszłaś się z Iną?



Sam na sam z mężem, powraca do tematu.

- Ty naprawdę uważasz, że bez wojny się nie obejdzie?

- Niestety - wzdycha Joachim. - To wisi na włosku. Ale nie martw się, połamię sobie na nas zęby. Tymczasem nam dla ciebie lepszą wiadomość; możesz się zacząć pakować. Wyjedźcie stąd lada dzień.

- Co znaczy w y j e d z i e c i e! Sama się nie ruszę! Była mowa o przeniesieniu do Nowego Targu, ale razem! Dostałeś je wreszcie?

- Nadejdzie, uspokój się. Póki co, wyślę chociaż was. Dłużej czekać nie sposób, musisz... - Za drzwiami zadudniło. To ciekawska Dorota - gnana nieprzepatą chęcią pochwalenia się podsłuchanymi wieściami - robi odwrót.

Zatrzymawszy się na oszklonej werandzie, z jej wysokości obserwuje drogę, którą kroczy właśnie Emilka, popychając wózek. Dorota wykonuje parę susów, wprawia swe długie nogi w galop i już jest obok siostry. Zamierza milczeć "wymownie", lecz nie wytrzymuje.

- Daj pakierować, to coś powiem - kusi.

- Nie jestem ciekawa - Emilka mocniej zaciska dłoń na pałku.

- Jaka ważna! - Dorotę tym bardziej nęci zakazany owoc. - Pojadę trochę, co? - przykładą rękę do ręki siostry, lecz ta odtrąca ją kategorycznie.

- Żebyś przewróciła dziecko!

- Będę ostrożna, daj...

Emilka udaje, że szuka czegoś na niebie, więc Dorota wydyma swe pięknie wykrojone, różowe wargi i wlecze się, naburmuszona. Naraz, z triumfem, wykrzykuje:

- Ona i tak jest więcej moja, niż twoja! Ja jej wybrałam imię, nie ty!

Emilka milczy wytrwale, Dorotę pałą podsłuchane sensacje.

- Jak chcesz, to ci mogę powiedzieć - kapituluję, po czym - bez żadnej zachęty - wypala:

- Wojna wisi na włosku, ale połamię sobie na nas zęby a my wyjeżdżamy

do Nowego Targu!

- Żadna dla mnie rewelacja - w głosie Emilki dźwięczy nuta wyższości.

- Akurat!

- Naturalnie, że tak. Przede mną tatuś nie ma tajemnic. Jakby

nie było, jestem p i e r w o r e d n a. Przy tym gimnazjalistka!

- Wielkie rzeczy; trzecia klasa! - drwi Dorota. - Ja śmiało mogę twierdzić, że jestem w pierwszej!

- Najpierw zdaj - mówi zimno Emilka i Dorota przestaje nad sobą panować.

- Wstrętne jaszczurka! To nie twoja zasługa, żeś się uredziła przede mną! Miałaś po prostu szczęście!

- Już tam pan Bóg wiedział, komu dać pierwszeństwo! - Emilka zawraca estentacyjnie wózek, toteż Dorocie pozostaje jedyna dostępna forma pocieszenia. Pokazawszy plecem siostry całą długość języka, puszcza się biegiem dla samej przyjemności pędu oraz by się rozładować. Emilka wraca powoli w kierunku domu. Jest ciepło, kalerowe i przytulnie pośród wysokich szczytów. Inga śpi spokojnie w bieli koronek, brzęczą przyjaźnie owady, strumyk podzwania wesoło.

- Kroc-kie-marsz! - dolatuje gdzieś z tyłu cienki głosik Leszka. Emilka przystaje, odwraca się, patrzy z rozczuleniem na braciszka, który - na ten widok - przestuje się, jak może najdokładniej i zaczyna maszerować krokiem "defiladowym".

Krótkie nogawki spodenek majtają się wokół opalonych, podrapanych odnóży, nad ładnie sklepionym czołem powiewa zadziornie ciemny lok. Błękitne oczy spoglądają na siostrę rezolutnie, ale i wyczekująco.

- Widzisz!?!... Patrz! Patrz na mnie!

Emilka widzi a nawet rozumie "powagę sytuacji", co demonstruje odpowiednią miną. Leszek, uszczęśliwiony, z całą swą dziesięcioletnią powagą, mija ją bez słowa a za nim maszeruje "posłusznie" oddział posiłkowy strażników przysłanych do kaszar ze Szczawnicy. Leszek bardzo serio -

traktuje funkcję "pomocnika" ojca, którego "wyręcza" poprzez "objęcie dowództwa" nad żołnierzami. Aby ich "przyprzewodzić" do koszar, wyszedł na przeciw nadchodzącym przynajmniej dwa kilometry, co młodzi strażnicy, skrzy do udziału w zabawie, chętnie akceptują.

Oddział "przewadzony" przez Leszka znika za zakrętem, Inga budzi się, patrzy na siostrę ciemnymi tarczками oczu, marszczy śmiesznie małeńki nos. Wzbudza to w Emilce uczucie czułej opiekuńczości.

- Będę ci haftowała najśliczniejsze koszulki, będę wyszywała fartuszki, będziesz naszym rodzinnym pieszczakiem, naszym talizmanem. - nie zwraca uwagi na zalotne zerknięcia młodych strażników, nieznacznym zaledwie skinieniem kędzierzawej głowy odpowiadając na wojskowe ukłony i bez słowa przyjmując wyręczenie we wniesieniu wózka na werandę.

Widzi to, z wysokości okna jadalni, Joachim.

- Z Milki prawdziwa już panienska. Spójrz, Wiko, jak jej żołnierzyki nadskakują. Można by nawet zacząć rozglądać się za odpowiednim kandydatem, gdyby nie... A wiesz, że ona może ci być - w razie czego - pomocna?

- Bój się Boga! - Wiktor przerwany na moment pakowanie. - Nie myślisz chyba, że będzie zmuszona! Zbyt jest delikatna.

- To nie potrwa długo, wierz mi - Joachim usiłuje uspokoić żonę, chociaż sam pełen jest wewnętrznego napięcia. - Musimy się tylko pośpieszyć z pakowaniem, bo tutaj... Pierwsi Słowacy ruszą przeciwko nam. Jak okoliczni chłopcy wiosną. No a Niemcy... Co do nich, wszystko jasne. Zaraz ci przyślę ze dwóch chłopaków, bo sam muszę na służbę. Spróbuję także załatwić jakiś transport, choć to teraz prawie niewykonalne. Wszystko się nagle popsuło. Na normalne życie nie ma już szans. Samochody zarekwirowane dla wojska, nawet o furmanki trudno. Za długo zwlekałem z odesłaniem was w bezpieczne miejsce.

- A gdzież ona jest?! - Wiktor znów zamiera w bezruchu. - Nie mamy przecież innego domu, niż ten - omiata wzrokiem ściany.

- Ależ mamy, moja kochana - Joachim przygarnia żonę w krótkim uścisku.

- Mamy! Wynająłem dla was mieszkanie w Nowym Targu. Może nawet znajdę czas,

żeby się zająć szkołami dzieci. Muszę, niestety, jak najprędzej wrócić tu, do Leśnicy. Na jakiś czas, naturalnie! - dodaje na widok protestu w szaro-zielonych oczach żony.

-----  
Joachim jest <sup>tak</sup> zmęczony, że z ulgą wita moment zejścia ze służby. Kontrola wypadła pomyślnie, nie nikomu do zarzucenia - mocno naciska pedały roweru, by zdążyć przed nocą.

Przy koszarach - na jednej z dwóch przytykających do ogrodzenia werand-troje obcych.

- Co państwo tu robią? - pyta z obowiązku, przeświadczony, że ma do czynienia z zapóźnionymi turystami, na których,

w innych okolicznościach, nie zwróciłby uwagi.

- Zbłądziliśmy - akcent mężczyzny brzmi w uszach Joachima nienaturalnie. - To moja żona i syn - obcy wskazuje tęgą, rosłą blondynę i chudego wyrostka. - Chyba tu przesiedziły do rana. W górach niebezpiecznie a do Szczawnicy daleko. Nie trafimy po ciemku.

Joachim patrzy na nich z namysłem. Turysty czy nie, nie mogą tu tkwić całą noc. Lepiej ich mieć na oku.

- Zapraszam do środka - mówi stanowczo i zastyga w półobrocie na dźwięk słów wyrostka.

- Was sagt er? <sup>1</sup>

Ojciec, ignorując pytanie, zaczyna wylewnie dziękować Joachimowi, który postanawia dobrze pilnować pokoju, w którym umieści podejrzanych gości. Rankiem, na odchednym, nieznajomy - dziękując Wiktorii za herbatę - zadziwia ją i zaskakuje.

- Chciałbym się upewnić, wobec kogo zaciągnęliśmy dług wdzięczności. Czy państwo Leszczyńscy?

Odebrawszy potwierdzenie, zapewnia ze szczególnym podkreśleniem.

- Będę pamiętał.

1 co on mówi?

Wejście Joachima odwraca uwagę Wikterii od podejrzanego podtekstu tych słów. Goście żegnają się, dziękując wylewnie, Joachim spogląda za nimi, mruczając pod nosem, jakby w odpowiedzi na jakieś wątpliwości.

- Na wszelki wypadek czujkę trzeba wysłać. - Wychodzi pośpiesznie.

-----

Na majdan wjeżdża kolumna furmanek, Joachim wpada do kuchni.

- Mam transport, Wiko. Chłopcy uwiną się raz-dwa.

Dorota zastyga z ziemniakiem w rąku, Wikteria kurczy się w sobie.

- To już?

- Tak, moja droga. Ciesz się, zamiast martwić. *Właśnie*

dzisiaj kończy się mobilizacja alarmowa. To ostatni dzwonek przed wyjazdem. Zaledwie pięć dni do rozpoczęcia roku szkolnego - dorzuca uspokajające na widok przerażenia żony. - Teraz dopilnuj strażników, żeby niczego nie zapomnieli zabrać. I nie proponuj poczęstunku. Nie mamy czasu. Chcę natychmiast wysłać rzeczy. My wyruszymy za nimi *fiakrem*.

W innych okolicznościach *jazda* *derożką* wprowadziłaby Dorotę w zachwyty, teraz połyka łyżę żalu z powodu rozstania z górą. Kiedy już wszyscy siedzą w jedne kance na gumowych kołach, żal Doroty udziela się całej rodzinie.

Wikteria, ocieniwszy starannie swą jasną twarz szerokim rondem białej panamy, rozgląda się wokół ze ściśniętym sercem.

- Mam wrażenie, że już nigdy tego nie zobaczę - mówi, zamysłona. Joachim mocniej przytula poduszkę z Inga, która nie śpi i także zdaje się przyglądać otoczeniu.

- Nie martw się. To tylko takie wrażenie związane ze zmianą - *pociesz* - *szła*, *lecz* Wikterię dręczy inna myśl.

- Ja się nie martwię - zapewnia. - Byliśmy się tylko nie rozstawali. *Byleś do nas jak najprędzej dotka, czyk!*

Emilka, pragnąc ukryć, jak wielkim przeżyciem jest dla niej perspektywa powrotu ojca na granicę, przymyka oczy, markując sen. Dorota płacze bezwstydnie, Leszek usiłuje "być mężczyzną".

- Tatusiu, gdybym nie wiedział, że one tu są, nie poznałbym - wyciąga palec w bok i *pośpiesznie go cofa*.

- Masz rację, synu, dobra robota! - uśmiecha się Joachim i dodaje wyjaśniająco pod adresem Wiktorii.

- Mamy tu sporo zamaskowanych armat. Przygotowaliśmy nieproszenym gościom niezłe powitanie. Teraz sama widzisz, że to nie miejsce dla kobiet i dzieci.

W Szczawnicy, obok autobusu do Nowego Targu, tłum ludzi. Krzyk i lamenty, że puchną uszy. Autobus załadowany po brzegi, nie ma mowy o *wcisnięciu palca*. Szczerze Joachim nie poddaje się. Podeszedłszy do konduktora, zaczyna obcesowo:

- Co tu się dzieje? Od kiedy to nie szanuje się u nas mundur?! Ja służbowo, panie... Z rodziną!

- Ależ panie przewodniku, miejsce się znajdzie. - Konduktor zaczyna działać i dotrzymuje słowa. Pomaga Wiktorii wsiąść, czeka, aż się wszyscy uplasują, daje sygnał do odjazdu.

W autobusie - przewaga ludności żydowskiej z mnóstwem dzieci i bagaży. Tłok nieopisany, więc rejwach nie ustaje ani na chwilę. Leszek odrywa przyklepiony do szyby nos i woła, usiłując przekrzyczeć innych.

- Nasze rzeczy minęliśmy! - odprowadza wzrokiem rząd wyładowanych furgonów. W oczach Wiktorii - melancholia. - Przeprowadzki... Nic, tylko przeprowadzki. Tak to jest, gdy ptak porzuci swe gniazdo. Skoro już Joachim musiał uciekać z za kordonu, powinniśmy byli osiąść u nas, na Wileńszczyźnie - poprawia koronkę przy czepeczku Ingi, którą teraz sama trzyma na kolanach, gdyż Joachim stoi.

Autobus podskakuje nagle na wyboju, równocześnie rozlega się głośny krzyk Doroty, na której głowę spada niewielka, za to przedziwnie ciężka walizeczka.

Jej właścicielka, tęga Żydówka, błyskawicznie usuwa walizkę. W jej oczach - przerażenie. Joachim, zatrzymawszy na końcu języka nieprzyjemną uwagę, głaszcze córkę po ręce. Derota, mimo bólu, rozplywa się ze szczęścia a za moment z ożywieniem patrzy na ulicę ukochanego Krescienka, gdzie chodziła, wraz z Leszkiem, do szkoły, co - na przełaj, przez góry - zajmowało niewiele czasu.

Emilka - na polecenie rodziców - wyskakuje do pobliskiego sklepiku po wędlinę i bułki. Przezorna Wiktoria wali się zabezpieczyć na ewentualność zamkniętych sklepów po przybyciu do Nowego Targu.

Leszek ze skrywanym żalem przypatruje się Rynkowi. On także kocha to miasteczko, gdzie przybył - emotany w pieluszki, jak Inga teraz.

Tu uczył się mówić, chodzić, pisać pierwsze litery, tu stawał oko w oko z prawdziwym niebezpieczeństwem. "Przejażdżka" na tartacznym pasie transmisyjnym, w porę przerwana dzięki refleksowi tracza, wylądowanie poślackiem na metalowym szpikulcu sterczącym podstępnie z deski, zdobycie dachu budynku, na którym uwięzła piłka i trzeba ją było odzyskać... Momenty chwały i bobaterstwa.

Wiktorii, w tej samej chwili, przypomina się ów straszny widok pięcioletniego synka, który - cisnąwszy piłkę kolegom - macha do niej dumnie rączką. Nurt wspomnień, coraz obfitszy, odświeża pamięć Bodziu. Siedmioletnim zakrwawionym dziecku, zamordowanym przez bezmyślnych wyrostków, w bezmyślnej, okrutnej zabawie. Spogląda w tę stronę Rynku, gdzie - w głębi ulicy, <sup>(na cmentarzu)</sup> <sup>(mają)</sup> - znajduje się gróbek. Joachim patrzy tam również. Ich spojrzenia, solidarnie bolejące, spotykają się w nieмым porozumieniu. Ulice Nowego Targu, przewiane chłodnym, nieprzyjemnym wiatrem. Obce, nieznanne ulice. Nie wróżą niczego dobrego.

- Nie będzie nam tutaj dobrze - konstatuje w myślach Wiktoria, lecz, nie chcąc sprawić mężowi przykrości, usiłuje nadrobić winą. Mimo, że zaczyna odczuwać ból w podbrzuszu - wynik całonocnej podróży Joachim widzi to, więc - zgodziwszy tragarza - odbiera z rąk żony poduszkę, układa ją bezpiecznie w zgięciu lewego przedramienia, prawą

podtrzymuje Wiktorię treskliwie, prowadząc do postoju do-  
rozek. Trójka starszych dzieci kroczy przodem, przed rodzicami.

- Tu jest teraz wasz dom - mówi Joachim, gdy drynda zatrzyma się  
przed budynkiem numer 40 przy ulicy Krzywej.

- Wasz? - Wiktorcia patrzy znaczące, toteż poprawia się bez sprzeci-  
wu:

- Nasz. Oczywiście że nasz.

Mieszkanie jest duże i wygodne, z ogromnym tarasem otwierającym malow-  
niczą perspektywę Tatr, co sprawia, że - przyzwyczajeni do widoku gór-  
spoglądają na nie przychylniejszym okiem.

W oczekiwaniu na nadejście bagaży, uznają za stosowne złożyć wi-  
zytę sąsiadom z parteru, państwu Krystkom. Ludziom, zdaniem  
Joachima, w zupełności na to zasługującym. Sprawiają tym niekłamana  
przyjemność gospodyni, lecz zarazem spory kłopot. Pani Krystkowa - ku  
cichemu zdumieniu Wiktorii - nie ma czym poczęstować niespodziewanych  
gości. Dysponuje jedynie herbata.

- A cóż to za dom bez żadnych zapasów w spiżarni! - myśli z przyganą  
Wiktorcia i proponuje bułki z wędliną zakupione w Kroś-  
cienku.

Po kolacji wracają na górę, <sup>gdzie</sup> rozpoczyna się wyczekiwanie na rzeczy.

- Jak my będziemy spali - denerwuje się Wiktorcia - kiedy nawet poś-  
ciel na wozach!

Problem rozwiązuje pani Krystkowa, pożyczając nowym sąsiadom własne  
poduszki, prześcieradła i kocę..

Emilka budzi się skoro świt, zbyt oszełamiona, by natychmiast odnaleźć  
się w nowym miejscu. Gdy to wreszcie nastąpi, wybiega bezszelestnie  
- przez uchylone drzwi - na taras i natychmiast staje, jak  
wryta na widok Tatr w całym ich porannym przepychu. Zdaje sobie sprawę,  
iż widzi je takie po raz pierwszy - ogromne, wyraziste, jaśniejące - a je-  
dnocześnie w i e, że już to kiedyś przeżyła. Do uczucia zachwycenia  
dołącza się dziwny niepokój, tak dokuczliwy i tak błyskawicznie narasta-  
jący, że zaczyna się bać.



- Skąd ja to znam i skąd strach wobec takiego piękna! - dziwi się. - I dlaczego wydaje mi się, że to coś oznacza? - Bezwiednie opuszcza wzrok i zapomina o wszystkim na widok furgonów stojących na ulicy pod pieczę uśpienych woźniców, otulonych w góralskie wyszywane gunie, w obszytach muszelkami kapeluszech na głowach.

- Mamusiu, tatusiu! Nasze rzeczy przyjechały! - Wbiega do pokoju i Joachim, który - czuwając - przysnął nad ranem, budzi się natychmiast.

Wikteria krząta się po mieszkaniu, medytując nad jego urządzeniem. Zechęca męża do rozpakowywania pudeł, on nie kwapi się.

- Wiko, może byśmy rozpakowali tylko, co najniezbędniejsze? Nie śpieszmy się zbytnie.

- A to dlaczego?!

- No wiesz, myślę, że lepiej się wstrzymać jakiś czas. Może się zdarzyć, że trzeba będzie... jeszcze dalej...

- To tak! Mamy tu czekać w pogotowiu? A ja myślałam... Nic mi nie mówięś. No cóż, wiesz lepiej. Każ, wobec tego, ponosić skrzynie na strych. Albo do piwnicy. Sama dopilnuję, co ma zostać. Maszynę lepiej dać do mieszkania; zbyt cenna.

- Może wyjmiesz z niej kosztowności? - <sup>podchwytuje</sup> Joachim. - Raz-dwa rozpakuję.

- Po co? W szufladce są bezpieczne.

Głośny płacz Ingi przerywa rozpoczynający się spór. Trzeba się zająć dzieckiem, ponieważ Emilce nie starcza odwagi, by zmienić siostrzyczkę pieluszkę.

Dorota z Leszkiem, nieświadomi zarysowującej się przed rodziną, tymczasem w sytuacji, od śniadania krążą po mieszkaniu - każde osobno. Dorota, która od śmierci Bodzia uważa za swój kerenny obowiązek czuwanie nad młodszym o pięć lat bratem, denerwuje się jego umknięciem spod kontroli.

- Jak tak, to sama zjem wszystkie cukierki! - ściska mocno w dłoni

← otrzymaną od matki, przeznaczoną do skarbonki, złotówkę, którą - tym razem - postanawia roztrwonić. Najwidoczniej rozsądnie wydzielane dzieciom przez Wiktorię słodczyce nie zaspokajają jej łakomstwa. Świadoma dokonywanego przestępstwa/najwyżej się wyświadam! /ze zdrożnym zadowoleniem bierze z rąk kupca pokąsną terebkę cukierków, których pośpieszne chrupanie podwaja przyjemność spaceru. Stanowczo zaczyna się jej tu podobać. Wprawdzie Leśnicy żal, lecz czuje, że już kocha także Nowy Targ. Bezwiednie przystaje przed wejściem do kocioka i stwierdza, że czas wracać, jeśli chce uniknąć bory za spóźnienie na obiad. Myśli o tym nrechętnie. Wcale a wcale nie ma apetytu!

- Znów trzeba będzie kręcić głową, jak pozbyć się nie zjedzonego kotleta i innych "świństw" - wzdycha.

↳ Po trzech dniach okazuje się, że sugestia Joachima, aby nie ruszać bagaży, była słuszna.

- Stało się, Wiko, jak przypuszczałem - mówi, wróciwszy z miasta. - Mamy mobilizację powszechną. To oznacza, że nie możecie tu zostać. Taki odebrałem rozkaz. Nie openuj. Rodziny strażników muszą opuścić pogranicze. Bliżej sojuszniczej granicy sowieckiej. Tam będziecie bezpieczni. Zamierzamy wpuścić Niemców w Kotlinę Nowotarską w razie czego, więc... Sama wiesz.

Wiktorcia stoi, jak ogłuszona obuchem, mimo to - otrząsnąwszy się - próbuje protestować.

- Ja się stąd nie ruszam! - w jej głosie rozpacz pogłębioną poczuciem beznadziejności. Rozkaz, to rozkaz.

Joachim kładzie dłoń na szczupłych plecach żony, spogląda mocno w oczy.

- To nie potrwa długo, moja droga. Trzeba po prostu przeczekać, rozumiesz?

- Zgoda - ustępuje Wiktorcia. - To dokąd teraz pojedziemy?

- P o j e d z i e c i e - głos Joachima brzmi twardo. - Ja tu muszę zostać. Na razie... Taki rozkaz, Wiko. Nie należę do siebie.

- O nie! - Wiktorcia wpada w panikę. - A coż my bez ciebie zrobimy?!

Ja bez ciebie... Bez ciebie nie pożyję dłużej, niż trzy miesiące! Och, Joachimie, nie możesz nas opuścić! A ty? Twój katar kiszek! Kto będzie dbał o twoją dietę!

- Spokojnie, Wiko. Dobrze wiesz, że to przejściowe - Joachim uśmiecha się pokrzepiająco. - Wszystko razem nie potrwa nawet miesiąca. Najwyżej trzy. Nie jesteśmy sami. Mam ci przypomnieć o zeszłorocznej jeszcze deklaracji polsko-sowieckiej? Potwierdza układ o nieagresji z trzydziestego drugiego! A gdyby to nie wystarczyło, postaraliśmy się o innych sojuszników. Anglia i Francja zobowiązały się do automatycznej i natychmiastowej pomocy zbrojnej. Automatycznej i natychmiastowej! Jeszcze ci mało?

Wiktorcia, pod wpływem tych słów, nabiera otuchy, przestaje się bać, co widząc Joachim mówi dalej, w tym samym tonie.

- Mamy przyjąć bitwę głównymi siłami tuż przy granicy. Nasze zadanie, to przetrwać pierwsze uderzenie Niemców. Musimy ich zająć, aby dać czas sojusznikom na wykonanie ciosu na słabszym froncie zachodnim, rozumiesz? Będziemy się opierać tylko do momentu ruszenia ofensywy francuskiej. Dwa tygodnie. Nie dłużej. Umowa przewiduje im tylko piętnaście dni - od momentu ewentualnej na nas napaści - na działania ofensywne głównymi siłami i tylko trzy dni na działania zaczepne. Oszukają się Niemcy!

- Wiesz Joachimie - Wiktorcia przestaje nagle podzielać optymizm męża. - *Kijem* na wodzie pisana cudza pomoc. - Ależ moja droga! To leży także w ich interesie! Niemcy stanowią zagrożenie i dla nich!

- Widzę, że nie ma odwołania i to rozumiem najlepiej - Wiktorcia zaczyna krążyć nerwowo po pokoju. - Powiedz jeszcze, dokąd chcesz nas wysłać i powiedz coś konkretnego o sobie.

- Ja, Wiko, wrócę jeszcze na chwilę do Leśnicy, a potem. Potem do Rawy Ruskiej. Taki mam przydział. Naszą sprawą będzie utrzymać połączenie z Rumunią a przez nią - komunikacji z sojusznikami. W związku z tym potrzebne jest skupienie pewnych sił w południowo-wschodniej części kraju. Cały czas - mając to na uwadze - zastanawiam się, gdzie by wam było najlepiej. Wprawdzie dla naszych rodzin przygotowano miejsca

i opiekę w Rawie Ruskiej, i właściwie tam was powinienem odesłać, ale jakoś się do tego nie palę. Co może mieć do roboty ludność cywilna w bazie zgrupowania wojsk? Gdyby... A może - mimo wszystko - wojna nie wybuchnie?

- No widzisz! - Wiktorcia postanawia uczynić wszystko, by nie dopuścić do rozłąki. - My chcemy tam, gdzie ty. To dla nas najważniejsze!

- Tatusiu - wtrąca z zapalem przycupnięty na kanapie Leszek - proszę nas wysłać do Rawy. Ja nie będę zawadzał, ja się przydam! Będę kopał rowy przeciwlotnicze. Jak warszawskie harcerki!

Joachim uśmiecha się mimowoli.

- Masz na to czas, synu. Ty musisz, jako jedyny mężczyzna, opiekować się mamusią i siostrami, kiedy mnie przy was nie będzie.

Wiktorcia wie, że stanie się, jak chce Joachim. Mimo to nie poddaje się.

- Proszę cię, nie rozłączajmy się! - błaga.

- Niemożliwe! Gdybyś widziała te tłumy oblepiające kilometrowe szeregi furmanek. Wszyscy się pchają właśnie na Rawę Ruską. Te rodziny tych z ekologicznych placówek Straży. Na ulicach aż czarno od nich, istną

apokalipsa. Wymyśliłem dla was coś lepszego. Co byś powiedziała, Wiko, o Przemyślu? Na dzień-dwa moglibyście się zatrzymać u pani Nawskiej, zanim coś znajdziesz. Ona ci pomoże. Urządź się, umieścisz Dorotę w gimnazjum Emilki; akurat traficie na rozpoczęcie roku.

Myśl, że może liczyć na pomoc zaprzyjaźnionej od lat pani Stefanii - żony strażnika podobnie, jak Joachim - sprawa Wiktorii ulgę. Nie będzie zdana wyłącznie na siebie. Bez dalszych sprzeciwów zabiera się do pakowania niedawno wyjętych drobiazgów.

- Bierz tylko te, co niezbędne - radzi Joachim, pomagając pakować podręczną walizkę. - Resztą zajmę się sam. Wszystko nadam na bagaż.

Rzeczy Iny włóż do tej walizeczki - podsusza niewielki neseserek. - Żebyś miała pod ręką. Tutaj wasze - upycha drugi, większy. - Byle na początek, zanim nadejdzie bagaż. - Podchodzi do szafy, wyjmując najnowsze palto Wiktorii; z pięknej czarnej wełny, przyozdobione wielkim, fantazyjnym

← karakułowym kołnierzem.

- Po co mi one? - protestuje Wiktorja. - Nadaj na багаż.

- Weleż, żebyś wzięła z sobą - upiera się niezrozumiale Joachim, układając palto starannie i domykając walizkę przy pomocy kolana.

- Tylko dzwigania więcej - oponuje Wiktorja, dodając w myślach: - Uparty, jak koziół. Nawet w t a k i e j chwili - krzywi się pod wpływem znanego bólu, Co tam ból! I tak się teraz nie położy. Joachim bez przerwy panagła, trzeba przewyciężyć ciało, nie martwić go dodatkowo. Emilka siedzi oniemiała, ogarnięta porannym jeszcze lękiem. Wodzi za ojcem spojrzeniem pełnym rozpacz, raptem świadoma, że bci się właśnie o niego.

Dorotę trapi jedna myśl wybijająca się ponad inne. Nie zabierają ze strychu zabawek choinkowych. Głównie tych z czekolady! Jaka szkoda, że nie zjadła ich wszystkich przy okazji ostatniego myszkowania.

-----

Na dworcu - nieopisany rozgardiasz. Joachim z trudem wynajduje dla swej gromadki skrawek wolnego miejsca tuż pod wielkim afiszem przyklepionym do ściany budynku stacyjnego. Leszek z podziwem wpatruje się w plakatowego żołnierza. Wzniesiona w górę dłoń, otwarte usta nawołujące " DO BRONI". Wyeksponowane obok hasło :

" Z W A R C I

Z J E D N O C Z E N I

Z W Y C I E Ż Y M Y

W R O G A "

rozpala chłopięcą wyobraźnię. Budzi pragnienie, by także zostać obrońcą ojczyzny.

- Panie przedowniku, pan również wysyła rodzinę? - Znajomy strażnik, Jan Bluszczyk, uśmiecha się przymilnie.

- Tak, jadą do Przemyśla - Joachim nie skrywa niezadowolonia z tego wtargnięcia w jego pożegnalną intymność, co Bluszczyka wcale nie zraża. Zapowiada nawet, że zaraz przyprowadzi swoją żonę z dziećmi, którym także doradził Przemyśl.

Bluszczykowa, kobieta niesympatyczna, zachowuje się hałaśliwie,

co razi Wiktorię i wprawia w zażenowanie Emilkę. Natomiast Dorota z Leszkiem cieszą się z towarzystwa rówieśników - czternastoletniej Hani i dziewięcioletniego Władzia.

W —————> drzwiach krakowskiego pociągu, który niebawem wjeżdża na peron - szczupła sylwetka pani Dołęgowskiej. Na jej widok Dorota woła radośnie:

- Moja pani!

- Dokąd państwo się wybierają? - pyta nauczycielka, zapominając się przywitać.

- A pani?

- Ja wracam do domu. Jak wojna, to tylko w domu.

- A my właśnie uciekamy przed wojną - mówi Wiktorja.

- Czas pokaże, kto robi lepszy wybór - pani Dołęgowska przepycha się przez tłum do wyjścia.

Podróżni, to przeważnie uciekający z Zakopanego letnicy. Sporo takich, jak rodzina Joachima, który dwoi się i troi, by jakoś załadować swą gramatkę. Za ledwie mu się to uda, pociąg - nie czekając na rozkładowy czas - rusza z nienacka. Zmusza to Joachima - bez pożegnania z bliskimi - do wyskoczenia w biegu.

Wiktorja na próżno usiłuje odnaleźć go w oddalającej się ciżbie, lecz nad rozpaczą, że tak bez słowa, góruje obawa o niego.

- A jeśli wpadł pod koła!? - nie umie powstrzymać głośnego ekrzyku.


- Proszę się nie martwić, zeskeczył szczęśliwie. Widziałam! - rozprasza jej lęk Bluszczkowa. Emilka myśli z dumą:

- Pewnie że wyskeczył! Sprawny, wysportowany, silny; p i t s u d c z y k przecież!

Jednostajny stukot kół nuży. Poduszka z Ingą ciąży zdrętwiałym ramieniem. Wiktorja z utęsknieniem wypatruje Krakowa a zarazem martwi się. Nie będzie tam Joachima, który o wszystkim pomyśli, wszystko załatwi.

- Jakże ja się, z tym wszystkim, dostanę do przemyskiego pociągu! Joachimie,

och, Joachimie, nie powinienes być. Zginę, przypadnę bez ciebie!

Rzeczywistość przerasta jej obawy, co - w niewytłumaczalny sposób - wyzwala w niej odwagę niezbędną do rzućcia się - z niemo-  
włęciami w ramionach - w nieprawdopodobny ścisk i nieopisany wrzask  
na peronie, gdzie tłum - tratując wszystko, co się stratować daje -  
naciera ) . gęstą masą, na stopnie wagonów.

Wiktorcia, ściskając konwulsyjnie wrzeszczącą wniebogłosy Inge i sama  
krzycząc na dzieci, by się przepychały przed nią, wyniesiona przez ży-  
wą falę ludzką na peron, traci znów głowę.

Tłumy prą w różne strony, wszyscy dokądś pędzą, gnają na oślep,  
ciągają za ręce dzieci lub poganiają je przed sobą. Włoka, walizy  
paki, skrzynie - krzyk, zgiełk, lament.

Dorota, nawet w tych warunkach: pamiętając o swym koronnym obowiązku  
czuwania nad Leszkiem, chwytając go mocno za rękę a tłum niesie ich z  
prądem - przerażonych, ogłupiałych ale i, podświadomie, zaciekawionych.  
Oto tragarze taszczą coś w rodzaju gipsowej kolebki z jedną dziewczyną  
w środku.

- Ma chory kręgosłup, nie chodzi wcale. - Kto to powiedział? Nie wiado-  
mo. Może ta gruba kobieta, pędząca tuż za kolebką, zasapana, z ogrom-  
ną walizą *dzwiganą oburącz.*

Z boku rozlega się ostry jazgot.

- Aj-waj! Zabierzcie mnie, zabierzcie mój dom, bierzcie moje piękne me-  
ble, tylko oddajcie moje walizy, aj-waj! - targa się za włosy  
rozczochrana kobieta.

- Gdzie nasza mamusia?! - woła Leszek, pociągając siostrę za rękę.  
Dorota rozgląda się bezradnie i stwierdza, że są - w tym, obcym tłumie -  
zupełnie sami. Zaczyna płakać. Płaczą oboje i wciąż "płyną" do przodu.  
Emilka, czując, że walizki lada moment powyrywają jej ręce ze stawów,  
prze z falą ostatkiem sił. Usiłuje przyśpieszyć, wyciąga szyję.

- Nie ma ich! A przecież dopiero co byli, tam w przedzie - zatrzymuje  
się, jak wryta, z zaklinowaną nogą, obezwładnioną bólem.

- Panienko, co mi panienko *złamie nogę!* - Koko niej kobiecey krzyk.

- Ależ to pani złamie moją! - protestuje Emilka, usiłując oswobodzić własną nogę. Kobięcy krzyk powtarza się i - nareszcie - noga wolna. Nieznajoma przestaje lamentować, Emilka, rozgorączkowana, sprasowana przez ciżbę, ładuje, jakimś cudem, na skrawku wolnego miejsca, gdzie - jeszcze większy cud! - tkwi Wiktorcia z Iną w objęciach, z obłądem w oczach.

- Emilka! Och, Mila, gdzie dzieci?!

- Mamusiu, nie wiem! - odkrzykuje z rozpaczą i dodaje nierozsądnie:

- Ale walizki są, mamusiu! Obie walizki!

Milkną, rozglądają się z przerażeniem, obie - każda z osobna - przywołując w myślach Joachima.

- Panie pozwolą! - Wybawienie przychodzi w samą porę w osobie młodego, eleganckiego, p a c h a c e g o wodą kolońską, retmistrza w barwach artylerzysty.

Wyprowadzone z tumultu, bezpieczne, nie potrafią się zdobyć na słową podziękii. Nys! Wiktorcii jest przy Derecie i Leszku.

- Panie retmistrzu, błagam, dzieci mi zginęły!

Uzyskawszy niezbędne informacje, przywołuje paru żołnierzy, ci rozbiegają się i, po paru minutach, przyprowadzają zguby. Za nimi toczy się Bluszczykowa z dziećmi.

- Pani Leszczyńska, ja ich znalazłam w tej samej chwili, co wojsko! - woła radośnie.

Retmistrz spogląda na Wiktorię, znika na moment, znów się pojawia. W ręce trzyma solidny kawał sznura.

- Trzeba dziecko przywiązać. Inaczej je pani zgubi. - Paroma ruchami sprawia, że matka z niemowlęcią poduszką tworzą monolit i natychmiast, uniemożliwiając Wiktorcii wyrażenie wdzięczności, znika.

Wiktorcia czuje się zawiedziona, gdyż - prawdę mówiąc - liczyła na jego dalszą pomoc. Czeka ich przecież szturm do pociągu. Na pewno znów się pogubią. O Boże, co począć!



Po namyśle paleca Emilce wypisać na kartkach dane młodszego rodzeństwa i przypiąć je im agrafkami do ubrań.

Są gotowi, można by rozpocząć próbę przedarcia się na odpowiedni peron, skąd ruszy skład do Lwowa, lecz jak to zrobić?

- Matko Najświętsza, pomóż! - wzdycha Wiktor z głębi serca, wciąż nie dość odważna, by podjąć ryzyko opuszczenia bezpiecznego miejsca.

Widok kobiety z dzieckiem na ręku zwraca uwagę dwóch przechodzących mimo kolejarzy. - Dokąd się pani wybiera! Przemysł! Prosimy za nami! - prowadzą całą gromadkę sobie tylko znanymi przejściami na boczny tor, gdzie stoi jakiś pociąg.

- To ten. Zaraz go podstawiam, na peron - informują.

- Prędko, prędzej wsiadajcie! - nagła, podsadzając najbliżej stojącego Leszka. W tejże sekundzie pociąg rusza.

- Siedź tam, siedź! Nie bój się! Zajmij miejsce dla mamy! - woła jeden z kolejarzy.

Jego kolega uspokaja tymczasem Wiktorię.

- Proszę się nie przejmować, trochę żeśmy się spóźnili, ale to nic. Idziemy!

Na peronie - szalejące, przewalające się, ogarnięte paniką mrowie. Wyjący, tratujący się wzajemem kłęb ludzki rzuca się na nadjeżdżające

wagony. W jednym z okien - wystraszona twarz Leszka. Z nosem przy szybie, wpatrzony w tłum, nagle uśmiecha się radośnie. Te siostry machają do niego rękami, a tam mamusia! - wzdycha z ulgą.

Wiktor - na znak kolejarzy - przytula mocno Inge i puszcza się za nimi biegiem. Pędzą wszyscy, najprędzej, jak potrafią. Emilce jest lżej, bo walizki dźwigają opatrnościowi kolejarze, Dorota czuje się swobodniej, mogąc myśleć tylko o sobie.

Pociąg staje, kolejarze pierwsi wtłaczają się do wagonu. Wiktorię ubiega jakaś silna baba. Tarasując wejście i wykorzystując fakt, że stoi o stopień wyżej, popycha ją bez pardonowo.

- lcuś, lcuś, tutaj! Rzeczy dawaj! - woła.

Jednocześnie Wiktor, zachwiałszy się niebezpiecznie, z rozłożonymi rękami, zeskakuje szczęśliwie na płytę peronu.

Byłoby po Indze, gdyby nie zbawcza zapobiegliwość retmistrza. Jeden z kolejarzy robi porządek z samolubnym babkiem i pomaga Wiktorii wsiąść. Drugi zajmuje się dziewczętami.

Gdy pociąg ruszy, Wiktoria najpierw wdycha modlitewnie w intencji poczciwych kolejarzy a następnie zaczyna się zamartwiać o dzieci. Wsiadły czy nie; *niepodobna* tego sprawdzić. Wklinowana w przejściu między siedzeniami przedziału, z kolanami przy czyichś kolanach, *nie może się poruszyć*, Przed nią - twarze Hani i Władka. Żadnego z własnych nie widzi. Bieg pociągu wycisza ludzi i w tej ciszy rozlega się żalony jęk Bluszczykowej.

- Ani dzieci, ani pani Leszczyńskiej, wszyscy się pogubili...  
- Pani Bluszczykowa! - woła Wiktoria donośnie. - Pani dzieci są przy mnie, widzę je! Ale meich nie ma!  
- Są tutaj, są! - odkrzykuje Bluszczykowa. - Tylko Lesio *nie wiadomo gdzie!*  
- Mamusiu! - rozlega się z niedaleka głosik Leszka. - Jestem!  
Wiktoria wdycha ponownie; tym razem z ulgą.

- Dzięki Bogu, są wszyscy - i znów się martwi, bo przecież rzeczy!  
- Emilko! - zwraca się do córki, której skrawek kędzierów wreszcie dostrzega. - Nie wiesz, gdzie nasze walizki?  
- Są!  
- Bluszczykowa jest szybsza od Emilki. - *Bezpieczne!*  
*Pociąg mknie, czas płynie powoli. Wiktoria coraz mocniej odczuwa niedogodności "stania na jednej nodze" oraz dźwigania dziecka. Mimo sznurka musi je podtrzymywać, aż sztywnieją ramiona, aż nasila się przesładujący ją od ostatniego porodu ból kobiecy.*

- Gdyby usiąść! - marzy po cichu. - Żeby chociaż na pół godziny!...  
Siedzący przy oknie długobrody Żyd-starewina, z pejsami rozrośniętymi na pół twarzy, w jarmułce i czarnym, długim *chałacie z aksamitnym kołnierzem* dostrzega jej mękę.

- Pani siada z ten dzieciak! - wstaje z miejsca.  
Na widok jego siwizny i przygarbionych pleców Wiktoria waha się, lecz *wspaniałomyślny*

starzec <sup>(stanowczo)</sup> nalega wzrokiem. Patrzy na niego z wdzięcznością i - nie-  
co zażenowana - przyjmuje ofiarę. Siedząc, uświadamia sobie, że czuła  
się, jak zwykle przed omdleniem, do czego doszłoby niechybnie, gdyby  
nie pomoc.

Siedzący rzędem młodzi mężczyźni zdają się niczego nie zauważać.  
Noc wlece się ślamazarnie, Wiktorcia stara się nie  
myśleć o tym, że dzieci głodne, że zmęczone. Co rusz zerka na starcego  
Żyda, niepewna i zakłopotana. Zapropozować mu wymianę? Ale wtedy ona sa-  
ma nie wytrzyma! Przymyka powieki, zapada w płytką drzemkę.

Ktoś szarpie ją za rękaw, jakaś twarz pochyla się nad nią, ktoś krzy-  
czy z wyraźnym akcentem agresji w głosie.

- Pani ucieka!? Co pani wyprawia?! Pani sieje panikę! Trzeba na miej-  
scu siedzieć a nie pchać się dokądś z tym dzieckiem! - Jeden z młodych  
ludzi z naprzeciwka patrzy na nią nienawistnie, napastliwie.

Wiktorcia, przestraszona i zdumiona, zdobywa <sup>jednak</sup> się na ripe-  
stę.

- A pan dlaczego nie siedzi na miejscu?

- Bo ja mam obowiązek! - intruz zamierza coś do-  
dać, gdy milczący <sup>(dotychczas)</sup> starszy mężczyzna, zerwawszy się nag-  
le, szepcze <sup>(mu)</sup> kilka słów do ucha. Równocześnie chwycił go za ramię i wypycha  
z przedziału.

- I żeby ślad po tobie nie został! - woła groźnie.

Wiktorcia może odetchnąć podwojnie. Żyd - staruszek  
ślada pewnością, co uwalnia ją od wyrzutów sumienia. Znużona, przysypia.

W szarym brzasku przedświtu dwerzec Tarnowa technie grozą. Wypalony  
budynek stacyjny jeszcze cuchnie spalenizną, podróżni - W jego tle -  
wydają się tym mocniej rozgarączkowani, podnieceni, wręcz wystraszeni.

- Sabotaż! - mówi ktoś. - Podłożyli bombę!

Kto podłożył? Nie wiadomo. Wiktorcia, ecknąwszy się, myśli:

- Czuć wroga w powietrzu, chociaż go jeszcze nie widać. Którego to dzi-  
słaj mamy? No przecież dwudziesty dziewiąty! Wygląda na to, że mi się

dzieciarnia spóźni do szkoły.

W Przenyślu - tłok, jak wszędzie. Tu Wiktorcia odzyskuje swe walizki, strzeżone przez opatrznosciowego kolejjarza, który czuwał z ich powodu całą noc.

Na postoju dorożek dryndziarz najpierw żąda aż dziesięciu złotych za kurs a gdy Wiktorcia podaje adres pani Nawskiej, chłopiasko złazi, milcząc, z kozła i zaczyna wyładowywać bagaże.

Bluszczkowa, która nie odstępuje Wiktorii na krok, protestuje, oburza:

- Co pan wyrabia?!

- Nie pojadu, tam ulica rozkopana. Daleko.

- Mamusiu - wtrąca Emilka. - Pani Nawska nie mieszka już na Lwowskiej. Jeszcze przed zakończeniem roku przeprowadziła się na Grunwaldzką; wiem od bliźniaków "Pe - Pe". To bardzo daleko, ale w inną stronę.

- No widzi pan! <sup>(Tam chyba ulica nie jest rozkopana?)</sup> - cieszy się Wiktorcia, lecz dorożkarza nie przekonuje.

- No jidę - upiera się. - Mneho ludziej, mneho riczy.

- Te parę walizek? - broni się Bluszczkowa a Leszek jest o milimetry od mściwej chęci wsadzenia koniowi dryndziarza gwoźdźcia pod ogen. Powstrzymuje go ugodowa propozycja Emilki.

- Mamusiu, to my z Dorotą, Lesiem, Hanią i Władziem pójdziemy pieszo. Dorożkarzowi <sup>także</sup> to nie dogadza. Nie chce jechać i skończone.

Spór toczy się na skraju placzyku, nieopodal sklepu, przed którym stoi spora kolejka. Kolejka po chleb!

- A cóż to za czasy estateczne, że - aby kupić chleb - trzeba stać w kolejce a dryndziarz odrzuca zarobek! - bardziej dziwi się, niż oburza Wiktorcia.

Ludziom z kolejki zaczyna się to nie podobać. Jakaś krewka kobieta przyakakuje do woźnicy z wrzaskiem.

- Zsiadaj, druniu! Sami odwieziemy podróżnych, gdzie trzeba!

- Już, fara ze dwora! - pomaga jej druga i chłop mięknie.

- Dokąd jedziem? - pyta uprzejnie, wręcz ochoczo,

najwyraźniej jednak pod presją czuwających nad ponownym załadunkiem kobiet.

Dereżka, z Wiktorią, Ingą oraz Bluszczycową, pod baczny spojrzeniem nieznajomych, rusza tak wolno, że Emilka - przewodnik grupy - wyprzedza ją w pierwszej chwili z katwością.

Rozglądając się po znajomych kątach, odnosi dziwne wrażenie, że coś tu się zmieniło. Niby nic a jednak. Tylko co?

- Ach, te szylły nad sklepami! - doznaje olśnienia. - Ukraińskie.

Wtem traci pewność. Były przedtem <sup>(same)</sup> polskie czy nie? Jednak tu, w Rynku, nie mogło być aż tylu ukraińskich?

- Po jakimu to napisane? - zdumiewa się Derota i reszta.

- Po ukraińsku - wyjaśnia Emilka i dodaje. - Jako mniejszość narodowa mają prawo.

W ciasnym mieszkanku pani Nawskiej - tłok i zamęt niebывwały. Bliźniaki - Piotr i Paweł - koleżdy Emilki z gimnazjum <sup>(zwani skrótowo „Pe-Pe”)</sup> cieszą się na widok tylu gości/Bluszczycowa z dziećmi nie odstępuje Wiktorii na krok/, *ich matka*, mimowiednie, zdradza lęk, pytając niezbyt taktownie.

- Panie zostają w Przemyslu czy podróżują dalej?

- Zostajemy - odpowiada Wiktorii a Bluszczycowa przytakuje kiwnięciem głowy.

- W takim razie - zaczyna z pewnym przykusem gospodyni, lecz Wiktorii wpada jej w pół zdania.

- Ależ my sobie coś wynajmamy. Proszę wybaczyć ten nalet! Jutro, z samego rana, wybierzemy się na poszukiwania.

- Z mieszkaniem teraz trudno - ostrzega pani Nawska - ale nie tracmy nadziei. Tymczasem proszę na herbatkę.

*Całe przedpołudnie następnego dnia, przedostatniego dnia sierpnia, upływa przybyszom na gonitwie po mieście. Z marnym, początkowo, skutkiem. Ludzie, nagle jacyś niezyczliwi czy nieufni, wszędzie ta sama odpowiedź.*

- Nie wynajmuję.

Dopiero bliźniakom "Pe-Pe" udaje się wynaleźć wolny pokój w dwupiętrowej kamieniczce przy ulicy Recznej, lecz i tu właścicielka nie kwapi się do przygarnięcia uciekinierów.

Wikteria, doprowadzona do rozpaczy, decyduje się na krok ostateczny. Zjawia się przed zaskoczoną kamienicznicą w towarzystwie policjanta, dzięki czemu - po paru minutach - trzyma klucz od parterowego pokoju - nory w opłakanym stanie. Odrapane ściany, wypaczona podłoga, zakurzone szyby - wszystko to za mocne wygórowaną opłatę, regulowaną z góry.

- Za ten grajdoł! - oburza się Bluszczkowa.

- Ale za to na podwórzu jest schron - oświadcza właścicielka i robi gest, jakby chciała rzec: - Nie podoba się, to poszukajcie czegoś lepszego!

Wikteria, nie próbując się targować, przyjmuje twarde warunki. Trzeba się przecież śpieszyć. Kupić tapetę, wykleić ściany, posprzątać, zabezpieczyć okna przed gazami i bombami przy pomocy specjalnej, samoprzylepnej waty oraz pasków papieru. Wreszcie - urządzić spanie dla ośmiu osób a także zdobyć węgiel.

Zakupów Wikteria dokonuje sama, resztę bierą na siebie Bluszczkowa z panią Nawsą. Starają się oszczędzić delikatną, nie nawykłą do fizycznego wysiłku, szczipłutką mamę małej Ingi, która - w tym czasie - udaje się, w towarzystwie Emilki, na dworzec, pewna nadejścia bagażu, bez którego nie <sup>podobna</sup> się dłużej obejść.

Na ulicach niecodzienna wrzawa i tumult. Duże gromadki zatrzymują się przed słupami ogłoszeniowymi, na których - od wczoraj - wiszą olbrzymie plakaty.

#### OBWIESZCZENIE MOBILIZACJI POWSZECHNEJ

Twarze zgorączkowane, wystraszone, pośpiech, zgiełk. Uliczny głośnik bębni bez przerwy:

LUDNOSC CYWILNA I POLICJANCI KOPIA SCHRONY PRZECIWLOTNICZE

W bagażowni - morze rzeczy. Na półkach, na podłodze - całe stopy.

- Milko, poznajesz nasze? - pyta Wikteria córkę, zanim zwróci się do odpowiedzialnego pracownika. Ten kręci przecząco głową.

- Ależ muszą już być! - nie ustępuje Wikteria.

- Proszę sprawdzić - kolejarz zaprasza za balustradę.

Szkoda fatygi! Jakże znaleźć własne rzeczy pośród takiej powodzi obcych! Nawet, gdyby tu były.

Wikterię martwi najbardziej brak pościeli. Jak długo można spać na byle czym i pod byle czym!

- Mamusiu - proponuje Emilka - pójdę do sióstr, zabiorę chociaż mają pościel. <sup>(Tak czy inaczej,)</sup> nie wrócę już do internatu.

Podczas gdy Emilka kieruje się na Zasanie, Wikteria kręci w stronę starostwa. Trzeba się zameldować a także zdobyć węgiel, bez którego nie można wprost żyć. Mimo rwetasu i bałaganu, który opanował cały urząd, udaje się jej załatwić jedno i drugie.

Również wyprawa Emilki kończy się pomyślnie. Zaledwie przekroczywszy furtę klaszterną, spotyka swoją wychowawczynię, co przyspiesza sprawę. Siostra osobiście odnajduje w zawalonym po brzegi magazynie, internatką wyprawę Emilki: wielką granatową walizę z ciemnożółtą, jedwabną podszewką, poduszkę, wełnianą kołdrę, zmiany bielizny pościelowej i ręczniki. Dzięki temu cała rodzina śpi stosunkowo wygodnie/część pościeli pożyczka im pani Nawska/, aczkolwiek tę pierwszą na nowych śmieciach noc, noc przełomową, między sierpniem a wrześniem, przerywa - nad ranem - przejmujące wycie syren. A potem zjawia się pani Nawska z radiowymi wiadomościami.

- Dzisiaj Niemcy napadli na Polskę. Wojna! - mówi i wargi jej się trzęsą.

Lecz ten wojenny piątek

upływa stosunkowo spokojnie. Zgromadzeni w mieszkaniu pani Ste-

fanii, z lękiem, lecz i otuchą wysłuchują radiowych komunikatów. Szczególnie odezwy prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacego Mościckiego, która wzrusza ich do łez.

Kolejny dzień przynosi żałosną wieść o wczorajszym zajęciu Nowego Targu i Chojnic, o bombardowaniu ludności cywilnej i tras komunikacyjnych, co po prostu paraliżuje Wiktarię.

- Nowy Targ, mój Boże, czy Joachim zdążył wyjechać do Rawy?

Następne dni przynoszą same zmartwienia. Podobno Niemcy są już o dwanaście kilometrów od Przemyśla. Podobno złapano gdzieś szpiega. Podobno... Namacalna staje się natomiast codzienna udręka. Brak żywności, kolejki, brak mleka dla Ingi.

Emilka, jako osoba znająca miasto, bierze na siebie obowiązek zaopatrzania rodziny, w czym pomaga jej Darota. W ten sposób mogą zajmować miejsca w dwóch kolejkach na raz.

Najzacieklejsze boje toczą się pod piekarniami. Podczas gdy Darota stoi po mleko, Emilka, w towarzystwie Hani Bluszczówny, usiłuje wyjść cała z ciżby pragnącej zdobyć chleb. Przyparta do muru, traci siły i wolę oporu, gdy ktoś kierze ją niespodziewanie w obronę.

- Co wyrabiacie, ludzie! Dziecko zadusicie!

- Ja nie jestem dzieckiem! - protestuje natychmiast ledwie już żywa Emilka. - Ja mam szesnaście lat!

To rozładowuje emocje. Twarze rozluźniają się. Tu i ówdzie pojawiają się uśmiechy. Ciżba najwyraźniej mięknie, wytracą agresję. Nikt się nie pcha, każdy spokojnie podchodzi do lady, kupuje. Bierą w dłonie pachnące, rumiane chleby, wdychają z rozkoszą najwspanialszą na świecie woń. Woń świeżo upieczonego chleba. To nic, że sprzedają tylko po jednym bochenku. Nikt nie protestuje. Musi starczyć dla wszystkich.

Powietrzem niesie się przeciągłe, falujące wycie syren. Nalet! Kolejka ani drgnie. Nikt nie traktuje poważnie ostrzeżenia. Chleb ważniejszy.

Emilka, przerzucając z ręki do ręki gorący bochen, kieruje się ku



mleczarni. Idzie, jak zaczarowana, nie mogąc oderwać wzroku od krwawych śladów stóp na chodniku. Bosych stóp, chyba męskich, bo

duże. Sunie czerwonym tropem, omijając krew, wciąż - mimowiednie - przerzucając oklepek w dłoniach.

- Ktoś został ranny w nogę, ale co z butami? Co z butami!? - Czując skurcz mięśni twarzy, rozpaczliwie dodaje sobie otuchy.

- Te trzeba wytrzymać. Trzeba wytrzymać! Wytrzymać!!!

Zwycięska mina Deroty, świadcząca, że i jej powiodły się zakupy, odwraca jej uwagę od strasznych śladów, lecz nie usuwa troski. Napięty przypominający o nakazie zaciemniania okien uświadamiają, że w domu nie ma niczego, co by się do tego nadawało.

Wiktorcia rozstrzyga problem bez namysłu. Po prostu nie będzie się palić światła po zapadnięciu zmroku, co nie potrwa długo, Nadejdzie kagaź i po kłopotach.

Kłopot jednak nie mija, bo rzeczy wciąż nie ma. Nie ma także żadnych wiadomości o Joachimie, chociaż Wiktorcia nagabyje bezsensownie przypadkowych nieznajomych i - opisując powierzchowność mężczyzny - pyta o niego uparcie.

- Może pan go widział? A może pani? Bardzo charakterystyczny ze względu na łysinę. W mundurze Straży Granicznej. Nie? To może pan?...

Emilka usiłuje przeszkodzić matce, Ogarnia ją wstyd, że tak zaczepia ludzi, zwłaszcza umundurowanych.

- Mamusiu, może znów wejdziemy między półki. Może odnajdziemy nasze rzeczy.

Niestety, na widok jeszcze większych niż poprzednio stert waliz, pak i kufrów, rezygnują z poszukiwań. Przygnębione, wychodzą na plac przed dworcem, idą ulicą Dworskiego. Zatrzymane na krótko dźwiękiem syren przeciwlotniczych, zamierzają je zbagatelizować, czemu zapobiega magistracka straż porządkowa. Zapędzone do wspaniałego, wysłanego miękkimi dywanami, hotelowego hallu, patrzą niebawem, jak płonie kamienica naprzeciwko, co przyjmują w sposób

niemal naturalny, niejako akceptując. Również złowróżbne zawođenje bombowców oraz ogłuszające eksplozje wybuchów nie budzą w nich, podobnie jak w innych, należytego respektu. Jakby wszystkie to działa się na niby. Jakby nie mogło być prawdziwe.

Kiedy jednak zaczną płonąć <sup>inne</sup> domy, szpitalę zapełnią rannymi a cmentarz zabitymi, poznają strach przed śmiercią. Jej realne zagrożenie odczuje także Wiktoria z bliskimi.

Pani Nawska cudem pozostaje wśród żywych.

- Pan Bóg osłonił mnie swą tarczą - mówi na zakończenie relacji o przygodzie z poprzedniego dnia, gdy - podczas podkładania pod płytę - została odwołana do pokoju przez któregoś z bliźniaków i gdy - w tymże momencie - bomba trafiła w komin, powodując rozwalenie się pieca.

Wycie syren podrywa teraz na nogi coraz częściej. Coraz gęściej spadają bomby i coraz więcej ludzi pozostaje bez dachu nad głową. Płonie dwerzec a z nim - jeśli nadeszko - również Wiktoria. Miasto osnuwają dymy i swąd spaleniżny. I wciąż nowe naloty, nie kończące się zagrożenie, i potęgający się popłoch.

Dom, w którym mieszka Wiktoria, ciągle stoi, lecz nie można ryzykować. Gdy zaczynają wyć syreny a córka gospodyni woła "do schronu, prędko!", rzucają wszystko i pędzą co sił przez podwórze. Z wyjątkiem jednego razu. Wiktoria alarmowa syrena zaskakuje w bólach. Nie zrobi ani kretku, trudno.

- Milka, bierz Inę i resztę, ja zostaję.

Lecz dzieci protestują.

- Nie, my razem! Tak albo tak, ale razem!

Bluszczyków akurat nie ma, Wiktoria jest bezsilna.

Wkrótce pulsujące buczenie syren ustaje, jakby wyparte falującym szumem bombowców, który błyskawicznie potężnieje i zaczyna szczekać wylotami karabinów maszynowych.

- Na północny wschód suną - mówi Emilka, obserwując je zmrużonymi od słońca oczami. - Nasze szczęście. Gdyby wszystkie miały kurs na

Przemyśl, nic by z nas nie zostało.

- Co ty mówisz, córeczko! Tam przecież może być tatuś! - wtrąca ze zgrozą Wiktorcia i Emilka milknie, zawstydzona własnym egoizmem.

- O Boże - wzdycha Dorota głośno. - Takie piękne niebo i nic, tylko te warczące potwory. Oczy mam pełne samolotów i nawet, kiedy ich nie ma, myślę, że są. Strach patrzeć w górę. Nawet ptaki wyglądają, jak bombowce.

Leszek od dłuższej chwili przygotowuje się do "kilku słów pocieszających", gdy wszyscy kurczą się na odgłos wybuchu tak bliski, że dom drży w posadach. Gdy, po wszystkim, podejda, nieśmiało do okna, tracą oddech. W miejscu, gdzie był schron, widnieje ogromny lej.

Lament nad domniemanym tragicznym losem gospodyni z córką wycisza pojawienie się tychże, całych i zdrowych. Przedziwnym zrzędzeniem losu nalet zaskakuje je na mieście, dzięki czemu ocalały.

Od tego momentu jedno staje się jasne. Schrony nie zapewniają bezpieczeństwa. Trzeba szukać innego schronienia, poza miastem.

Pierwszy jęk syren przeciwlotniczych to sygnał do chwycenia przygotowanych uprzednio tłumaczków i masowa ucieczka w poszukiwaniu naturalnej osłony: pod krzakami, pod drzewami, między skałami. Nawet, gdyby wszystko wskazywało na to, że nalotu nie będzie. Syreny dawno milczą; czyżby miały się rozzejść po kościach? Gdzie tam! Już jest. Najpierw cichy szum a zaraz potem huk. I trzask karabinów obrony przeciwlotniczej. I - zdarza się - wybuch w powietrzu.

- A jednak się bronimy! Bronimy się!!!

- Dwa! Tym razem dwa! Mówię pani, że dwa! - woła kobiecie głos gdzieś spoza skały i wszyscy wierzą. Jasne że dwa! Dostają za swoje! Upalne dni sprzyjają szerzeniu się pożarów. Miasto staje się coraz mniej bezpieczne, ludzie - nieufni, niecierpliwi. Już nie czekają na ostrzegawcze wycie syren. Skoro świt opuszczają domy, do których powrócą dopiero wieczorem.

Wiktorcia jest w trudnym położeniu, obie ręce ma zajęte niemowlęcią poduszka.

Tłumoczki dźwigają starsze dzieci, które popędza przedem, by mieć je na oku.

Nowa taktyka oszczędza ludziom stresów związanych z gonitwą na wyścigi z syrenami, umożliwia też rozważny wybór potencjalnie bezpiecznego skrawka ziemi. Nawet sąsiedzkie pogawędki, zanim rozjeczą się miejskie syreny.

Na ten sygnał zamiera, kto żyw i kto żyw chroni się choćby w myśliadziurę. Wiktoriana posiada opracowaną taktykę. W upatrzonym wcześniej zagłębieniu gruntu umieszcza poduszkę, nachyla się nad nią niby parasol ochronny i przynagla pozostałe dzieci, by przywarły do ziemi.

Robią to pośpiesznie, bo nad głowami trwa już głuchy szum i niemal nieustające "tra-ta-ta-ta" karabinów maszynowych.

Emilka boi się, lecz coś każe jej otworzyć oczy i patrzeć. To, co napotyka na linii wzroku, o centymetry od własnej głowy, niemal ją <sup>(psychicznie)</sup> unicestwia. Równiutki rząd regularnie rozmieszczonych dziurek. O Boże, dzięki! - wzdycha wreszcie, lecz wie jedno. Nigdzie! Nigdzie na tym świecie nie znajdują już bezpiecznego miejsca.

- Mogliśmy zginąć w schronie, gdyby to nam było sądzone - myśli - więc po co te ucieczki? - Mina to wyciąga ostrożnie rękę i starannie zasypuje ślady po kulach.

Warkot samolotów oddala się, przycichła, co nikogo nie zwodzi. Nie gą wrócić. Trzeba czekać na znak. Na zbawczy, przerywany gwizd syren miejskich odwołujących alarm. Wówczas dopiero można wstać, rozprostować kości, odetchnąć z nadzieją:

- Może już dziś nie przylecą? Aby do wzroku! W nocy nie bombardują. Wieczorny powrót to także wielka niewiadoma. Czy wszyscy zostaną swedomy w całości? Tu i ówdzie płonie jakiś gmach, rozlegają się suche trzaski zapadających się kondygnacji, dusi odór spalenizny.

Wiktoriana, na widok raz jeszcze ocalałego domu, odmawia krótki akt strzelisty do Boga, potem karmi cichuteńką - jak zwykle - Inge/czyżby

maleństwo wiedziało, że nie wolno płakać?/, wtyka starszym po kęsie chleba i nareszcie może się położyć.

Lecz sen nie przychodzi. Tyle myśli - jedna gorsza od drugiej - tyle zmartwień, tyle rozpaczy. Patrzy w ciemnościach w daleką czerń nieba za nie osłoniętym oknem, teczy długie rozmowy z nieobecnym Jeachinem, wyrzuca mu, że ich zostawił samych.

Od ziemi ku niebu wytryskują dziwne błyski. Urywają się, znów pojawiają.

- Cóż to! Sygnały świetlne? - myśl powraca do rzeczywistości. - Teraz, kiedy obowiązuje zaciemnienie? - Pani Bluszczykowa! - szepcze głośno. - Proszę się obudzić! Chyba jakiś szpieg tu działa. Trzeba by powiadomić władze!

Lecz błyski w międzyczasie ustają.

Obudzona mruczy niezbyt uprzejmie, co zdarza się po raz pierwszy.

- Wydaje się pani, można się tylko ośmieszyć.

Wiktorcia traci pewność siebie. Ma zresztą inne, bardziej realne zmartwienie.

- Jestem nędzarką - myśli z rozpaczą. - Nigdy nie odzyskam moich rzeczy. Jak mogłam wypuścić je z rąk w takich strasznych czasach! Nawet biżuteria została w maszynie. Pościel, ubrania; w co ubiorę dzieci, kiedy nadejdzie zima?!

Na tym nie koniec trosk. Po mieście zaczynają krążyć przerażające wieści. Podobno Niemcy tuż. Podobno łapią chłopców. Podobno gonią ich przed frontem w charakterze żywych osłon przed ostrzałem polskich żołnierzy. Wiktorcia popada w panikę. Mój Boże, Leszek! Co robić?

Niepokojące informacje mnożą się. Podobno Niemcy zrzucają z samolotów rozmaite przedmioty: zabawki, wieczne pióra, ołówki. Gdy się je podnie-  
sie, wybuchają w dłoniach.

- Dzieci, nie bierzcie niczego z ziemi. Nie dotykajcie! Nawet, gdyby to była ze złota!

Dorota, rodzinny trzpiot, wykorzystuje ostrzeżenie po swojemu.

Podskakując z uciechy, że może się pochwalić ważnymi wiadomościami i zaimponować innym dzieciom, wymyśla "byczą bajkę".

- Niemcy zrzucają z powietrza zatrute szpilki! Ludzie wbijają je w nogi i natychmiast umierają!

"Bycza bajka" zatacza krąg, by już następnego dnia wrócić do niej poprzez usta Wiktorii, ostrzegającej swą gromadkę właśnie przed "zatrutymi szpilkami". Dorota pęcznieje z dumy, lecz <sup>(przezornie)</sup> przemilcza swój udział w tej sprawie.

Dla Wiktorii jest ona jednak jakąś granicą. Punktem, poza który nie czuje się na siłach postąpić ani kroku.

- Dosyć tego! Ani dnia dłużej w tym okropnym, obcym mieście! Ani dnia bez Joachima! Jadę do Rawy Ruskiej. Jadę do ciebie, Joachimie. Nie mogę tego znieść! - nagle odnajduje w sobie niespodziewaną energię, mocną wolę działania.

Wysyła starszą trójkę - powierzywszy ich pieczy Bluszczykowej -

za miasto, sama natomiast - z Ingą w ramionach - udaje się na poszukiwanie jakiegoś środka lokomocji. Kołaczce po urzędach, błaga władze wojskowe - bez efektu. Wreszcie, w Komendzie miasta,

dowiaduje się, że tej nocy przez miasto przejdzie tabór Straży Granicznej, z którym może się zabrać.

Uradowana, zostawia adres i udaje się do pani Nawskiej z dobrą - jak sądzi - nowiną.

- Wyjeżdżamy razem, pani Stefanie!

- Ja się stąd nie ruszam - oponuje nieoczekiwanie pani Nawska. - Tu oczekam na męża a i pani radzę to samo. Jesień za pasem a państwo nie zaopatrzeni. Proszę mnie usłuchać, pani Wiktorio, i zostać. To już dziewiąty dzień wojny. Jeszcze parę dni! Ruszą Francuzi, Anglicy... Sama pani mówiła...

- Ależ chłopcy! - nie ustępuje Wiktorja. - Mogą nam ich zagarnąć! Niem-

ców tylko patrzeć!

- Chłopcy, jeśli Bóg zechce, ocaleją. Ja, z tego powodu, nie uciekam nigdzie nawet podczas nalołów i włos nam z głowy nie spadł.

- Webec tego jadę sama - oświadcza Wikteria i dodaje: - No, może z Bluszczykową, jeśli zechce... - Wtem niewieje na widok zemdlonej z emocji pani Nawskiej.

Lecz nawet to nie wpływa na zmianę jej postanowienia i pani Nawska, ocuciona, zaczyna się krzątać, by ją jakoś zaopatryć na drogę. Wtyka Wikterii jedną z dwóch ciepłych kurtek bliźniaków "Pe-Pe" - z szarej, w białe gruzełki, wełny, z barankowym kołnierzem.

- Za duża na Lesia, ale lepsza, niż żadna - mówi stanowczo i dokłada wyniesioną ze spiżarni, dużą bańkę miodu. - Jedźcie z Bogiem, skore już pani tak się uparła - w jej oczach błyski. Pochlipuje nawet na ulicy, kiedy odprowadza Wikterię na Rzeczną, co towarzyszący jej synowie przyjmują z niebotycznym zdumieniem. Po raz pierwszy w życiu widzą swą surową matkę płaczącą.

Wikteria uważa się za nieźle zabezpieczoną, na tę niedaleką - jak przypuszcza - podróż. Udaje się jej, dzięki obecności trzech osób, kupić aż pięć bochenków chleba; nie będą głodni.

O zarzku, po powrocie Bluszczykowej z dziećmi, przygotowania do wędrowki nabierają rozpędu. Bluszczykowa nie waży się ani sekundy.

- Jadę z panią - oświadcza energicznie i zaczyna poganiać Hanię.

Oczekiwanie na zapowiedziany tabor trwa długie godziny. Zaczyna już tracić nadzieję, gdy - po północy - daje się słyszeć turkot kół przed domem oraz kląskanie kopyt końskich. Lecz radość wszystkich osiąga szczyt na widok... Bluszczyka we własnej osobie. On także oczom nie wierzy, że "postrzelone baby", które mu nakazano zabrać do Rawy Ruckiej, to jego rodzina i żona przełożonego.

Szumny tabor składa się z <sup>(raptem)</sup> dwóch furmanek i dwóch niezapewolonych woźniców przypisanych do zarekwirowanych furek, patrzących nieprzyjaźnie, spode łba na dodatkowy, żywy bagaż.

Wikteria nareszcie oddycha swobodniej, pewna, że - zgodnie z zapewnieniem Bluszczyka - niebawem zobaczy męża i skończy się jej

gehenna.

- Jeśli miał przydział do Rawy, to pewnie tam jest. Wiem, że właśnie tam mają się formować nowe jednostki do obrony frontu południowego. Stamtąd na Lwów a we Lwowie czekanie na nowe rozkazy - informuje Bluszczuk.  
Wiktorcia mocniej przytula poduszkę z Ingą. W jej serce wsącza się powoli ufność. Za paręnaście godzin zobaczy Joachima. Za paręnaście godzin - no, może trochę później - nie będzie już musiała o niczym decydować, o nic się martwić. On wszystkim pokieruje.



Rozdział II

W D R O G E

Późno w noc furgony ruszają. Ulica Adama Mickiewicza, główna arteria wylotowa na wschód, w której nurt niełatwo się włączyć, oświetlona wielkimi pochodniami płonących po obu stronach domów, roi się spanikowaną masą uciekających przed siebie pieszych, konnych i zmotoryzowanych. Jest w tym pozornym nieładzie jakiś porządek. Jadący zajmują środkowy nurt, piesi wloką się wzdłuż obrzeży - objuczeni pakami, paczkami, walizami, węzełkami, dziećmi. Powłóczą nogami, uginają się pod ciężarami, potykają się, jękiem i spojrzeniami błagają o pomoc szczęśliarzy na wozach. Tysiące kroków i szurnięć, tysiące słów, okrzyki, skrzyp kół, stukot końskich kopyt, warkot silników. I wciąż wołanie o litość.

Wiktorii krwawi serce. Poczucie niezawinionej winy każe jej przymknąć oczy, nie patrzeć na tych, którym pomoc nie może.

Nie sposób jednak nie słyszeć, toteż słucha ze zgrozą prośb, na które musi pozostać głucha.

- Ludzie, litości! Przygarnijcie!

- To koniec, nie mam już siły...

- Od samego Krakowa tak idę, błagam!

Rdzawe blaski pożarów tańczą na skrawkach bruku ulicy, zapalają czerwienią umęczone oczy. Trzeszczą zetlałe krokwie ogarniętych ogniem budynków, fioletowy pas nieba przeryniają co rusz skosy świetlnych smug. Gasną, znów migają. Przykry swąd spalenizny drapie gardła, wyciska łyzy.

Dorota zerka na śpiącą w ramionach matki Inge i ogarnia ją zazdrość.

- Tej to dobrze! - rozgląda się, bardziej zdumiona, niż przestraszona, odrobinę nawet podniecona, przy tym współczująca wobec pieszej ciżby,

pośród której nieliczni tylko posiadają rowery, dzięki czemu nie muszą przynajmniej dźwigać.

Wreszcie zasnuty dymem Przemyśl zostaje w tyle. Wokół ciemności, wezbrane nie mającym początku ni końca żywym potokiem, który - owładnięty paniką - nie ustaje w swym znoju zdobywania przestrzeni ani na moment. Byle prędszej, dalej od ognia, od bomb. Wszystko jedno, dokąd. GDZIES, gdzie może będzie lepiej, bezpieczniej.

- Skąd się tyle tego narodu nabrało! - dziwi się w głos Bluszczykowa a Wiktorię, w tejże chwili, ogarniają wątpliwości czy słusznie uczyła, porzucając dach nad głową, niepomma, że mogli go przecież utracić po pierwszym lepszym nalocie. Nie potrafi myśleć logicznie, nie jest w stanie myśleć wcale. Spać! Rozprostować zdrętwiałe ramiona i nogi, pozbyć się nieznośnego bólu w podbrzuszu. Zasnąć!

Lecz wie, że tego uczynić nie wolno. Tylko nie to! Przygarnia mocniej poduszkę z Ingą, poprawia uchwyt torebki zawieszanej na przedramieniu, liczy zmęczonym wzrokiem dzieci. Dorota pragnie okazać się użyteczna. - Mamusiu, popilnuję! - zabiera torebkę Wiktorii, obejmuje ramionami. Wóz trzęsie, Dorota pochyla się sennie. Gdy się ocknie, stwierdza brak torebki.

Wiktorii nie potrafi się długo skupić na stracie. Szkoda dokumentów, lecz co tam! Jedzie do Joachima!

Ponure chłopisko na koźle zerka ku niej nieprzychylnie, zatrzymuje konie, złazi ciężko, stękając ostentacyjnie. Majstruje coś przy kołach, mrużąc wrogo, gramoli się z powrotem. Wiśta-wio!... Jakiś czas milczy, wreszcie oświadcza dobitnie:

- Ten wóz nie wytrzyma.

- Nie ma obawy - gasi go natychmiast Bluszczyk. - To solidna fura. Mimo to chłop powtarza swój manewr przerywania podróży, jak i słowa, jeszcze dwukrotnie, w nadziei pozbycia się pasażerów. Najwidoczniej jednak nie udaje mu się popsuć niczego skutecznie, gdyż bez przeszkód docierają do Medyki, gdzie - w skąpym poblasku przedrannej godziny - obie fury, na polecenie Bluszczyka, zbaczają do sadu, między

stare, rozłożyste jabłonie, obciążone dojrzewającymi owocami.

Jak dobrze zejść z wozu na zieloną, miękką trawę, usiąść na niej, mimo nocnej jeszcze wilgoci, z plecami opartymi o chropowaty pień, poczuć stały grunt pod umęczonym ciałem, przymknąć oczy, nie patrzeć na kłusujących mimo, co sił, żołnierzy i cywilów, nie widzieć ich trwogi, nie słuchać bezładnych, panicznych okrzyków.

- Wszystko zbombardowane!

- Strzelali do ludzi!

Wiktoria : z całej mocy usiłuje wyobcować się z tego piekła, lecz nerwy nie wytrzymują. Mimo śmiertelnego zmęczenia, nie potrafi usiedzieć na miejscu. Zrywa się i - z Ingą w objęciach - krąży niespokojnie od jabłoni do jabłoni, nie myśląc o równie, a może bardziej, przerażonych dzieciach. Dostrzeże je dopiero w jaskrawo wstającym słońcu - pokurczone, zbite w kupkę, z której patrzą w nią trzy pary głodnych oczu. Zatrzymuje się i to budzi Ingę, która zaczyna marudzić.

Kładzie poduszkę obok starszych dzieci, zmienia mokrą pieluszkę, odwraca się dyskretnie i podaje niemowlęciu pierś. Inga łapie ją chciwie, lecz prędko odrzuca, płacząc rozdzierająco, co w pierwszej chwili załamuje Wiktorię zupełnie.

- Straciłam pokarm! Co teraz? Ani butelki, ani smoczka, ani nawet mleka!

No nie, mleko można kupić. Jesteśmy we wsi.

Zamierza powierzyć Ingę Emilce i ruszyć na poszukiwania, co widząc Dorota, nie wytrzymuje. Od paru minut podgląda zazdrośnie

posilającą się rodzinę Bluszczaków. Rozumiejąc

jednak, że u nich pierwszeństwo w tym względzie należy się matce, milczy. Lecz teraz nie potrafi się powstrzymać.

- Mamusiu - zaczyna żałośnie - nie będziemy nic jedli?

Emilka wstydliwie przymyka oczy, Leszek wpatruje się w matkę z niemą nadzieją.

Wiktoria reflektuje się.

Wydobywa z torby bochenek chleba, przełamuje go ostrożnie na dwie równe części, jedną chowa, drugą obdziela wygłodniałą trójkę.

Bluszczkowa z Hanią wybierają się właśnie do wsi, <sup>więc</sup> Emilka przyłącza się do nich, wyręczając matkę.

- Kupię mleko a przy okazji poszukam szewca - mówi. - Urwał mi się pasek u sandałka.

Wracają z niczym. Nigdzie ani mleka, ani nawet wody. Wędrujące tłumy osuszyły wszystkie dostępne studnie. Za to Emilka znajduje szewca, który od ręki reperuje sandał. Tylko Inga wciąż popłakuje z głodu, którego nie potrafią wyciszyć kołyszące ramiona matczyne.

Problem rozwiązuje Bluszczkowa. Zgodnie z jej instrukcją,

Wiktoria sporządza niby-smoczek z rogu czystej chustki do nosa, miękiszu chleba oraz garstki cukru - pomysł, jak się okaże, przydatny także na przyszłość.

Popas pod jabłoniemi nie regeneruje się, lecz czas goni. Należy ponownie włączyć się w nurt na szosie i znów poddać się przykrym ewolucjom podskakującego na wybojach furgonu, walczyć z bólem głowy, ścierpiętych mięśni i zastałych kości - cierpieniu o znamionach żenującego luksusu w porównaniu z męką pieszych.

Brnący bliżej wozów przytrzymują się ich słabnącymi dłońmi. Niektórzy odstają zupełnie, nikną z oczu. Tuż za furmanką Wiktorii sunie od dłuższego już czasu wysoki mężczyzna z dwiema walizami oraz wielkim bochenem chlebowym pod pachą. W jakiejś chwili - jakby mimochodem - upuszcza jedną walizę, <sup>(zas)</sup> wolną ręką chwyta się fury tuż za plecami Emilki, kulącej się najmocniej, jak potrafi. Od <sup>(reki)</sup> bliskości tej, której ciepło czuje wyraźnie, zaczyna drżeć. Kątem oka dostrzega, jak obcy - znów beznamietnie - pozbywa się pozostałej walizy i odnosi wrażenie, że sama odczuwa ulgę, której doznaje tamten, ściskający teraz kurczowo już tylko chleb.

Dygocąc coraz mocniej, usiłuje nie widzieć, jak nieznajomy pozostaje w tyle, jak gubi się w ciżbie.

Ponad horyzontem stoi czerwony kurz pożarów. Na poboczach, z wysokości fury - bardziej jeszcze wstrząsający widok: świeżych śladów nalotów. Poharatana ziemia, poniewierająca się na niej zwłoki ludzkie i końskie; niektóre przysłonięte jakimiś płachtami, większość strasząca zmasakrowanymi twarzami, oderwanymi od tułowi kończynami i tym najgorszym: metrami rozwleczonych wnętrzości oraz wyszczerzonymi końskimi pyskami.

Patrzą, nie wierząc oczom. To wszystko prawdziwe? Wszystko, wszystko?! Wiktoria niżej pochyla się nad niemowlęcą poduszką, Leszek blednie coraz bardziej, Dorota płacze bezgłośnie, Emilka powtarza w duchu swoje zaklęcie.

- To trzeba wytrzymać. To trzeba wy... - nie kończąc myśli, podrywa się, by przytrzymać wychylonego niebezpiecznie "za burtę" brata.

Leszek, tkwiący na swym skrawku wozu niby drewniany klocek, wyczuwa właśnie, że koła przetaczają się po czymś miękkim. Tego za wiele.

Ubezpieczony przez siostrę, wymiotuje długo i boleśnie. Prostuje się nagle, na pierwszy, odległy jeszcze odgłos buczenia, który gwałtownie potężnieje. Nalot!

Na szosie istny kocioł. Wozy, samochody i piesi - na łeb-na szyję - wiewają pod osłonę drzew. I już ogień karabinów maszynowych, i bliskie wybuchy.

Największe spustoszenie czynią serie pokładowego ognia na rozległym polu dostatej kapusty. Jej lśniące, jasne głowy *dezorientują* najwidoczniej podniebnych strzelców. Samoloty przelatują, co nie myli nikogo. *Dopiero gdy zawrócą, raz jeszcze ziejąc ogniem,* można powrócić na drogę.

Wielu nie poruszy się już nigdy. Dla nich ucieczka *do nikąd*, skończona.

Tabor prowadzony przez Bluszczaka wychodzi także z tej próby bez strat. Obydwa wozy niezdarnie, opieszale włączają się z powrotem

w nurt. Konie człapią - noga za nogą - przystosowując się do ślamazarnego tempa wymuszane przez pieszych.

W gorących smugach słonecznych - spopieliałe szczątki dworców, dopalające się zabudowania wiejskie, jakiś duży, płonący obiekt - skutek niedawnego nalotu. Nie ostatniego w tym dniu. Dwukrotnie jeszcze uda się im ujsć cało, zanim zapadnie zbawczy zmrok a z nim nadzieją odpoczynku w niedalekiej już Sądowej Wiszni.

Lecz rakawa poświata nad miasteczkiem, gdy wczesną nocą dotrą w jego pobliże, niweczy wszystkie plany. Sądowa Wisznia płonie.

Muszą teraz, nie zwlekając, przedrzeć się przez ogarniętą <sup>ogniem,</sup> głow-  
ną ulicę aż do skrzyżowania dróg: Rawa Ruska - Lwów, co niespodzianie aktywizuje Wiktorię. Konie kwiczą, buntują się - w niej grają nerwy.

- Dzieci, cieszcie się! - woła radośnie. - Niedługo zobaczymy tatusia!

- I dostaniemy jeść! - wtrąca z zapalem Dorota. Ta sama Dorota, która, do niedawna, kotlety nazywała świństwem i wyrzucała jedzenie w tajemnicy przed rodzicami.

Wozy posuwają się wolno pośród rozlewiska tłumów i ognia. Równomiernego, potężnego, spokojnego, niemal dostojnego <sup>(ognia.)</sup> Jest upał, dym gryzie w oczy, wszyscy kaszlą, płaczą, zatykają nosy chustkami. Bezskutecznie.

Przed przykrą wonią spalenizny nie sposób się obronić.

Rozwidlenie traktów witają z prawdziwą ulgą. W rdzawych półciemnościach, nie zwlekając, kierują się w stronę Rawy. Nie odjadą daleko. Zatrzymani przez jakies wozy i ludzi z przeciwka, niemieją ze strachu.

- Wy dokąd? Stać! Tam Niemcy! Droga odcięta!

- Jezu! - Bluszcz na moment nieruchomieje - Przecież to nasz tabor.

Ze Straży!

ja, Bluszcz!

- Po czym woła głośno: - Panie przodowniku, to

Z leśnickiej placówki! Ze mną rodzina

szefa i moja, My właśnie do Rawy!

Do wozów zbliża się konny w randze przodownika Straży Granicznej.

- Zawracać, mówię! - krzyczy.

- Ale dokąd?

- Został nam tylko trakt na lwów, na co czekacie? Zawracać!

- A dalej? Co dalej?!

- Kto chce, może choćby do Rumunii. To nasze jedyne połączenie ze światem. Tam też odrodzi się nasza Armia.

- Panie przodowniku - Wiktoria stara się o spokój - ja potrzebuję tylko do Lwowa. Skoro w Rawie Niemcy, mój mąż musi być we Lwowie.

- Ależ proszę! - przodownik dotyka dłonią daszka czapki. - Nie widzę przeszkód.

Przeszkoda jednak istnieje. Właściciele podwód oświadczają stanowczo, że do Lwowa nie pojadą. Miało być do Rawy, więc nie ma o czym gadać.

Przodownik, Stefan Baczyński, ma ludzkie serce. Jako komendant

taboru mógłby zatrzymać woźniców. Tym bardziej, że miejsca na wojskowych furgonach dla cywilów nie ma. Pozwala <sup>jednak</sup> odjechać uszczęśliwionym gazdom. Następnie rozmieszcza obie rodziny /gdzie się da/ między wielkimi, okutymi, drewnianymi skrzyniami zalegającymi wysokie, solidne, żołnierskie wozy.

Usadowiona na pakach, Wiktoria spostrzega - za późno - brak bańki z miodem od pani Nawskiej. lecz boleje nad tą stratą krótko. Niech pójdzie chłopu na zdrowie, Niech mu będzie zapłatą za "kurs".

Na skrzyżowaniu tabor zatrzymuje się na jakiś czas, co powoduje zajązanie na wozach. Od strony wciąż płonącej Sądowej Wiszni przypada do Wiktorii gromadka znajomych z Krościenka - także rodzimy strażników.

- Pani Leszczyńska, to my! - radosny głos należy do Bieniakowej, której towarzyszy córka imieniem Renia, starsza koleżanka Emilki. Tuż za nimi ciśnie się szczuplutka Rupińska z synkiem w wieku Leszka, Heniusiem, jak go nazywa. Niezaradna, chorobliwie nieśmiała, powtarza

cichutko:

- Tak, proszę pani, to my.

Za nią tłoczy się grupka nieznajomych, zaprzyjaźnionych - jak się okaże - z Bieniakową. Dwie dziewczynki/czternastoletnia Kasia i czteroletnia Basia/ pod opieką wielkiej, tęgiej baby, Kiewiczowej, przybranej matki dziewczynek-sierot.

Początkowo komendant nie chce nawet słyszeć o dodatkowych pasażerach, jednak, postawiony przed faktem dokonanym, kapituluje.

Bieniakowa załatwia to błyskawicznie.

- To tabor ze Straży Granicznej, tak czy nie, pytam!

- Tak - komendant nie zamierza kłamać.

- To ja włożę! Ja też ze Straży! - W następnej sekundzie <sup>(kobieta)</sup> siedzi na skrzyni obok Wiktorii, którą bezceremonialnie przesuwa na bok.

- Co to znaczy! Co to się dzieje! - komendant próbuje walczyć, lecz ona oświadcza kategorycznie:

- Jakem wlaźła, to nie zlażę! Renia, poszukaj sobie jakiegoś miejsca - zwraca się do córki, co świadczy, iż kwestię uważa za rozstrzygniętą. Za to swą znajomą, Kiewiczową, usiłuje zniechęcić do wspólnej podróży.

- A pani po co w świat się pcha? Panina mama tutaj mieszka, czyż nie? Odpowiedź Kiewiczowej zamyka usta wszystkim.

- Muszę odnaleźć męża - odpowiada, oddalając się do czoła taboru w poszukiwaniu wolnego miejsca.

Tabor jest spory, liczy dziesięć furgonów. Wpląsuje się na jednym z nich także niemrawa Rupińska. W rezultacie kolumną rusza w drogę z szesnastoma osobami cywilnymi, co stanowi dodatkowy obowiązek dla komendanta Baczyńskiego i jego młodocianego pomocnika, skauta-licealisty imieniem Maciek.



W ciemnościach, na okrzyk Maćka: "Wsiadaneegooo!", furgony, gęsiego, wciskają się sprawnie na zatłoczoną lwowską szosę. Sona powoli, trzępiąc pasażerami na wszystkie strony, czasem przystając, by przeczekać zator. Jest to męczące, Wiktoria znowu walczy z bólami. Najdokuczliwsze jednak okazują się przedranne godziny, kiedy wszyscy drżą z zimna, zbyt lekko odziani, nie przystosowani do sytuacji. Są to zarazem godziny nadziei, okres wyczekiwania na słońce i ciepło, na wypoczynek. Bo <sup>(nowy)</sup> komendant wprowadza nowy regulamin w taborze. Noce, kiedy nie bombardują, przeznaczają na jazdę; dni - na popas w cieniu pozabawionych płotów, otwartych na przestrzeń pobliskich sadów owocowych lub lasków.

Komendant Baczyński to doświadczony żołnierz i świetny organizator. Z pomocą skauta-Maćka utrzymuje stałą łączność między sobą a swymi podopiecznymi, wydaje stosowne rozkazy. <sup>(Także)</sup> Maciek wykonuje powierzone mu zadanie z niesłabnącym zaangażowaniem, wręcz poświęceniem. Miez mordowanie kursuje na swym karym koniku od czoła do krańca i z powrotem, ostro poganiając furmanów i czuwając nad zwartością kolumny. Czyni to z wesołym, nawet łobuzerskim uśmiechem. Jego siwe oczy jarzą się również po ciemku. Przygasają tylko wówczas, gdy śledzą zniżony lot bombowców nieprzyjacielskich i jego skutki.

Każdy popas rozpoczyna się teraz wspaniale. Kobiety ukraińskie - właścicielki sadów - witają uciekinierów z otwartymi sercami, przyjaznymi twarzami oraz koszami pełnymi czerwonych, soczystych jabłek. Nie skąpią także mleka, pozwalają wchodzić do chat, korzystać z płyt kuchennych.

Wiktoria jest niemal szczęśliwa. Gotując dzieciom mleko w czarnej odmuch, wielkiej kuchni, uśmiecha się do własnych myśli. Joachim ocalał! Zdążył bez szwanku wyskoczyć z pociągu na nowotarskim dworcu. Bieniakowa oraz Kiewiczowa/opuszczające miasto dzień po niej/widziały go potem i rozmawiały. Podobno - spytany o rodzinę - złapał się za głowę i, wołając niezbyt przytomnie: "nie wiem, nie wiem!" oddalił się pośpiesznie.

Wiktorია tłumaczy to sobie jednoznacznie. Skoro nie wpadł pod koła pociągu, żyje i czeka na nich we Lwowie. Wobec tego kolejna noc na wozie, aczkolwiek daje się mocno we znaki, gdyż furgon trzęsie nie- miłosiernie, mija stosunkowo prędko.

Brzask zaskakuje ich na przedpolach Gródka Jagiellońskiego, na wyso- kości niewielkiego brzeziniaka, do którego - posłuszni wezwaniu galo- pującego wzdłuż kolumny Maćka - skręcają na popas.

Lasek okazuje się dość gęsto zaludniony, toteż komendant Baczyński przestrzega:

- Tylko w kupie, w kupie! Wozy tak samo! Jeden przy drugim. I od razu czołem do szosy, żeby nie było kłopotów z wyjazdem. Będzie tu jeszcze gęściej, więc nie rozchodzić się, nie pogubić. Życzę miłego odpoczynku - znikaj, jakby wrósł w ziemię.

Inga, która na wozie - nawet *podczas nalotów* - zachowuje spokój i nigdy nie płacze,

teraz zaczyna się upominać o swoje prawa. Przewinięta, nakarmiona niby-smoczkiem z chleba i cukru, wpatruje się ciekawie w odległe nie- bo z zastanawiającym wyrazem jakiejś wiedzy w ciemnych oczkach.

Dorota, spoglądając na *wspartą o pień drzewa mat- kę*, pyta nieśmiało:

- Mamusiu, czy my nie mamy już nic do jedzenia?

Emilka nie kryje zgorznięcia tym brakiem samodyscypliny rodzinnego łakomczucha, wzrok Leszka ożywia się.

Wiktorია sięga do torby po ostatni bochenek wyschłego chleba, przełamu- je go na dwie części. Jedną dzieli na cztery porcje/najmniejszą przez- nacza dla siebie/, co czyni z namaszczeniem i wielką ostrożnością. Pozo- stałą chowa ze słowami: - *Dla Iny. I wręcza wszystkim po jabłku.*

Czerwone jabłka chrzęszczą przyjemnie pod chciwymi zębami; jakież są słodkie i soczyste! Dorota, przegryzając smakowity owoc małymi kęsami chleba, dziwi się głośno.



ten strzał?

- Przypuszczam, że rakieta - komendant spogląda na nią i zdumiewa się.

- Cóż pani taka przejęta? Żona żołnierza i przejmuje się byle rakietą?

- A gdyby nawet rakieta.- Wiktoria zaczyna drżeć na całym ciele. -

- Czy to normalne w okolicznościach, kiedy bezpieczniej nawet mówić szeptem?! Powiadam panu, że to miejsce - *wiedzie wzrokiem* dokoła - może być pułapką. Ja to czuję, proszę mi uwierzyć, Nie wiem dlaczego, ale wiem swoje. I proszę nie zwlekać, bo nie zdążymy.

Jej sugestywny ton, jej pewność siebie i nakazujący wzrok robią na nim wrażenie tak silne, że nie waha się ani chwili.

- Maciek, szybko przekaż rozkaz "Wsiadanego". I            daj czadu woźnicom, *Tylko dyskretnie, bez paniki, Już!*

- Nie ostrzeżemy reszty? - Wiktoria spogląda na Baczyńskiego wymownie, lecz on kładzie palec na wargach, pochyla się ku niej i szepcze:

- Wtedy żywa noga stąd by nie uszła. Rozumiemy się? Tym bardziej, że sami ulegamy nieracjonalnym emocjom; mam rację?

Niebawem tabor,            skośną ławą, wysuwa się na pustą teraz drogę. Nies-trudzony Maciek sprawnie formuje go w zwartą kolumnę, która z mety nabiera rozpędu.

- Po kooniaaach! - wyrzaskuje przejmująco śmigający wzdłuż wozów harcerz i wszystkim udziela się emanujący z tego okrzyku lęk. Nawet koniom, które pędzą na złamanie karku, aż turkot kół staje się ogłuszający.

Wiktoria, śoiskając konwulsyjnie Inge w ramionach, ogląda się raz-po raz na jakże wolno oddalający się brzeziniak.

- Prędezej! - krzyczy. - Prędko, na miłość Boską! Prędezej!

Uda się im oddalić *może*            kilometr, gdy w powietrzu rozlega się złowrogie mruczenie. Żadnych wątpliwości; nadlatuje eskadra bombowców.

Komendant Baczyński, bardziej zdumiony, niż przestraszony, nakazuje

Maćkowi skierować kolumnę na prawo, pod rozłożyste korony lip, co furmani wykonują błyskawicznie. Niezmordowany skaut dyryguje: - Zsiadaaać! Zsiadać i kryć się! - Ręką wskazuje na złocący się w słońcu, dorodny łan kukurydzy.

Kto żyw, wskakuje między wysokie, mocno ulistnione łądygi, rozciąga się płasko wzdłuż głębokich bruzd. Przy opustoszałych wozach pozostają tylko woźnice, by pilnować koni. Wypadki toczą się w błyskawicznym tempie. Jakby tylko na to czekały, dają o sobie znać nieprzyjacielskie myśliwce. Falujący poszum zawisa nad rozkołysanym łanem, potężnie je w ułamkach sekund, wciska nieruchome, wyprostowane postacie w ciepły, suchy piasek. I - zda się, tuż obok - detonacje wybuchów. I - jak grzech o ścianę - tra-ta-ta-ta-ta - karabinów maszynowych.

Wiktoria zamiera niby rzeźba, całym swym, ochronnie pochylonym nad lną ciałem, pamiętając o zachowaniu właściwej odległości od zawiniątka. Oczy ma zamknięte, niemowlę - bez drgnięcia powieką - wpatruje się z napięciem w twarz matki tak bliską, że stanowi dlań Wszechświat. Kurczy się, drga maleńkimi członkami, lecz ani piśnie. Zda się w i e d z i e ć, że nie wolno.

Wychowanka Kiewiczowej, Kasia, bez przerwy nękana biegunkami, a więc osłabiona, zaczyna głosem, który zdumiewa niezwykłą mocą.

Kto się w opiekę odda Panu swemu  
A całym sercem szczerze ufa Jemu...

Dorota pamięta jedynie tytuły znanych modlitw, więc trzepie bezładnie.  
- Ojczy nasz, Zdrowaś Maria, Wierzę w Boga Ojca, Pod Twoją obronę, Anioł Pański, Święty Boże, Święty mocny... - Tak mało ma czasu a o tak wiele prosi.



się zespolony z ziemią. Czuje jej kołysanie po każdej eksplozji i słyszy własny swój, bezgłośny krzyk w najgłębszych pokładach mózgu.

Ten krzyk trwa jeszcze chwilę potem, <sup>(Ciszą)</sup> gdy wokół zapadnie cisza. Nie mniej przerażająca, niż poprzedni chaos. Ustają modlitwy, zatrzymują się serca, urywają oddechy. Wszystko zamiera prócz łagodnego, . . . jednostajnego poszumu . . . rozkołysanego łań.

Nagły chrzęst suchych łodyg poraża uszy niby wybuch, lecz nikt nie unosi nawet głowy, . . . Kamienieją z powietrzem nabranym do płuc, silniej przywierają do ziemi.

Komendant Baczyński stoi na skraju złotej niwy, z przerażeniem wpatrzonej w zamarłą kukurydzę.

- Czyżby wszyscy! - oddycha głęboko i cicho, raczej z przyzwyczajenia, wykrztusza:

- Wy-cho-dzić... - Patrzy z niedowierzaniem, nie wierząc własnym oczom, jak kukurydza ożywa. Jak - jeden po drugim - wyłaniają się z niej wszyscy, nawet nie draśnięci. Jak stają obok niego, otaczają go ciasno, sami zdumieni, jeszcze przerażeni, . . . oniemiali, poruszający się niby we śnie.

I następny cud. . . . Rozstawione w szerokich odstępach furmanki - nietknięte. Także woźnice oraz konie.

Żadnej straty!

Wtem czyjaś ręka wyciąga się w stronę brzeziniaka a raczej miejsca, w którym do niedawna jeszcze rósł. Teraz kłębią się tam przemieszane z ziemią, poharatane konary, sterczą porozdzierane kikuty pni - istne cmentarzysko, ponad którym unosi się czarno-czerwonawy, szeroko rozpostarty tuman kurzu, dymu i ognia.

Komendant przenosi wzrok na swą gromadkę, odszukuje spojrzeniem oczy Wiktorii.

- Ktoś tu jest szczęśliwy wśród nas.

- To na pewno Inga - oznajmia z niezbitym przekonaniem Leszek i nikt mu nie zaprzecza.

Zanim wozy ruszą, Dorota spyta z niepokojem:

- Mamusiu a co z tamtymi? W lesie? Dlaczego nie pojechali z nami?

- Nie usłuchaliby nas, gdyby im nawet powiedzieć. - Wiktoria zamyśla się i dodaje. - To było tylko podejrzenie. Ze względu na strzał. A może... Może sam Bóg zechciał nas osłonić swą tarczą? Kto wie...

Mimo braku nocnej osłony komendant decyduje się jechać, więc Maciek wciąż kursuje wzdłuż taboru, niezmiennie korygując odległości i tempo. Otrząskani z niebezpieczeństwem, z widkiem tragedii, z mniejszym niż przedtem przerażeniem, patrzą na mijane zwłoki ludzi i koni, na kupy skrwawionych strzepów w rowach, na zdruzgotane odcinki szosy, które tak trudno pokonać, na nie kończące się tłumy pieszych wokoło, na różowiejący od pyłu pożarów horyzont. Emilka niezmiennie powtarza swoje: - To trzeba wytrzymać. Zmysły obojętnieją, tępieją od nadmiaru wrażeń. Jeszcze tylko krzyk w rodzaju: "Tomciu! Gdzie moje dziecko!" albo: "Mamo! Mamusiu!" trafia celnie w serca współczujące, lecz bezradne.

- Dokąd oni tak prą? - wrywa się Wiktorii bezmyślnie, czym wywołuje drwinę Bieniakowej.

- A my dokąd wiejemy? - rzuca bez pardonowo i dodaje: - Do Rumunii!

- Ja nie - protestuje Wiktoria. - Ja tylko do Lwowa, do męża.

Rozmowę przerywa nagłe pojawienie się obok fury młodego żołnierzyka, chłopca jeszcze. Jego dziecięca niemal bezradność porusza serce Wiktorii. Posuwa się na skrzyni, ręką wskazuje skrawek miejsca wystarczający, by - z opuszczonymi na zewnątrz nogami - przysiąść na wozie.

Żołnierzyk wskakuje bez namysłu i teraz widać, jak się boi, jak trzęsie, dygoce i kuli.

- Wszystko rozbite! Wszystko stracone! Koniec, koniec! - płacze niewnie.

- Co stracone? Jaki koniec! - nie wytrzymuje Wiktoria. - Młody mężczyzna i żeby się aż tak bać?! Ja tu sama, z dziećmi, i wcale się nie boję! Wstyd! Żyje pan! To najważniejsze!

- Ależ ja się zgubiłem! - wykrzykuje chłopiec w mundurze szeregowca.



- Zgubiłem jednostkę, co teraz!? Jak ich odnajdę, kiedy Niemcy deptają nam po piętach!

- Do czasu! - mówi twardo Wiktoria. - Niedługo my ich pogonimy.

Żołnierz odpręża się, zaczyna opowiadać o sobie. Pochodzi z Warszawy, ma na imię Adaś. Właśnie zrobił maturę a we wrześniu zgłosił się ochotniczo do wojska.

Wjeżdżają w ulice Gródka Jagiellońskiego, <sup>gdzie</sup> Wiktoria obiecuje mu wstawiennictwo u komendanta. Może pozwoli chłopcu zostać w taborze. Gródek nie różni się wiele od innych, mijanych uprzednio miejscowości. Ponad domami strzelają - tu i tam - płomienie. Niebo przesłania czarna przędza dymów, Cuchnie spalenizna. I wtem - to niesłychane! - ponad wszystko wybija się jedyna woń. Najpiękniejsza, najdoskonalsza woń świata: zapach świeżego chleba.

Jak gdyby nią zauroczony, tabor zatrzymuje się. Ludzie schodzą na ziemię, prostują kości. Cicha, nieśmiała zwykle Rupińska, objawszy ramieniem swego synka, rozmarza się w głos.

- Ach, żeby chociaż przyłepkę! - nagle zaczyna szlochać. Jest żałosna, nie budzi współczucia, Wiktoria nie ukrywa zgorznienia.

- Co pani jest!

- Chleb. Chlebek tak pięknie pachnie a my nie mamy nawet skórki!

Dzieci Wiktorii są zdumione. Dorosła pani i płacze z głodu! Każdy głodny, ale kto płacze z tego powodu!?

Scenę przerywa rozkaz skauta-Maćka: "Wsiadanego!" - Rezultat rozważań komendanta, gdzie przetrwać zbliżającą się noc. W Gródku? Mogą go zbombardować. W najbliższej wsi czy lasku? A jeżeli - zanim tam dotrą - nadleci samoloty? Mimo wszystko swobodna przestrzeń wydaje mu się *mniej* niebezpieczna. Tabor rusza.

Na nierównościach szosy wozy kiwają się, skrzypią, jakby się miały rozlecieć, pochylają, grożąc wywrotką. Wreszcie jakaś wieś. Na jej skraju rozgrodzony sad. Jabłonie ugięte pod ciężarem owoców. Lśniaca rumianość jabłek na zielonej murawie. Radość i - niemal jednoczesna - panika.

- Lotnik, kryj się! - wrzeszczy Maciek a jego skrzące zwykle oczy przygasają.

Na szczęście groza mija dość szybko i bezboleśnie dla ukrytych pod jabłoniami. Wtedy wylegają na drogę mieszkanki sioła, Ukrainki. Dźwigają kosze jabłek, napełnione mlekiem dzbany, częstują uciekinierów, nie przyjmując proponowanej zapłaty. Jedna z nich zaprasza Wiktoria z Ingą do chałupy. Na gorące mleko oraz odpoczynek pod dachem.

Wróciwszy do sadu, zastaje komendanta Baczyńskiego na koniu.

- Pan odjeżdża?

- Tak, do lwowskiego garnizonu. Przyjmą was w mieście czy nie.

Wiktoria nie ma co do tego wątpliwości. Czyż może zabraknąć miejsca dla rodzin wojskowych? Przy okazji zgłasza obecność nowego członka taboru, co komendant, dość łatwo, akceptuje.

Gdy - po godzinie - wraca, okazuje się, że niemożliwe stało się faktem dokonany. Lwów nie przyjmie uciekinierów ze względu na bliskość Niemców.

- Czekają jeszcze na transporty żołnierzy z północnego frontu, ale - moim zdaniem - nic z tego nie wyjdzie. Mnie powierzono dalsze wasze losy i zmianę trasy w związku z tym. Skręcamy bardziej na południe. Na Stryj, Halicz, Stanisławów, Otynię, Kołomyję, Myszyniec - do Zaleszczyk. Do rumuńskiej granicy. Taką mi wytyczono drogę i tego się trzymajmy. Wiktoria nie zamierza się poddać.

- Jak to! We Lwowie miałam nadzieję spotkać męża! Nie mogę się aż tak oddalić! Do Zaleszczyk, i dalej, za granicę, z dzieckiem na ręku?!

Musi jednak ugiąć się przed nieuniknionym, aczkolwiek nie bez próby oporu.

- To zostanemy w okolicy. Ludzie tu życzliwi, chociaż Ukraińcy - proponuje.

- Sam o tym myślałem - komendant nie ukrywa złego nastroju - ale mi surowo zakazano. Przez to i ja nie zostaję wcielony do lwowskiego garnizonu, na co liczyłem. Jedyna pomoc, jaką nam okazano, to pieniądze, które

zaraz rozdzielię i - dalej w drogę.

Wiktoria, siedząc już na furze, chowa do woreczka na szyi przydzielone tysiąc. trzysta złotych, co nie poprawia jej samopoczucia. Nie rekompensuje doznanego zawodu.

Kolumna zjeżdża na boczny trakt wiodący do Stryja, jednak nadzieja, że droga ta okaże się *mniej zatłoczona*, zawodzi. Również tym szlakiem ciągną nieprzeliczone tłumy. Jednym nurtem suną samochody, równoległe wozy konne, po obu zaś bokach - pojedynczo, mniejszymi lub większymi grupkami - piesi, najbardziej doświadczeni przez los, najbardziej umęczeni.

Jakiś kolejarz maszeruje boso. W jednej ręce buty - zwykłe czarne, sznurowane trzewiki - w drugiej, pod pachą, główka od maszyny marki Sienger.

Leszek nie wytrzyma.

- Mamusiu, dlaczego ten pan idzie na bosaka? Przecież ma buty.

- Może otarł sobie nogi.

- A po co temu panu kawałek maszyny?

- Pewnie to najcenniejsze, co miał - Wiktorii przychodzi na myśl własna, zaprzepaszczona/wraz z zawartością/ siengerówka, wzdycha więc ciężko nad tą stratą. Kosztowała osiemset złotych. A za dziewięćset mogli kupić plac w Krościenku, zamiast myśleć o przenosinach do Nowego Targu. O, gdyby tamte czasy mogły wrócić! Inaczej by się wszystko potoczyło. Mężczyzn w kolejowych mundurach jest w ciżbie wielu, wędrujących samotnie.

- Oni nie chcą służyć Niemcom, dlatego uciekają - pochyla się Emilka ku siostrze. Obie podróżują na furgonie jadącym tuż za wozem matki. Tak jest lepiej ze względu na przygarniętego żołnierzyka.

Emilka odzywa się rzadko, toteż Dorota jest nieszczęśliwa, gdyż - w przeciwieństwie do siostry - należy do gadułów.

Emilka woli *monologować*.

Najbardziej cieszy ją, że podróżują teraz nocami. Przynajmniej trupów nie widać. Wiadomo, że

są, gdzież by się podziały. Dobrze wie, że leżą na polach, zapełniają rowy a ich biedne, wypędzone z ciał dusze płaczą w przestworzach niematerialnymi łzami. Próbuje wyobrazić sobie własną, samotną duszę i zbiera się jej na płacz, który powstrzymuje z wysiłkiem. Droga do Stryja i, potem, Stanisławowa/razem sto osiemdziesiąt kilometrów/wali wszystkich z nóg. Kiedy staną, na popas, nikt nie ma siły, by pomyśleć o zdobyciu wody. Najpierw chwila głębszego oddechu! Żołnierz Adas bardzo się Wiktorii przydaje. Wdzięczny za przygarńnięcie, wyręcza Emilkę z Dorotą, jak może. Sam przynosi wodę, raz udaje się mu zdobyć mleko dla Ingi.

Ludność autochtoniczna okazuje wędrowcom niezmienną przychylność, mimo że tylu ich się przewija. Zdarza się, że młoda ukraińska dziewczyna obdarowuje Ingę trzema, własnoręcznie wykonanymi, laleczkami w pięknych regionalnych strojach, co szczególnie wzrusza Emilkę. Układa lalki w walizce z silnym postanowieniem uchronienia ich na zawsze, jako dowodu, że ludzie są dobrzy. *Niestety, zabawki zawieruszają się gdzieś bezpowrotnie podczas dalszej wędrówki.* Niedaleko Stanisławowa tabor zostaje zniemacka otoczony przez patrol wojskowy i - mimo protestów - eskortowany aż na przedmieście, do wielkiej wozowni szczelnie wypełnionej innymi wozami.

Tu, pod dozorem milczącego kapitana, zaczyna się rewizja, która - ku ogólnemu zdumieniu i zgrozie - wykrywa, że skrzynie, na których wiercili się niefrasobliwie podczas drogi, załadowano nabojami oraz granatami.

Nie zaskakuje to jedynie Leszka, który dawno wypenetrował, w czym rzecz i teraz wyrzuca sobie własną opieszałość. Gdyby się pośpieszył, miałby "broń".

Kapitan *rekwiruje cały ten arsenał.* - Jak pan myśli, panie przodowniku, komu najbardziej by się przydały pańskie skrzyneczki, gdybyście wpadli w niepowołane ręce? - Nie poprzestaje na оголоczeniu furgonów.

Rozbraja

również wszystkich mężczyzn, nie wyłączając komendanta Baczyńskiego, co ma i dobre strony. Opustoszałe wozy stają się przestronne a przez to wygodniejsze. Także odpowiedzialny za akcję młody kapitan zmienia swój służbowy stosunek na niemal przyjacielski. Poleca ugościć uciekinierów kawą/czarną i skąpo osłodzoną; za to cudownie gorącą/ oraz wspaniałym, ciemnym, wojskowym chlebem. Przydziela też rozbrojonemu taborowi eskortę - jeden szeregowiec na jedną furę.

Wiktoria może nareszcie podróżować razem z dziećmi i jeszcze starcza miejsca dla Rupińskiej z synkiem, dla przygarniętego żołnierzyka oraz dla "obrońcy z urzędu" - tęgiego Mazura o burkliwym usposobieniu, lecz niezłym sercu, jeśli sądzić z jego współczujących spojrzeń rzuconych, kiedy-niektóry, na obciążoną niemowlęciem, samotną kobietę.

Najwidoczniej wyzwala ona uczucie miłosierdzia także w innych, czego dają wzruszające dowody. Jakiś młody żołnierz wyciąga ku niej parę eleganckich pantofelków.

- Pani ma nóżkę malutką, w sam raz będą dobre.

Inny żołnierz wtyka jej do ręki garstkę cukru w węzełku, ktoś wręcza mięsną konserwę. Na koniec dwaj szeregowcy przynoszą z magazynu ogromną, drewnianą pakę napełnioną bielutkimi, wojskowymi sucharami.

- To od kapitana. Proszę podzielić między wszystkie rodziny.

W kolejce po suchary ustawia się, między cywilami, paru żołnierzy.

- Proszę pani i dla mnie parę...

Swoją część Wiktoria układa w mniejszej walizce, wyjęte z niej rzeczy Ingi owijając w kołdrę. Chrupiąc smakowity suchar i patrząc na zajadające z rozkoszą dzieci, zagląda na dno paki. Zalega jej jedna, ostatnia warstwa sucharów.

- Czy popełnię wielkie przestępstwo - myśli - zatrzymując je? Chodzi o Inę. - Odwołana przez Bieniakową, oddala się. Kiedy wróci, po sucharach zostanie tylko ślad w postaci okruchów.

- Wszyscy podchodzili i brali - wyjaśnia Dorota z żalem.

- Więc dlaczegoście milczeli? Nie powiedzieli, że to dla nas! - Wiktoria ostrożnie zsypuje cenne reszki do chusteczki, miesza z cukrem, skręca niby-smoczek dla Ingi. Dorota próbuje się wytłumaczyć.

- Przecież mamusia nic nie mówiła!

Wszystkim żal sucharów, bo wszyscy wiedzą już, co to głód, acz pojęcie prawdziwego głodowania jest im jeszcze obce.

Jedynie Wiktoria nie myśli więcej o stracie. Przytłoczona otrzymaną właśnie wiadomością, traci nawet apetyt. Podobno pociąg wojskowy z Nowego Targu do Lwowa przez Rawę Ruską został doszczętnie rozbity podczas nalotu. Wiktoria drży z niepokoju o Joachima. M ó g ł być w tamtym pociągu! M u s i a ł tam być!

Uzbrojony Mazur mości się w tyle wozu, burcząc coś na temat bliskiego wyruszenia na trasę, czemu na przeszkodzie stoi jeszcze brak

niezbędnej nagle przepustki, którą ktoś ma niebawem przywieźć z miasta.

Z nastaniem nocy odciążony taboń rusza w dalszą drogę trasą na Otynię i Kołomyję, i sunie przed siebie niestrudzenie aż do świtu, który wymusza popas w pierwszej napotkanej - w krytycznym momencie - ukraińskiej wiosce, w pierwszym z brzegu sadzie, niestety .pozbawionym owoców.

Nie trwa długo, gdy pojawiają się obok hojne baby ukraińskie z koszami pięknych, pachnących jabłek, z garami słodkiego i zsiadłego mleka. Posileni, odpoczywają. Nie są tu sami. Wieś roi się od uciekinierów - umundurowanych oraz cywili.

Wiktoria siedzi na trawie z Ingą na kolanach. Nieopodal mężczyźni

- wśród nich komendant Baczyński - wyciąga<sup>w</sup> karty.

Morzy ją sen. Wtem słyszy najwyraźniej/nie wie - sen to czy jawa/głos.

- Ty jeszcze tutaj? Uciekaj!

Otwiera szeroko oczy.

- Czy panowie coś do mnie mówili? - pyta.

- My? Skądże! <sup>(mężczyźni)</sup> - nie odrywają się od gry.

Jednak komendant spogląda na nią czujnie.

- Dlaczego pani pyta? - podchodzi na skinienie <sup>(przykuca)</sup>, słucha uważnie a następnie podrywa się na równe nogi.

- Natychmiast zaprzęgać! Odjeżdżamy! - Przywołuje Maćka, wydaje niezbędne rozkazy.

Przydzieleni do taboru żołnierze z eskorty próbują się sprzeciwić,

Baczyński nie ustępuje.

On wie, że liczenie się z niepojętymi sugestiami Wiktorii może się okazać zbawienne. Wobec tego żołnierze usiłują połączyć się telefonicznie ze Stanisławowem. Na próżno. Łączność przerwana. To wystarczy, by lęk udzielił się wszystkim.

Wojna rządzi psychiką inaczej, niż pokój - kolumna wjeżdża na szosę.

Nigdy nie mieli się dowiedzieć czy słusznie uczynili, bo spory szmat drogi przyjadzie im ujechać, zanim znajome buczenie ponad głowami zepchnie tabor pod osłonę przydrożnych drzew. Wyjdą z tego bez szwanku, chociaż Wiktorii - zawierzywszy swej szczęśliwej gwiazdce - przetrwa chwile grozy na wozie.

- Jeśli mam zginąć - decyduje - zginę i pod krzakiem. Nie zawodzi się. Powracająca na furmankę Kiewiczowa przystaje obok Wiktorii. W jej oczach jakaś decyzja. Nieodwołalne postanowienie.

- Wracam do Sądowej Wiszni - oświadcza nieoczekiwanie. - Do swoich. I proponuję pani gościnę. Dość już tej tułaczki bez żadnego sensu. Wystarczy.

- Nie, dziękuję. Pojadę do Rumunii. Jeśli gdziekolwiek mogę odnaleźć męża, to tylko tam. Tam, gdzie formuje się na nowo nasza Armia.

- Wsiadaneegooo! - wrzeszczy im nad uchem konny skaut Maciek i już kolumna jest w ruchu.

Kolejna noc ma w sobie coś szczególnego. Nasilenie ruchu na szosie osiąga jakieś apogeum. W powietrzu unosi się coś niewytłumaczalnego, co drażni nerwy, trzyma w niebywałym napięciu, wzmagając popłoch, potęguje pośpiech, rozgardiasz. Wyzwala strach.

Wiktoria odczuwa to każdym nerwem, nie może spać. Nagle stwierdza ze zdumieniem, iż na wozach nikt, poza najmłodszymi, nie śpi. Wtem zrównuje się z nimi, napęczniona po brzegi wojskiem, ciężarówka. Lecą z niej na fury jakieś paczki. Ludzie uchylają

się, krzyczą. Najpierw ze strachu, następnie z radości. Owe paczki, to kartony papierosów. Skarb! Skarb? Prędzej podstęp! Może zatrute? Niemcy zdolni są do wszystkiego!

- Ludzie, to nie Niemcy! To nasi! - woła gruby Mazur, lecz żadna dłoń nie sięga po pudełko.

Mija ich druga ciężarówka. Żołnierze - widząc, co się święci - krzyczą z góry.

- Nie bójcie się, bierzcie! To dobre papierosy! Z rozbitych fabryk! Z naszych!

Przestają się wahać. Mazur odpieczętowuje paczkę, zaciąga się. Nic mu nie jest! Teraz każdy chce zagarnąć dla siebie jak najwięcej. Także Wiktoria - z myślą o Joachimie - chowa parę paczek.

Ranek zaskakuje tabor w Otyonii; miasteczku położonym trzydzieści może kilometrów za Stanisławowem. Plasują się - jak zwykle - w sadzie, którego właścicielem okazuje się Polak. Po obejściu spacerują kury. Co za widok! Wiktoria kupuje jedną, <sup>tak</sup> wielką i ciężką, aż Dorota z góry oblizuje się *na myśl* o gorącym rosolu i prawdziwym mięsie.

Gospodyni chętnie zarzyna, oskubuje <sup>i oczyszcza</sup> kury, <sup>też</sup> pożyczając Wiktorii garnek i zaprasza do kuchni, gdzie bzyczą chmary wielkich much - żadnej przeszkody w przyrządzeniu posiłku.

Jedzą chciwie, parząc wargi i przełyki. Na furmance, jak długa i szeroka, odgłosy smakowitego siorbania i uszczęśliwione



twarze. Wiktoria nie pomija nikogo. Ani niezaradnej, wiecznie /wraz z Heniem/ owiniętej pledem, nieruchawej Rupińskiej, ani żołnierzyka, ani Mazura-stróża, ani nawet woźnicy.

Po nocnych lękach i złych przeczuciach ani śladu. Jednak ten dzień, dzień po niespokojnej nocy z szesnastego na siedemnasty września okazuje się jakiś inny od wszystkich poprzednich. Czymś się różni, lecz czym? Czymże?! Co oznacza ta długa cisza!? To zamarłe niebo! Ani jednego samolotu, Ani jednej bomby. Ani strzału! Cisza tak nieoczekiwana, że aż przerażająca. Groźna, przyczajona cisza. Niepokój zwolna powraca, pęcznieje, wypełnia serca złym przecuciem. Czeka się na najgorsze. Na coś, co przejdzie wszelkie wyobrażenia. Na trzęsienie ziemi? Na koniec świata?

Wiktoria krąży nerwowo po sadzie. To podaje niemowlęcą poduszkę Emilce, to ją zabiera. Niemal nie słucha namów Kiewiczowej na powrót do Sądowej Wiszni i tylko "na odczepnego" poleca córce zapisać adres jej rodziców.

*Wtem*

balon napięcia pęka.

Kto wykrzyknął tę straszliwą wieść?! W jakiej godzinie? W jakiej minucie?! Nagle wszyscy w i e d z ą. Przygniatające, ogłuszające słowa, słowa-kamienie przelatują od człowieka do człowieka, od furmanki do furmanki.

"DZISIAJ, Z SAMEGO RANA, DOPIERO CO!//, BOLSZEWICY PRZEKROCZYLI GRANICĘ POLSKI"

Nieprawdopodobne! Niewiarygodne! Niemożliwe! Sowieci?! Nóż w plecy?!... Jednak muszą uwierzyć. Samo niebo żałobnym świadkiem. Z nagła ucichłe, spokojne. Już niegroźne a jakże okrutne.

- To czwarty rozbiór Polski - myśli Emilka z rozpaczą a Wiktoria powtarza bezwiednie:

- Ależ pakt! Pakt o nieagresji!

- Pakt, ale nie z nami - mówi twardo Bluszczuk a jego przenikliwe, szklisto niebieskie oczy przybierają dziwny wyraz.

Komendant Baczyński osobiście, nie oglądając się na swego pomocnika Maćka, który - zaszyty w jakimś zakamarku - płacze, niby dziecko, ponagla do zajmowania miejsc na wozach. Stara się trzymać w ryzach, tylko nienaturalnie zaciśnięte szczęki i wargi świadczą o wielkim wstrząsie.

- O n i niedługo tu będą - mówi z wysiłkiem. - Musimy jak najprędzej dotrzeć do granicy. Jeszcze im pokażemy!

Ruszają natychmiast. Nie muszą już przeczekiwać dnia w ukryciu. Niemieckie bombowce teraz nie grożą.

W Kołomyi zatrzymują się dla zaczerpnięcia oddechu. Popasają w centrum miasteczka, nie limitowani koniecznością maskowania swej obecności. Furgon Wiktorii stoi na wprost wejścia do pięknego dworku. *W drzwiach z nagłą* - trzech mężczyzn. Jeden mocno przygięty, podtrzymywany troskliwie przez dwóch pozostałych.

Pieczołowicie sprowadzają chorego ze schodów, sadowią ostrożnie w samochodzie.

- Mój Boże - myśli z nostalgią Wiktorii. - Są jeszcze ludzie zamieszkujący dworki, posiadający auta... - urywa w pół myśli. - Nie do wiary! Ten chory człowiek... Przecież to... To prezydent Mościcki! Te same, co na kronikach filmowych i portretach, srebrne, zaczesane do tyłu włosy, wysokie czoło, siwe wąsy, arystokratyczne rysy. Więc i on ucieka przed bolszewią. Jak my wszyscy.

Wraz ze zmianą sytuacji politycznej zmieniają się warunki podróży. Raptem <sup>zaczynają</sup> brakować żywności, zaś tak dotychczas życzliwe i hojne ukraińskie baby przestają się pojawiać. Jeśli je widać, to z pustymi rękami i - często - niechętnymi spojrzeniami.

Pozostałe od Kołomyi sześćdziesiąt pięć kilometrów - im bliżej granicznych Zaleszczyk - Wiktorii trawi na medytacjach, coraz mniej pewna czy dobrze robi, udając się za granicę. Coraz w niej większa pokusa, by zostać.

Noce stają się dłużej, rozsądniej spędzać je pod dachem. Sprzyja temu gościnność właścicieli małych dworków przyjmujących gości "czym chata bogata", nie zakujących stajni czy szop.

W Myszyńcu dołącza do taboru rodak z Krościenka, Klupa. Chłopisko niebotycznie zdumione faktem, iż znajduje się tu, na zatłoczonej drodze, nie<sup>(zys)</sup>we własnym domu, u boku żony.

Wątpliwości Wiktorii rosną. Im bliżej granica, im dalej - na zaleszczyckiej już - szosie, tym bardziej się waha. Emigrować czy wracać?

Emilka, czuła na piękno przyrody nawet w tak niekorzystnych do kontemplacji warunkach, z przyjemnością przygląda się krajobrazowi.

Na lewo od szosy płaski dotychczas teren przeobraża się w wyżynny. Jeszcze chwila a utworzy długie pasma górskie - balsam dla oczu i duszy. Mniejsze i większe doliny - porżnięte głębokimi jarami, poprzecinane potokami.

Suną właśnie wzdłuż jednego spośród nich, zboczywszy - na znak Maćka - z głównej drogi w lewo. Na przeciwległym brzegu rozpościera się chutor, którego sady schodzą aż ku rzeczułce a nawet ją przekraczają.

W ich cień, na tyły wsi, zmierza kolumna i plasuje się pod osłoną morelowo - brzoskwińowych drzew, nieopodal strugi.

Ludzie zsiadają z wozów, przypatrują się rzadko rozsianym chatom, niezwykle malowniczym w obramowaniu tkniętej już co prawda jesiennym tchnieniem zieleni, za to tym piękniejszej, bogatszej. Przydomowe ogródki aż puchną od przepychu późnych wrześniowych kwiatów - różnobarwnych astrów i brązowo-złotych aksamitek. Wysoko wybujałe łądygi "jaśka" uginają się pod ciężarem dorodnych fasolowych strąków.

Komendant Baczyński, nie zwlekając, wysyła zwiad w kierunku granicy. W rekonesansie, z własnej woli, bierze udział żołnierz Adaś.

Wracają wkrótce, z niepomyślną wieścią, że dalej niepodobna jechać, taki korek przed Zaleszczykami.

Podczas gdy komendant deliberuje, co dalej, Adaś zdaje Wiktorii relację z wyprawy. Słuchają, zdumieni, o płonącym stosie polskich pieniędzy, oglądają corpus delicti - nadpalony stuzkotowy banknot, gorszą się niepojętym marnotrawstwem,

podziwiają ministrową Beckową rozdającą żołnierzom bieliznę, usiłują sobie wyobrazić docelowy brzeg rumuński po drugiej stronie *Dniestru*.

- Nie jestem pewna czy warto się przeprowiać. - Wiktoria po raz pierwszy zdradza swe niezdecydowanie, co żołnierz przyjmuje opacznie.

- Rozumiem. Mnie też żal spędzanych tu niegdyś wakacji. Żal dniestrowego jaru i całego naszego - nie naszego Podola. Jakie tu dojrzewają winogrona! Nawet dzikie migdały rodzą, nie mówiąc o melonach, arbusach, morelach i brzoskwiniach - *rozmarza się niebezpiecznie, czemu na szczęście kładzie kres* pojawienie się komendanta. Darzy on Wiktoria specjalnymi względami od czasu wyprowadzenia z brzożowego lasu, toteż uważa za stosowne poinformować ją o swoich zamiarach.

- Nie możemy czekać, aż się ten korek na granicy przepchnie, lecz znalazłem wyjście. Jest tu niedaleko - zaledwie cztery kilometry, a więc bliżej niż do oficjalnego przejścia - bród na *rzece*. Odpochniemy i... w imię Boże!

Wiktoria unika jego wzroku. Spojrzeniem błądzi wysoko, ponad wierzchołkami lasu na szczytach górskich, spogląda ku wąwozowi, którego dnem biegnie *zaleszczycka szosa*. Na koniec decyduje się.

- Chyba wolałabym zostać.

- Teraz, kiedy Polska zaprzędana?! - wtrąca zapalczywie Renia Bienia-kówna, lecz Wiktoria nie słucha.

- Tak, wracam do Przemyśla - patrzy komendantowi prosto w oczy i dodaje:

- Jeżeli mąż będzie nas szukał, to tylko tam. Nie na obczyźnie. Proszę mi wierzyć. Nie warto jechać w nieznane, tułać się u obcych. To potrwa jeszcze miesiąc-dwa i po wojnie. Lepiej przetrwać zły czas wśród swoich - w miarę mówienia, głos jej nabiera pewności, *brzmi*

przekonująco. Do tego stopnia, że agituje *wszystkich cywilów*.

Tak, oni również wracają. Łącznie z *Bluszczykiem*. *Komendant*

*słucha, uszom nie wierząc.*

- Więc po co ta ucieczka? Po co męka podróży, nieprzespanych nocy, głód, chłód, pragnienie i ryzyko śmierci pod bombami? Ale... Cóż, może pani

ma rację. Może wie lepiej? <sup>Niestety!</sup> ja nie mogę się cofnąć. Mam obowiązek wobec kraju. Taki to już polski los - emigracja. Nie wiem, kto z nas robi lepszy wybór, lecz raz jeszcze namawiam: zastanówcie się, ludzie! Spójrzcie, jaka ćma wali na południe - każdy szczęśliwy, że dotarł tu żywy.

- A Przemyśl teraz po czyjej stronie, panie przodowniku? - Wiktoria pragnie pokonać ostatnie wątpliwości.

- Podobno niemiecki. No i dotrzeć tam - sztuka nie lada. Dziwna rzecz; nikogo to nie zraża. Wobec zbiorowej decyzji odwrotu komendant przestaje się opierać. Przydziela nawet pozostającym trzy dwukonne furgony oraz dwóch chętnych woźniców. Bluszczek woli powozić sam. Na jednym furgonie sadowi się Wiktoria z dziećmi, drugi zajmują Bluszczukowie z Klupą, ostatni - Bieniakowa z córką oraz Rupińska z synkiem.

Pożegnanie - po tylu przeżytych wspólnie dolach i niedolach - wzrusza jednych i drugich. Komendant szczególnie martwi się o Wiktorię. Myśli nawet o drobiazgach; w przyszłości - bezcennych.

W ostatniej chwili wręcza jej obszerny wojskowy kocz, duży zielony plecak i dokłada blaszaną menażkę.

- Przyda się - mówi ciepło. - Droga daleka a idzie ku zimie. - Odchodzi, by wrócić raz jeszcze ze sporą, metalową skrzynką, którą powierza Bluszczukowi, samorzutnie wykreowanemu komendantowi powracających.

- To nasza wojskowa kasa. Nic za granicą po niej a wam może jeszcze posłużyć. Liczę, że pieniądze zostaną podzielone sprawiedliwie. Maciek, w drogę!

Natychmiast po pożegnaniu Bluszczuk zarządza dłuższy postój w tych stronach. Zanim się jednak udadzą do wsi, wspólnie z Klupą rozbijają kasę /komendant, w pośpiechu, zapomniał o pozostawieniu klucza/, którą niefrasobliwie porzucają na dnie strumienia.

Wiktorii, w wyniku podziału, dostaje się sto pięćdziesiąt złotych, podobnie, jak pozostałym kobietom.

Bluszczyc z Klupą nie chwałą się wysokością działki.  
Pilą do pośpiechu, Trzy furmanki wracają niebawem na główny  
trakt, skąd - pod prąd - można dostać się do chutoru za  
rzeczulką, nad którą tak niedawno jeszcze obozowali.

Ciągnący ku granicy spoglądają na nich z oznakami osłu-  
pienia.

- Wy dokąd? Poplątały się wam kierunki? Tam przecież bolszewicy! - Wy-  
mowne pukanie w czoło wyraża  
dezaprobatę, pogardę, nawet wrogość.

Usiłują nie widzieć i nie słyszeć. Na szczęście skręcają w stronę  
chutoru, gdzie oczekuje spodkiewany odpoczynek przed drogą.

Wiktoria, choć twarz ma spokojną, draży wewnętrzny niepokój tym głębszy, że sytuacja *stała*<sup>(się)</sup> nieodwracalna. Także pozostali miny mają niepewne. Wygrali czy przegrali?

Lecz nie czas na rozmyślania. Koła turkoczą już na twardej wiejskiej drodze, wozy wjeżdżają między zabudowania.

Uroda widzianych z bliska chat blednie, tym bardziej, że zbite w grupki baby nie kwapią się z oznakami przyjaźni. Przeciwnie. Popatrują koso, wręcz wrogo i wcale się nie uśmiechają. Żadna też nie trzyma w rękach poczęstunku. Dłonie ukryte w szerokich, wykończonych krzyżkowym, czerwono-czarnym haftem rękawach, włosy schowane pod białymi lub czarnymi /w czarno-zielone kwiaty/ chustkami-kosynkami.

Odziane według tutejszej mody - wyglądają w oczach przybyszów dziwnie. Ich podwójne spódnice - górna krótsza od dolnej - spod których wystają długie, lniane koszule, ich łydki w grubych, wełnianych, zsuniętych w harmonijkę, opasanych czerwonymi taśmami niby-skarpetach, ich stopy w kierpcach na podszwach - wszystko to *traci egzotyka*. Dzieci dziwią się jednak bardziej ich zaskakującej nieprzychylności, niż strojom.

- Mamusiu - nie wytrzymałe Leszek - co im się stało? Co myśmy im zrobili? Przedtem dostawaliśmy od nich jabłka a teraz...

- Teraz nie muszą się z nami liczyć. Teraz muszą nadskakiwać komu innemu. - Wiktoria uśmiecha się gorzko.

Bluszcz zatrzymuje na parę chwil tabor, usiłuje nawiązać z milczącymi babami kontakt. *Bezskutecznie. Nie ma rady, trzeba się wynosić.*

Wiejska, utwardzona droga przechodzi w polną, biegnącą niemal u stóp wysokiej góry okolonej sadami, *starą sztolnią* na zboczu i dalej, aż po horyzont.

Po bokach srebrzą się w słońcu bujne łany przejrzałej gryki.

W głębi wyłania się kilka chałup, niewidocznych z sadu, w którym tabor uległ podziałowi.

Gdy furmanki wjadą, w obręb kolonii, na progach domostw pojawiają się kobiety. W ich twarzach nie ma wrogości. Jest ciekawość.

Jej z nich bez wahania podbiega do wozu Wiktorii.

- Ja etu paniczku z dytynaju ważmu! - woła dźwięcznie. - Ja etu... - deklaruje się powtórnie, widząc, że "paniczka" zdaje się nie rozumieć czy nie słyszeć.

Także pozostali "bieżeńcy" znajdują schronienie, choć każda rodzina pod innym dachem. Mężczyzn wciąż ani na lekarstwo.

Chata, do której trafia Wiktoria z dziećmi należy do radnego - męża litościwej chłopki - i wyróżnia się spośród sąsiednich nie tylko przyzwoitszym wyglądem, lecz i piękną lokalizacją. Położona na krańcu kolonii, na skraju głębokiego jaru z rzeczułką na dnie, najbliższej starej sztolni, w której jeszcze niedawno wydobywano próbnie węgiel, sprawia również wrażenie bezpieczeństwa.

Jej wnętrze przecina obszerna sień, dzieląc budynek na dwie strefy: gościnną oraz domową.

Przybysze instalują się w pierwszej, w dużej alkwie zajmowanej przed wojną przez inżyniera z kopalni/zdażył uciec w odpowiednim momencie/. Stoją w niej dwa wygodne łoża wysłane poduchami i pierzynami, co wprawia w zachwyt Dorotę z Leszkiem, budzi ciche zadowolenie Emilki i odpręża psychicznie Wiktorię.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów mają sposobność, by się porządnie umyć w gorącej wodzie, najeść do syta "oładiami" z mlekiem i spać - jak twierdzą - w cieplarnianych warunkach.

Wykąpana, najedzona Inga śpi cichutko w towarzystwie rodzeństwa. Wiktoria - siedząc z gospodarzami po drugiej stronie, w ogromnej kuchni - rozmawia z nimi swobodnie, co umożliwia jej znajomość miejscowego języka. Umiejętność wyniesiona z wieloletniego przebywania na Wołyniu.  
A. Ja tę panią z dzieckiem wezmę.



Radni z żoną - radzi temu kontaktowi "ze światem" a zarazem współczujący samotnej kobiecie z czwórką dzieci - proponują jej dłuższą gościnę przed trudami powrotu.

- Wspaniale! - cieszy się Wiktoria. - Właśnie nasz przewodnik miał taki zamiar. Dziękujemy i przyjmujemy - odmawia <sup>jednak</sup> wypicia niedojrzałego winnego moszczu i odchodzi, słaniając się na nogach, do alkowy.

Wyciągnięta na skrawku wolnego miejsca, oddycha z ulgą, pewna, że natychmiast uśnie. Lecz sen nie przychodzi. Jest zbyt zmęczona, by zasnąć.

Myśl pracuje wytrwale, skupiając się - jak zwykle - na osobie Joachima. Dlaczego : nie spytała o niego gospodarzy! Mieszka-  
jąc przy szlaku, mogli go zauważyć. Narzuciwszy na bieliznę płaszcz, wychodzi do ciemnej sieni.

Jasna szpara pod drzwiami kuchni dodaje otuchy. Wiktoria puka leciutko i - odczekawszy chwilę - wchodzi. Niestety, nie dowiaduje się niczego. Zawiedziona, kładzie się ponownie i szybko zapada w sen. Budzi się rano z uczuciem, że śniło się jej coś bardzo ważnego, o czym jednak nie pamięta i co wyzwala w niej niepokój.

Zapomina o wszystkim w czasie śniadania, uradowana szczęściem dzieci, które - widzi to - mają ochotę zostać tu choćby rok.

Kończą jeść, gdy zjawia się Rupińska z Heniusiem i z miejsca rozpoczyna lament. Pozbawiona męża, jest półinwalidką życiową w drobniaczkach, teraz sprawa wygląda na poważną, toteż załamuje się zupełnie. - Pani Leszczyńska! - jęczy i zalewa się łzami. - Ja się zabiję! Ja tego nie przeżyję!

- Jezus Maria! - Wiktoria jest przejęta, acz nie przerażona. Zarówno matka, jak i syn, są cali i żywi. - Co się stało? - pyta.

- Kooniaaaaa! Konia mi ukraadliiii! - zawodzi Rupińska.

- Kto? Jakiego konia?! - nie rozumie Wiktoria.

- Mo-je-go! Mojego!

Bluszczuk przychodzi z samego rana i mówi...Boże,Boże,co ja teraz zrobię!

- Ale drugi został - Wiktorcia nareszcie *pojmuje, w czym rzecz.*

- Co z tego.Co z tego!Bluszczuk kazał mi go sprzedać,bo jeden i tak fury nie uciągnie.

- I pani się zgodziła?

- A co miałam począć,kiedy z jednym ni tędy,ni owędy.

- I co teraz? - Wiktorcia czuje się bezradna,lecz Rupińska wie chyba z góry,co odpowiedzieć,gdyż rzuca nie zwlekając.

- On mi poradził,żebym się dosiadła do pani.Ja szczupła,Heniusz mały, drobny...

- Cóż on tak decyduje za kogoś! - oburza się Wiktorcia. - A z Bieniakową i Renią co?

- One się dosiadają do nich.- Rupińska płacze cichutko,bezradnie.

Wiktorcia czuje,jak serce w niej mięknie. - Dobrze,zabiorę panią - mówi spokojnie. - Dosyć tych jęków,nie ma problemu.Zmieścimy się.

Rupińska,mimo to, jęczy nadal.

- Boję się moich gospodarzy - mówi. - Patrzą na nas wilkiem,aż ich spuścić z oczu strach.A pani - słyszę - ma osobny pokój i gospodarzy, że do rany przyłóż.Niech nas pani przyjmie do siebie!

- Ależ to nie mój dom!

- To nic.Pani gospodarze zgodzą się na pewno.Trzeba ich tylko poprosić.

Radny istotnie ulega,choć bez entuzjazmu,więc Rupińska wraca po swój plecak i niewielki bagaż,Wiktorcia zaś udaje się do Bluszczuka z wymówkami.Jest przekonana,że także pierwszego konia nie ukradziono,czego nie ukrywa <sup>(na)</sup>lyco samozwańczy komendant reaguje naśpodziewanie arogancko.Urażona,z wyniosłą miną,wychodzi bez pożegnania.

Pierwsza noc pod dachem radnego należy do ostatnich spokojnych.Następną przerywa w połowie delikatne pukanie do drzwi alkowy,co błyska-

wicznie stawia Wiktorię na nogi.

Wśliznąwszy się do środka, gospodyni - najwyraźniej przestraszona - szepcze gorączkowo.

- Wstawajcie paniczka. W świetlicy pełno narodu. Cały chutor się zwałił. Chcą, żebyście wyszli do lasu.

- Teraz?

- Natychmiast. Domagają się tego. Nawet mojego nie słuchają, choć on radny. Mówią, że broń macie.

Wiktorcia, mimo groźnej sytuacji, nie wpada w popłoch. W mgnieniu oka ubrana, budzi Rupińską oraz Emilkę.

- Pilnujcie dzieci! - Wychodzi pośpiesznie.

W proggu sąsiadującej z alkową świetlicy zamiera, z wrażenia.

Wielka izba-wypełniona mrowiem ludzi. Z zadymionego półmroku, rozświetlonego nikłym płomykiem naftowej lampy, wyłaniają się niewielkie prostokąty okien, sylwetki stłoczonych mężczyzn, oraz grupka bab z dziećmi skupiona na boku. Wszyscy milczą, nawet dzieci. I wszyscy - Wiktorcia czuje to - patrzą na nią.

W tej niesamowitej, wrogiej ciszy słyszy szum krwi w skroniach i - zda się - końcowe uderzenia zamierającego serca. I czuje - wcale nie w przenośni - ból skóry głowy naciągniętej stającymi dęba włosami. Lecz w głowie ma porządek i niezwykłą jasność a głos - gdy się odezwie - nie zawiedził jej, spokojny, wręcz swobodny.

- Dobryj wieczor, w czym problem?

Zdezorientowani, zaskoczeni rodzimym językiem w ustach tej drobnej, ledwie widocznej w tle drzwi kobiety, milczą. Pierwszy odzywa się jazgot babski.

- Do lasu! W las wychodzić! Tego chcemy! - Inne głosy wspomagają sąsiadkę. Rozlegają się pojedyncze wrzaski, coraz bardziej natarczywe, zlewające się w jeden złowrogi chór.

Wiktorcia opanowuje się maksymalnie, chociaż strach wciąż trzyma ją za włosy. Zdaje sobie sprawę, że ocalenie zależy od niej, od jej zimnej

krwi i wyczucia sytuacji.

- Cisza! - woła najgłośniej, jak potrafi. - Ciszej! Jeden niech mówi!  
O dziwo, uzyskuje posłuch. Głosy z ciemności brzmią wyraźnie, chociaż  
groźnie.

- Przyszedł na was koniec pany-Polaki!
- Nie będziecie nas więcej mordować, wrogów przeklętych!
- Na wioski spokojne napadacie! Grabicie, krwiopijcy!
- Prędej wychodzić, bo sami wyciągać będziem!

W Wiktorii - eksplozja strachu i jednocześnie ryzykanckiej  
odwagi. Zda się, że w progu stoją dwie Wiktorie. Jedna - słaba i bez-  
bronna, druga - jasno i precyzyjnie planująca. Ta druga bierze górę.

- Dobrze mówicie, bracia! Trzeba z tym nareszcie zrobić porządek! Ja  
z wami, dobrzy ludzie! We mnie, po matce, ukraińska krew. ~~Ja~~ w dzieciach  
moich - po mężu! Nie żadne my pany, tylko swojaki! - Nie czuje odzewu  
zgrai, wie, że musi posunąć się jeszcze dalej. *Adieu va bangue.*

- A wy tu czego stoicie?! - zwraca się tylko do mężczyzn głosem wyt-  
rwanego agitatora/umiejętność podpatrzona i przechowana w podświadomości od  
1917 roku, gdy jako <sup>(wsiobską)</sup> dziewczynka brała udział w  
ulicznych wiecach/. Na co czekacie? Żeby was *wykrętno*, jak barany?!  
A uzbrojcie się, w co kto może! Kto widły, kto cepy, kto kosy czy sierpy!  
Nuże, brońcie się! Dalej, wystawić strażę! Nie lenić się! Ja mam was uczyć!  
- jej inwencja wyczerpuje się, energia dopala. Czuje, że na więcej się  
nie zdobędzie. Zrobiła, co mogła, dała z siebie wszystko. Sił pozostało  
w niej tyle, by wytrwać. By nie pokazać pleców w odwrocie.  
Rezultat przechodzi wszelkie oczekiwania.

Ciemna świetlica jaśnieje od nagle wzniesionych, oprawnych na sztorc  
kos i sierpów, od siekier i widel. Rozlega się wycie dziesiątek gardzie-  
li. Parę chwil pełnych trwogi i wycie przeobraża się w normalne głosy.  
- Spokojnej noczy - tłum statecznie kieruje się do drzwi. *Wiktorija*  
wycofuje się w stronę alkowy, zagarniając po drodze  
całą swą starszą trójkę, kompletnie ubrałą, cały czas - jak się okazu-  
je -

stojącą murem za plecami matki.

Wiktorია przyjmuje to, jako coś zupełnie naturalnego. Wciąż jeszcze napięta, obserwuje przez szczelinę w drzwiach odwrót uzbrojonego chłopstwa. Gdy drzwi frontowe zamkną się wreszcie za ostatnim ciemniem, nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

Siedzi na łóżku, zupełnie bezwładna, bezmyślna. Oprócz Ingi, czuwają wszyscy. Nikt nie zmruży oka aż do rana. Nasłuchują, wytężają w ciemnościach wzrok.

O świcie Wiktorია, nakazawszy gestem, by reszta została na miejscu, wysuwa się cichutko do sieni, zagląda do świetlicy. Ani żywej duszy. Mknie na palcach na stronę gospodarzy i cofa się przed gryzącym dymem machorki, kłębiącym się w kuchni. Dowie się potem, że nocni goście urządzili <sup>(tu)</sup> sobie punkt dowodzenia i wynieśli się <sup>zale dwie</sup> pabę minut przed jej wejściem.

Radny z żoną/także po bezsennej nocy/mówiąc o tym, nie ukrywają troski. Są zakłopotani. Gospodarz próbuje nawet usprawiedliwić swojaków. - Nie myślcie, że ludzie u nas źli. Namnożyło się ostatnio różnego draństwa; naprawdę zdarzają się napady na spokojne wioski. Wszystko przez to, że więzienia otworzyli. Powypuszczali żulię, jeszcze przed wojną zasądzoną, a ci grabią teraz naród i zabijają, rozpuszczając przy tym pogłoski, że to sprawa Polaków. Ot i całe nieporozumienie.

Gospodyni kiwa głową, potakując mężowi i wzdychając ciężko. Następnie znikła na jakiś czas, by wrócić z koszem wielkich, czerwonych, słodkich, soczystych jabłek o różowym miąższu i czarnych, łatwo wysypujących się pestkach, co natychmiast stwierdzają łakomie zającujące dzieci.

Gospodarze popatrują to na swych gości, to po sobie, wymieniają spojrzeniem jakiś znak, wskutek czego żona zaczyna z wyraźną przykrością.

- Wybaczcie nam, kochani, ale musicie stąd odjechać. Nie ręczymy za wasze życie. Dwa razy udało się załagodzić, za trzecim może być bieda. Nie mówiliśmy, ale oni byli tu już wczoraj. Ledwie ich mój ułagodził. Dziś paniczku posłuchali, ale co jutro pokaże? Mnie was żal. Ja bym

was trzymała i miesiąc, ale nie wolno. Jedźcie z Bogiem, a jak się to wszystko uspokoi, przyjeżdżajcie. Kąt się znajdzie. Teraz pośpieszyć się radzę. Pijcie mleko, tu dla dytyny macie - napełnia menażkę, zakręca, podaje Wiktorii. - W drogę!

Pozostaje przywołać ze stodoły furmana/gospodyni częstuje i jego, wysłać go po zakup paszy, zlecić obfite nakarmienie koni i kazać zaprzęgać.

- Lecz co na to reszta? - deliberuje Wiktorii. - Zostają, czy także ruszają? - Zamierza pojsić do Bluszczyka, gdy on sam wpada do izby.

- Pani Leszczyńska, wyjeżdżamy. Tu niebezpiecznie. Znow się zbierają. Okazuje się, że na naszą rozbitą kasę naostrzyli zęby. Nie popuszczają. Myślą, że Bóg wie, ile mamy pieniędzy. Nie dadzą nam spokoju.

Niebawem obie furmanki - skierowane przez radnego "na krótsze drogi" - suną ukosem ścieżki wiodącej przez łąkę ku utwardzonemu traktowi, skąd niedaleko do szosy.

- Tam dużo "bieżeńców", tam będziecie bezpieczni - pociesza gospodyni, zegnając kłopotliwych gości.

Łąka jest podmokła, koła grzęzną, końskie kopyta zostawiają głębokie ślady. Godzina wczesna. Nad wzgórkami porośniętymi zagajnikiem wschodzi słońce; czerwone i pyzate. W jego tle postać wyrosłej, jak spod ziemi, biodrzastej baby w fartuchach-kieckach rysuje się jak wyci nanka z ciemnego papieru. Gdy uniesie po wilczemu głowę w kosynce i zacznie wniebogłosy wyć jakiś zew nieludzki "Ha-ha-hooooaaa!!!", Wiktorii uświadamia sobie, że ona już to przeżyła. Już to widziała i słyszała. I bała się, podobnie, jak teraz.

Przytula mocno Inge, upomina resztę, by się trzymała i zaczyna naglić furmana.

- Prędzej, po koniach! Prędzej, na litość Boską!

Furman nie czeka na powłorną, <sup>chętnie</sup> sam widzi, co się święci. Na zew bąbi okolica ożywa.

Z zagajnika, spoza krzaków i kęp trawy - ze wszystkich stron - wyskakują, po dwóch, po trzech, *jakieś draby*; Pędzą ku wozom, krzyczą coś, wywijając pięściami, *grożą*.

Strach ludzi zdaje się udzielać koniom. Wypoczęte, nakarmione, dają z siebie, co mogą.

- Aby do drogi! Byle się tylko z tej łąki wydostać! - wzdychają *ścigani*. Wreszcie pierwszy furgon - Bluszczyka - wdziera się na utwardzony grunt. Tuż za nim - podwoda Wiktorii. Można przyśpieszyć. Do szosy, prędko!

Konie galopują w kierunku Myszyńca niemal bez przeszkód, gdyż jadących pod prąd coraz mniej. Furmani strzelają z batów, koła turkocą, Wiktorii bez przerwy pogania: *Prędzej, prędzej, na miłość Boską!*

*Krótką* chwila odoczynku w Myszyńcu i znów galop. Tuż przed Kołomyją zatrzymuje ich posterunek „straży ukraińskiej” tak się przedstawiają/ złożony z kilku uzbrojonych mężczyzn. Otoczywszy tabor, prowadzą konie za uzdy, na poboczu wyprzegają je, każą wszystkim zsiadać.

- Rewizja. Szukamy broni! - *Nie wiadomo skąd, wyrasta* obok parę bab i rozpoczyna się przegląd zawartości bagaży.

Wiktorii - ukazując wymownie niemowlę - zyskuje na czasie. Pozostawiona, na razie, w spokoju, spogląda, przerażona, *jak „strażnicy”* plądrują furmankę Bluszczyka, co lepsze rzeczy ciskając w chciwie nastawione ręce swych rodaczek. *Nadzwyczaj sprytne, zwinnie opychają* wszystko pod obszernymi okryciami.

- To się nie skończy na grabieży - *myśli Wiktorii* zrozpaczona. - Żeby tylko ujść z życiem!

Jeden z napastników podchodzi nagle do jej wozu, penetruje go łakomym spojrzeniem i błyskawicznie wyciąga rękę po porzucony w popłochu pled Rupińskiej. *Ta* - widząc, że traci jedyny cenny przedmiot - po raz chyba pierwszy w życiu przejawia inicjatywę. Poskoczywszy żywo, chwytając drugi koniec pledu i wyrывa go nie oczekującemu oporu mężczyźnie.

Ten, zaklą<sup>wszy</sup> piętrowo, atakuje Wiktorię.

- A ty czego tu jeszcze? Złaź!

Wiktorcia porusza się niespokojnie, niepewna - usłuchać czy nie. Oprysk, pochylony się ku niej ze złowrobną miną i groźnie wyciągniętą ręką, nieoczekiwanie nieruchomieje. Coś huczy straszliwie, coraz głośniejszy, coraz bliżej. Na szosie

pojawia się czołg. Na szaro-zielonym pancerzu czerwienieje pięcioramienna gwiazda. We włą- zie wieżyczki - z nogami spuszczoneymi w dół - siedzą trzech sowieccy żołnierze.

Napaścnicy, nie zwlekając, pierzchają w krzaki, co napaścnicę natychmiast wykorzystują. Jedni pośpiesznie wrzucają na wozy to, czego nie zdołano zrabować, inni błyskawicznie zaprzęgają konie. W paręnaście sekund wszyscy zajmują swe miejsca i kolumna rusza z kopyta, usiłując dopędzić czołg. Z tyłu, w bezpiecznej już odległości, wyłażący z krzaków rabusie wygrażają im zaciśniętymi pięściami, co dzieci traktują, jak wyzwanie i rewanżują się tym samym.

- Pani Leszczyńska, to cud prawdziwy! Przecież oni by nas wyrznęli, gdyby nie wojsko, chociaż bolszewickie i w Boga nie wierzące!

- I nieświadome odegranej roli - dorzuca Wiktorcia, zdruzgotana tym pierwszym bliskim kontaktem z okupantem nie mniej, niż poprzednim bandyckim zagrożeniem.

Popas w Kołomyi nie przynosi odprężenia. Przeciwnie. Zasy- szane wieści o ekscesach nacjonalistów ukraińskich czy po prostu zwykłych tubylczych band napadających na uciekinierów, grabiących a nawet mordujących bez litości,

rodzą strach, wręcz grozę tym większą, że nie ma wyjścia. Muszą przecież podróżować.

Opuszczają Kołomyję, rozglądając się trwożliwie na wszystkie strony i modląc, by szczęśliwie dotrzeć do Otyonii na nocleg.

Powrót, mimo iż ustały naloty, nie jest wcale łatwiejszy. Problemy mnożą się, nawarstwiają. <sup>(Zdobycie)</sup> paszy dla koni staje się nierealne,



pokojowe stosunki wykluczone. Tybylcy wygrażają im pięściami, nieraz i widłami. Zdarza się, że gonią z wrzaskiem.

Kilkakrotnie ratuje ich sama obecność wojska, które ciągnie teraz gęsto. Szosa roi się od marnie odzianych, źle uzbrojonych pieszych kolumn, samochodów oraz ciężkiej artylerii. Nierzadko widać "bajca" z karabinem uwiązany na sznurku.

Raz pomocny okazuje się niewielki oddziałek tak zwanej Milicji Ukraińskiej, powołanej doraźnie i przeznaczony do ochrony ludności cywilnej.

Pierwsze domki Otyunii witają z westchnieniami ulgi, z nadzieją. Zatrzymują się w Rynku, <sup>(gdzie)</sup> zanim zdążą zsiąść, podchodzi do nich żołnierz w polskim mundurze, lecz bez dystynkcji. Wymizerowany,

zagubiony, dezorientowany. Pyta o... Kiewiczową z córkami, opisuje wszystkie trzy po kolei. Może je przypadkowo spotkali? To jego rodzina.

Czy je spotkali? Dobry Boże! Cóż za pech, że się odłączyły od grupy!

- Pojechały do Sądowej Wiszni. Nawet mnie małżonka pańska zapraszała -  
- Wiktoria nie potrafi powstrzymać wybuchu żalu. - Dlaczego? Dlaczego to nie Joachim! Z tego powodu nie od razu widzi, co się dzieje z Kiewiczem. Błady, roztrzęsiony, mówi cichym głosem:

- Wracam stamtąd. U matki ich nie ma. - Zasłania twarz dłońmi, więc go zaczynają pocieszać.

- Może się gdzieś zatrzymały. Możeście się państwo rozminęli. Teraz niczego nie można być pewnym.

Kiewicz pragnie w to wierzyć. Ożywia się, zaczyna rozmawiać. Wiktoria, ku radości własnej i dzieci, dowiadyuje się, że spotkał on Joachima w Rawie Ruskiej, że spali obok siebie i że Joachim

zamartwiał się o swych bliskich. Zwłaszcza ubolewał nad obarczoną niemowlęciem żoną.

Po pożegnaniu z Kiewiczem Bluszczyk kieruje swój tabor w głąb miasteczka w nadziei znalezienia noclegu. Uliczka, którą jadą,

kończy się niebawem. Za <sup>(dwoma)</sup> ostatnimi budynkami ciągną się <sup>(już tylko)</sup> śluki podchodzące ku odległemu lasowi. Co dalej! Dokąd się udać? Wtem drzwi pierwszego domku, zaskakującego

niezwykłą schludnością, stają otworem, ukazując sympatyczną starszą panią. Zmierzają prosto ku Wiktorii.

- Prosimy! Prosimy do środka! Pozostałych państwa zachęcam do kołatania u sąsiadów. Prosimy! - Kieruje furmankę, wydawszy polecenie woźnicy, na podwórko.

Wchodzą, <sup>(mile)</sup> zaskoczeni wytwornością wnętrza, siedają przy pięknie nakrytym - jakby w oczekiwaniu gości - stole. Podają trzy eleganckie

damy, panny Zalewskie. Wszystkie dość leciwe i nieopisanie serdeczne. Wypraszają: trzy wroźki: Wiara, Władzysław i Miłość - myśli Emilka.

- Głównym naszym celem stała się przyjemność pomagania wojennym tułaczom - wyjaśnia najstarsza i dodaje kategorycznym tonem:

- Namawiamy do solidnego wypoczynku przed dalszą podróżą. Nasz dom prosimy uważać za własny.

Wiktorii przyjmuje zaproszenie z wdzięcznością tym większą, że Inga cierpi od dwóch dni biegunkę. Pokstrzymuje ją tylko myśl o towarzyszach niedoli. Nie podobną się z nimi rozstać.

Okazuje się jednak, że również sąsiedzi nie wypraszają swych gości przedwcześnie.

Trzy dni spędzone w spokojnej, domowej atmosferze działają na wszystkich <sup>zabawienie</sup>. Także Inga, dzięki zastosowaniu proszku troistego, powraca do zdrowia. Wiktorii, korzystając z okazji, kupuje Emilce nowe pantofle, gdyż w rozpadających się sandałach nie sposób dłużej chodzić. Wzbudza <sup>(to)</sup> wielką, chociaż potajemną zazdrość Doroty.

W przeddzień odjazdu Bluszczyk zwołuje naradę, w wyniku której mężczyźni zmieniają mundury na ubrania cywilne, zaś kobiety obwiązują głowy

chustami. Także Wiktorcia chowa noszony w podróży szary beret do walizki, *na co Emilka patrzy dość sceptycznie*:

- Wszystko na nic. Mamusia i tak nie wygląda na babę.

Przeprowadzani serdecznymi życzeniami panien Zalewskich oraz ich sąsiadów, wyruszają ponownie na trasę.

Wiktorcia, jak zwykle, tuli w ramionach Inge, młodzież rozgląda się ciekawie acz bojaźliwie, Rupińska tkwi nieruchomo, omotana - wraz z synkiem - w pled. Jest chłodno. Piękna, upalna pogoda należy do przeszłości. *Pachnie jesienią. Pojawiające się coraz częściej*

kolumny wojsk sowieckich zdają się ich nie dostrzegać. Należy je tylko nieraz - zjechawszy na bok - przepuszczać. I znowu w drogę, byle prędzej, bez zatrzymywania się w sadach czy lasach. Niedaleko Stanisławowa - podobnie jak przedtem wojsko polskie - zatrzymuje ich czteroosobowy oddział Milicji Ukraińskiej. Wszystko się powtarza, jak w niedobrym śnie. Konie ujęte za uzdy, milczenie i jazda w nieznanym kierunku.

- Dokąd nas prowadzicie? - zdobywa się Wiktorcia na pytanie i - o dziwo - uzyskuje wyjaśnienie, w które jednak nie wierzy.

- Robi się ciemno. *Byle jak* nocować niebezpiecznie, to i prowadzimy, gdzie trzeba.

Nie uspokaja to nikogo. *Wszyscy* polecają dusze Bogu, pewni, że wpadli nieodwołalnie. Nawet doprowadzeni i ulokowani w przestrzennej, czysto utrzymanej stajni zamykającej wylot obszernego podwórza okalającego dostatni dwór nie przestaną się bać. Wepchnięci w dwa sąsiadujące końskie boksy, toczą przyciszone rozmowy, ustalają linię ewentualnej obrony.

Przyniesiona przez kogoś informacja, że w dworskiej kuchni można otrzymać gorącą wodę, nie rozprasza obaw. Przeciwnie, budzi podejrzenia. Wreszcie Wiktorcia - licząc na swą znajomość języka - wysuwa się ostrożnie na zewnątrz. Inge zabiera ze sobą.

Widok Ukrainek gotujących w wielkim kotle kaszę jaglaną na mleku każe

zapomnieć o niebezpieczeństwie.

- Może byście sprzedali dla dziecka? - pyta z nadzieją.

Młoda dziewczucha, wystrojona groteskowo w kapelusz z piórami - zapewne własność ostatniej właścicielki majątku - bez słowa bierze ze stołu miche, napełnia ją kaszą i podaje Wiktorii.

- Jedźcie na zdrowie.

- Mam więcej dzieci - mówi ośmielona Wiktorii i nie wie, co zrobić, bo ręce ma zajęte a dziewczyna wciąż trzyma miskę w garści. Teraz stawia ją na stole, sięga po następną i zachęca Wiktorię:

- Prowadźcie dzieci. Starczy dla wszystkich.

Na wieść o gorącej kolacji Bluszczuk zarządza, że pójda do kuchni w trzech grupach, kolejno, aby nawet na moment nie zostawiać wozów bez nadzoru.

Dorota, pałaszując ze smakiem jasnożółtą, gęstą papkę, nie może się dziwić, że matka nigdy nie gotowała takich pyszności, co samą Wiktorię zdaje się zdumiewać.

- Nie przyszło mi, widzisz dziecko, do głowy, że może to być aż tak dobre.

Pełne żołądki, możliwość umycia się w ciepłej wodzie, schnące na drabinkach żłobu pieluszki Ingi budzą lepsze myśli. Przestają się bać. Inga śpi spokojnie, tylko jej drobne ciało pręży się i kurczy na przemian w nabytym podczas nalotów odruchu.

Noc mija bez zakłóceń. Rankiem - obdarowani mlekiem dla Ingi - wyruszają bez przeszkód w dalszą drogę. Przeszkoda wyrasta niespodzianie, po ujechaniu kilkuset najwyżej metrów. Zatrzymani, stoją przed jakimś domem. Na podwórzu obok - mrowie narodu. Nie wiadomo skąd, wiedzą nagle, że chcą im zarekwirować konie. Na razie nikt się nimi nie zajmuje, więc Wiktorii postanawia wyjść nieszczęściu na przeciw.

Z Ingą na ręku, wchodzi na podwórko, zbliża się do <sup>wypatrzonego w tłumie,</sup> sowieckiego majora,

usiłując przychylnie usposobić. Tym razem przemawia po rosyjsku /język ten - wychowana w rosyjskiej szkole - zna niby własny/. Oficer słucha, zdawałoby się, przyjaźnie. Tym mocniej zaskakuje ostrością, tonu, gdy pyta.

- Wy oficera żona?<sup>1</sup>

- Niet. Ja storoża żona<sup>2</sup> - odpowiada Wiktoria przytomnie, co w zupełności go zadowala. Furmanki mogą, odjechać.

W Stanisławowie Klupa niespodzianie oznajmia, że zamierza się tu odłączyć. Pociągami prędkiej dotrze do Krościenka, niż zaprzęgiem.

Niebawem żegna się i odchodzi. Towarzyszy mu dawny furman Rupińskiej, co stawia tabor w trudnym położeniu. Dwaj pozostali mężczyźni nie stanowią żadnej osłony w razie napadu. Rada w radę;

wynajmują wspólnie płatną ochronę czyli muzyka z nowo powstałej milicji i zmieniają marszrutę. Zamiast do Halicza, skręcają na Kałusz, aby przez Dolinę i Bolechów dotrzeć do Stryja.

Wiktoria ponownie ogarniają wątpliwości co do uczynionego wyboru. Biję się z myślami, bezwiednie obserwując niezwykle ruch na biegnącej równolegle do głównego traktu, <sup>(oddzielonej pasem trzki)</sup> polnej drodze. Wali nią falanga pieszych - w kierunku przeciwnym, niż oni.

- Czyżby do Rumunii? - dziwi się i nagle kamienieje pod wrażeniem, że widzi Joachima.

- Boże, Boże, Boże - powtarza w myślach, śledząc bez tchu mężczyznę w cywilnej marynarce, spodniach wpuszczonych do oficerek, czapce na głowie, z koszem przewieszonym przez przegub prawego przedramienia. Jest zbyt odwołany, niepodobna rozpoznać rysów twarzy. Lecz ta sylwetka! Ten chód! Wzrost! Postawa! On czy nie? Och, Joachimie! - woła w niej każdy nerw, lecz ciało ani drgnie. Usta ma zamurowane, język bezwładny, struny głosowe unicestwione. Skupia wołanie w oczach ściga znikającego rozgorączkowanym <sup>(Kolumna niknie za kępy zarosli.)</sup> spojrzeniem. Dopiero gdy straci ją z pola widzenia, ożywa. Odzyskuje mowę.

- Dzieci - szepcze. - Dzieci - powtarza głośnie, unosząc dłoń w stronę krzaków. - Tam... szedł chyba... tatuś...

1. Czy jest pani żoną oficera?

2. Nie, jestem żoną strożca.

- Gdzie? - pytają na wyszcigi, - Nikogo nie widzieliśmy!

Odzyskawszy nagle

całą, zamartłą

przed chwilą energię, zrozpaczona z powodu umykającej okazji odzyskania męża, Wiktoria Krzyży.

- Panie Bluszczu, zatrzymajmy się!

Bluszcz nie traci czasu na zbędne pytania. Pędzi na przełaj przez

łąkę ku bocznej drodze, <sup>(skracaj)</sup> znikną <sup>czami</sup> poza chaty. Lecz powraca z niczym.

- Przywidziało się pani! Tamtędy nikt nie szedł. Ani żywej duszy!

Wiktoria jest niepocieszona. Milcząc uparcie, pograża się w myślach.

- Widocznie tamta droga zbaczła. Mogli też natrafić na nierówność terenu. Cudze ręce nadają się tylko do zasypywania żaru. Nigdy się nie dowiem; <sup>był tam Joachim, czy nie?</sup>

Nie potrafi podziwiać pięknych domostw Kałusza. Nie robią na niej

wrażenia swojsko brzmiące napisy na willach: "Warszawianka", "Krakowianka", "Krystynka", "Dorotka"... Bez przerwy wyrzuca sobie własne, niepojęte

gapiostwo.

Nocleg znajdują w ochronce, której kierowniczką częstuje ich

dobrze osłodzoną kawą z mlekiem oraz chlebem.

Kolejny postój przypada w powiatowym miasteczku Dolina, gdzie podej-

mują decyzję pójścia na obiad do restauracji. Jej właściciel, Żyd,

przyjmuje wprawdzie polskie pieniądze, lecz liczy sobie za

świadczenia podwójnie. Za to gorący rosół wlewa w nich nowe siły i

doskonale rozgrzewa. Są teraz wciąż zmarznięci, nieraz mokrzy od desz-

czu i marzą tylko o poprzednich upałach. Mimo iż pokurczeni z

zimna, potrafią jeszcze podziwiać napotykaną piękno. Raz jest to nieby-

wale urocza cerkiewka na wzgórzu, raz kościół, innym razem mała

kapliczka lub po prostu urozmaicony krajobraz.

Mocno pofalowany teren zachwyca wzrok bujną zielenią traw, zadziwia

dostałą gryką lub złoto-brązowymi kitami kukurydzy.

- Dlaczego oni tego nie zbierają? - dziwią się dzieci a Wiktoria

odpowiada z przekąsem:

- Bo wolą kosy ostrzyć na nas.

Najwidoczniej są jednak i tacy, którzy dbają o zbiory. Nad wejściami

huculskich chat wiszą wiązki kukurydzy, lecz dorodne jaśkowe strąki

na dal "rosną". Jest ich zatrzesienie. Zupełnie, jak w tamtym niegościnnym

nym

chutorze przy zaleszczyckiej szosie. Mimo zmęczenia nie próbują szczęścia w żadnej z chat. Teraz schronienia należy szukać jedynie w miastach lub miasteczkach.

W Bolechowie zatrzymują się, jak zazwyczaj, na Rynku. Siąpi zacinający kapuśniaczek, nigdzie żywej duszy. Do kogo się zwrócić o pomoc? Problem rozwiązuje mała dziewczynka-niemowa, gwałtowną gestykulującą do pojsca za sobą. Wkrótce znajduje się w zamkniętej, urządzonej jadalni, za nakrytym śliczną porcelaną stołem.

- Czyżby panie spodziewały się gości? - zwraca się onieśmielona Wiktoria do dwóch właścicielek - Żydówek.

- Naturalnie - uśmiechają się radośnie. - Po to przecież wysłałyśmy Sarę na Rynek. -

Napełniają gorącą herbatą cieniuteńkie filiżanki, nakładają na talerzyki domowe ciasto.

Ta bezprzykładna ofiarność dodaje sił do dalszej drogi, wznieca nadzieję, że dojadą bezpiecznie.

Niestety, po udanym popasie w Stryju, gdy odbijają w lewo na północny zachód, którą bliżej do Przemyśla, ich szczęśliwa passa, zda się, zawodzi. Popas w Drohobyczu przynosi z początku rozczarowanie, wręcz rozpacz. Żadne drzwi nie chcą się przed nimi otworzyć. Nigdzie nie ma miejsca dla włóczęgów.

- Mielibyśmy nocować pod gołym niebem? - Wiktoria usiłuje do tego nie dopuścić. Są tak lekko ubrani a na dworze tak zimno. Po raz ostatni puka do przypadkowych drzwi; nie na próżno.

- Zachodźcie - mówi energicznie wyglądająca kobieta i prowadzi gości na piętro.

- To mieszkanie moich państwa - wyjaśnia nieproszona. - Sami uciekli a mnie kazali pilnować. A już! Skułę im w bok! Ledwie oni za próg, pobrałam se najlepsze rzeczy i tyle. Akurat będę na nich czekać! Czekać tatka latka! - najwidoczniej bierze przybyłych za ludzi własnego gatunku, przed którymi nie musi się kryć.

Mieszkanie, aczkolwiek znacznie ogołocone, okazuje się jeszcze na tyle wygodne, że zapewnia zdrożonym wypoczynek. Nie bardzo ufają łasej na cudzą własność służącej, jednak obecność wynajętego strażnika ukraińskiego działa krzepiająco.

Ruszają skoro świt, świadomi sporej jeszcze odległości od celu. Przed nimi Sambor, Stary Sambor oraz Chyrów, skąd do Przemyśla jeden krok.

Do Sambora docierają bez przygód, o zmierzchu, gdyż dzień coraz krótszy. Bluszczuk znajduje dla siebie schronienie od razu, Wiktorię przyjmuje biedna kobiecina nazwiskiem Wysocka, matka dziesięcioletnia dzieci - gest tym wspanialszy, że gości akurat najstarszą córkę z mężem, przybyłych ze Lwowa.

Talent wychowawczy Wysockiej budzi podziw. W licznej rodzinie panuje rygor iście wojskowy a dzieci wypełniają każde polecenie matki bez szemrania i zwłoki. Wzbudza respekt nawet w zamężnej córce oraz zięciu, Andrzeju Rybskim,

ponoć ważnej we Lwowie figurze. Jednak podróżnym potrafi okazać wiele serdeczności, współczucia a nawet gotowość pomocy. Nie stać ich, niestety, by podjąć gości czymś więcej, niż herbata.

Rozmyślenia nad zdobyciem czegoś do jedzenia przerywa Wiktorii wejście Bieniakowej.

- Oho, widzę, że mortus tutaj - śmieje się. - Proszę dać pieniądze, to kupię kaczkę. Moi gospodarze hodują. Upichcę i przyniosę gotową, bo widzę, że ledwie pani zipie a do tego ta ciasnota.

Oczekiwanie na kolację trwa bite dwie godziny, podczas których gród daje się coraz mocniej we znaki. Tym bardziej ostrzą sobie zęby na zapowiadzianą kaczkę. Niestety, przydzielone przez Bieniakową porcyjki nie są w stanie zaspokoić apetytów.

Wiktorii dostaje się połówka skrzydełka, Emilce z Dorotą po kawałku szyi, Leszkowi cząstka karku - wszystko z dodatkiem łyżki makaronu i szklanki <sup>cienkiego</sup> rosółu. Nieco większą rację



otrzymuje furman. Rupińska z synkiem zostają pominięci zupełnie. Wiktoria stara się nie widzieć zawiedzionych min wokoło, usiłuje trzymać na wodzy własny język.. Przekonana, że Bieniakowa w ten zaskakujący sposób bierze zapłatę za usługę, milczy. Milczy również po posiłku, gdyż usta ma otwarte ze zdumienia.

Bieniakowa, jakby nigdy nic, oświadcza bezwstydnie.

- Dwa złote od porcji należy się. Teraz czas wojenny; drożyzna.

Inkasując żadaną sumę, rzuca:

- Smakowało? Ja zawsze mogę się tym zająć.

- Dziękuję. Chyba sobie na przyszłość poradzę - mówi chłodno Wiktoria, zaś Wysocka, niemy świadek tej sceny, nie wytrzymuje.

- Oni panią zjedzą z kopytami! Niech ich pani rzuci! Są u nas wolne domy, opuszczone ogrody. Z gotowymi kartoflami! Tylko nakopać. Mają też otworzyć z powrotem szkołę. Zostańcie z nami, Przeczekacie zły czas a potem wróćcie do domu.

Wiktoria dziękuje serdecznie dobrej kobiecie, propozycję jednak odrzuca. Za to Bieniakowa z córką - jak się okaże następnego dnia - decyduje się osiąść w Samborze, co widząc Wysocka przypuszcza do Wiktorii nowy szturm.

- Nie żal pani tego dzieciątka? Zmarnuje się - czule gładzi Inge po przybrudzonym czepku. Lecz Wiktoria nie poddaje się.

- Przetrwaliśmy tyle, przetrzymamy i resztę.

Odjeżdżają, żegnani jak bliscy krewni, zaopatrzeni w adres/na wypadek, gdyby czegoś potrzebowali/.

Bluszczycowscy - jedyni teraz właściciele furmanki z parą koni - nie ukrywają zadowolenia z powodu odłączenia Bieniakowej. Na ich wozie, w samym końcu, drzemie tylko chwilowy gość. Dyndający zwieszonymi w dół nogami strażnik.

Na furze Wiktorii ciasniej. Łącznie z nią, jej dziećmi, wiecznie rozmazaną Rupińską, Heniem i woźnicą mieści się aż osiem osób.

W Starym Samborze odpoczywają krótko, także do Chyrowa

przybywają tego samego dnia. Na wieść o tymczasowo zamkniętej granicy na Sanie - zachęceni radą przypadkowego przechodnia - instalują się dwa kilometry dalej, w kolonii Brzozy, w domu <sup>(Łowickiej)</sup> Słomianej wdowy po kolejarzu nie wiadomo gdzie zagnanym wojennym losem.

Jedyny jej syn, Staszek, uczeń pierwszej gimnazjalnej, równie sympatyczny jak matka, okazuje się niezmiernie przydatny w przygotowaniu legowisk w pustej izbie oddanej do dyspozycji gości. Nosząc słomę i siano, które wspólnie, z dziewczętami i Leszkiem, rozścielają na podłodze, ubolewa nad nieobecnością trzech mieszkających na górcie kolejarzy. Jego <sup>zdaniem,</sup> zrobiliby to dziesięć razy sprawniej.

Leżąc wygodnie na pachnącym pościelonym, Wiktorია doznaje wewnętrznej ukojenia. Nie osiada w Przemyśle <sup>(decyduje się)</sup> mają przecież mieszkanie w Nowym Targu. Może też... Ależ tak! To prawdopodobne!

Oni się tułają a tam czeka Joachim!  
W Brzozach ludzie mają pełne ręce roboty, jak <sup>(w)</sup> toż czas wykopek. Łowicka całymi dniami przebywa w polu, pilnując wynajętych ludzi, Wiktorია zajmuje się gotowaniem dla wszystkich. Dla kolejarzy z górci, zaopatrujących gospodarstwo w kradziony na stacji węgiel, także.  
- To nasz polski węgiel. To nie jest kradzież - powtarzają za każdym razem, oczekując na słowa rozgrzeszające.

Tułacze, jak Wiktorია i reszta, okazują swą wdzięczność za przygarnięcie pod dach, ile się. Zwożą ziemniaki z pola, rąbiają drwa, na wszelkie sposoby starają się być użyteczni. Wiktorია, której Łowicka zostawia wolną rękę i wolny dostęp do spiżarni, przystępuje do organizacji zajęć i sprawiedliwego podziału obowiązków - cecha przywódcza, której dawniej w sobie nie przeczuwała. W gotowaniu musi jej pomagać Rupińska, Dorota z Leszkiem pilnują Ingi,

Emilka udziela Staszce korepetycji z algebry solennie przez chłopca zniechęconej.

Ten obowiązek nie satysfakcjonuje dziewczyny. Pragnie się jeszcze bardziej odwdziżyć za dach nad głową. Pragnie coś pożytecznego zrobić. Przyglądając się dojeniu krowy, uznaje, że to zajęcie w sam raz dla niej. Łatwe i realne. Bardziej wymierne, niż ślęczenie nad znużonym Staszkiem, niewiele zresztą młodszym od niej samej.

Niestety, dojenie krowy w praktyce okazuje się mniej łatwe, niż w teorii. Z nastrzykanym do rękawa mlekiem, speszona, pozostawiając ubawioną tym Łowicką w oborze, umyka do izby z silnym postanowieniem skupienia się na problemach matematycznych.

Posiłki przyrządzane przez Wiktorię i Rupińską wkrótce stawiają wygodniałe towarzystwo na nogi. Wszystko takie smaczne! Dorocie nawet przez myśl nie przejdzie, by wyrzucić pierogi z kartoflanym farszem w cieście z razowej mąki, krzywić się na tłuczone ziemniaki z czerwonym barszczem, zawiesistą zacierką na mleku lub treściwy kapuśniak.

Po obiedzie Wiktoria każdego dnia wędruje do Chyrowa, gdzie można dowiedzieć się czy granica <sup>(już)</sup> otwarta a nade wszystko zasięgnąć języka o Joachimie. A nuż ktoś go widział?

Drugi tydzień wyczekiwania na otwarcie granicy rozpoczyna się spotkaniem znajomego. Pracownika Sądu z krościenka.

- O, pan Sakowski! - cieszy się, jak na widok brata. - Może pan wie coś o moim mężu?

- Przykro mi, ale nie - Sakowski rozkłada ręce. - A co pani tu porabia?

- Tułam się, jak pan widzi. *Leć* dość tego. Wracam do domu, do Nowego Targu.

- Czym pani podróżuje? Bo pociągi nie chodzą.

- Jedziemy w dwie furmanki, razem z Bluszczkami.

- Niewiarygodne, furmanki! - Sakowskiemu błyszczą oczy. - Ludzie,

zabierzcie mnie, na rany Chrystusa! Nasz koń padł a rzeczy mamy dużo. *Żadnych szans, żeby się z tym dopchać do Krościenka.* Wiktorii jest przykro, że musi odmówić.

- Gdybym mogła! - mówi *z żalem* - ale sam pan wie. Małżonka pana tuszę ma słuszną, obydwaj synowie też rośli mężczyźni. I do tego rzeczy. Musielibyśmy sami wysiąść - słowa z trudem przechodzą jej przez gardło, chciałyby mu pomóc. - Wie pan co! - dodaje nagle. - Proszę pójść ze mną do Brzóz. Zna pan Bluszczyka, prawda? Oni podróżują sami. *Może się pomieścicie.*

Krocząc u boku Sakowskiego ani przypuszcza, że oto *odmienia* swój los. *Że wszystko potoczy się teraz niezgodnie z planem.* Tegoż wieczoru/Wiktoria cierpi akurat na silny atak migreny/

*nieoczekiwanie odwiedza ją Bluszczyk. Jest jakiś nieswój, kręci się, chrząka, wwierca w nią swe policyjne, błękitne oczy. Wreszcie decyduje się.*

- Co pani myśli dalej, pani Leszczyńska?

- Dziwne pytanie. Wracam do Nowego Targu.

- I co tam pani będzie robić?

- Jak to co? To, co wszyscy! Zresztą już bliżej, niż dalej do końca.

- Do jakiego końca? Do czyjego końca? Chyba nie sądzi pani, że doczekamy się polskich czasów!

- Pan uważa, że nie?

Bluszczyka zdaje się to wyprowadzać z równowagi. *Robi pół obrotu ciałem, wyciąga do przodu rozwartą dłoń i - pukając w nią palcem wskazującym drugiej ręki - cedzi z zaskakującą pasją.*

- Prędzej na mojej dłoni włosy wyrosną, niż tu kiedy wróci Polska!

Wzbudza *z dumienie*, lecz i *zgromę*. Bluszczyk widzi to w oczach obecnych, chrząka, zmieszany, po czym - zapominając się pożegnać - wychodzi bez słowa.

Wiktorii nic z tego nie rozumie. - Oszalał chłopisko czy co! - mówi i dodaje: - On mnie najwyraźniej chce odwieść od zamiaru powrotu. *Dla czego?*

Mijają równe dwa tygodnie pobytu w Brzozach, gdy Bluszczyk pojawia się znowu. Zastaje Wiktorię krzątającą się w kuchni. Wita się, jakby nigdy nic, rozsiada na taborecie.

- Otworzyli granicę - mówi. - Jutro pod wieczór ruszamy.

- Na noc? - dziwi się Wiktoria. - Nie lepiej rano?

Bluszczyk nie zamierza jednak dyskutować. Nie patrząc na nią, dodaje.

- Kto tu jest komendantem, Pani czy ja?

Wiktoria po namyśle uznaje tę decyzję za pomyślną. Przynajmniej zdąży pójść do Chyrowa po chleb na drogę.

Nazajutrz, skoro świt, rusza w towarzystwie Emilki oraz Rupińskiej, lecz chleba nie znajdują. Właścicielki piekarni - Żydówki - mają dla nich jedną odpowiedź:

- Nie ma. Towarzystwo<sup>1</sup> zabrali.

Zamierzają wracać, gdy napotkana <sup>(przypadkowo)</sup> kobieta kieruje je do polskiej piekarni.

- Jest wprawdzie tylko jęczmienny, ale zawsze chleb - udziela niezbędnych do trafienia wskazówek.

Wiadomość okazuje się prawdziwa. Wracają zadowolone. Wiktoria z sześcioma dwukilogramowymi bochnami, Rupińska z dwoma. Idą na skróty, żeby mieć więcej czasu do załadowania furmanki. *Usiągnąwszy* wzniesieniu, od którego do drogi nie więcej niż pięćset metrów, stają, jak wryte.

Drogą suną dwie furmanki. Na pierwszej - rodzina Bluszczyków. Drugą - pustą - powozi woźnica Wiktorii.

- Mamusiu - *pyta* zdziwiona Emilka - czy oni od nas uciekają?

Wiktoria nie może się ruszyć z miejsca. Już wie, dlaczego Bluszczyk nakłaniał ją do pozostania w Brzozach. Teraz pojmuje swój błąd.

- Przyprowadziłam biedę na własną głowę - mówi, *wzdychając ciężko*.

- Chodźmy. *Nie* dogonimy ich przecież. - *Nie* zważa na rzewny płacz Rupińskiej, na skamieniałość Emilki. Najbardziej - nie wiadomo czemu - boli ją zdrada furmana, karmionego przez nią podczas całej tułaczki i

1. towarzysze

dobrze traktowanego.

Do domu Łowickiej docierają, ledwie powłócząc nogami - skutek nie zmęczenia, lecz *zakamania*.

Dorota wita je szlochaniem, Leszek z Heniem patrzą wystraszeni.

- Dlaczego? Dlaczegoście pozwolili?! - rozpacza poniewczasie Wiktoria:

- Trzeba się było sprzeciwić!

- Mamusiu, my nie wiedzieliśmy o co chodzi! -

Dorota jest nie mniej zrozpaczona, niż matka. - W całym domu nikogo dorosłego a pan Bluszczuk o nic nie pytał! Wyglądam przez okno a *tu furman* kończy zaprzęgać. I zaraz potem zacina konie. Mamusiu czy oni już po nas nie wrócą?

Sytuacja jest beznadziejna. Do Nowego Targu czy choćby Przemyśla nie sposób się dostać. Kolej rozbita, o kupnie nowej furmanki, a tym bardziej koni, mowy nie ma. Mimo to Wiktoria nie słucha rady Łowickiej, by w Brzozach przetrwać wojnę. Nakłania raczej ucho do sugestii kolejarzy.

Jedyna czynna linia kolejowa wiedzie na wschód. Może istotnie najlepiej wyruszyć do rodzinnego Leompola, do matki i brata?

Nieodłączna Rupińska decyduje się trzymać Wiktorii do końca. Następnego dnia razem udają się do chyrowskiego NKWD po nieodzowną przepustkę.

- Po co wy tam?! - umundurowany urzędnik spogląda podejrzliwie. - Może na przespīgi?

Wiktoria nie peszy się. Doskonale wie, co *trzeba* powiedzieć.

- W Leompolu urodziłam się i wychowałam. Mam tam rodzinę. Dokąd pojedę,

jak nie do swoich? Skoro mam wybierać między Niemcami a Rosjanami, wybieram was.

NKW-dzista wydaje przepustkę zarówno dla niej, jak dla Rupińskiej.

Nic nie stoi na przeszkodzie do wyjazdu.

Pocziwa Łowicka do ostatniej chwili usiłuje nakłonić Wiktorię do pozostania na miejscu a przy jej są szczere podczas pożegnania.

Kolejarze, sami także na wylocie, pomagają przenieść bagaże na stację, niestety - los zdaje się nie sprzyjać Wiktorii. Pociąg odjeżdża im sprę- nosa a na następny trzeba czekać dwadzieścia cztery godziny. Mimo to Wiktoria decyduje się spędzić czas w dworcowej poczekalni. Cóż z tego, że chłodno i niewygodnie. W mgnieniu oka wchodzi z powrotem w skórę włóczęgi.

Październikowa noc nie zapowiada się przyjemnie. Rupińska tkwi nieru- chomo, owinięta - wraz z Heniem - słynnym wielbłądzim pledem, trójka starszych dzieci Wiktorii kuli się pod narzuconym na nie kożuchem - poda- runkiem pożegnalnym komendanta Baczyńskiego. Wiktoria wspomina go z rozrzewnieniem a nawet, zwłaszcza po utracie zaprzęgu, z żalem.

- Tamten by mnie nie zawiódł - myśli, kołysząc w ramionach śpiącą Inge i walcząc z odnowionym nagle bólem brzucha. Przymyka oczy. Nie wi- dzi stojącego przed nią pracownika kolei, nie słyszy, co mówi.

- Dokąd pani jedzie? - powtórzone dwukrotnie pytanie wreszcie do niej dociera.

- Tam, gdzie znajdziemy przytułek. Na Wileńszczyznę.

Kolejarz . ma dobre serce.

- Mamy tu służbowe pokoje - mówi ciepło. - Nie wszystkie jed- nocześnie zajęte. Chodźmy.

Prowadzi ich do wielkiej sali z dziesięcioma łózkami, lecz bez żarówki.

Ma dobranoc poucza.

- Jeśli w drodze zechcecie ciepłej wody, wystarczy przejść się do paro- wozu z jakimś naczyniem. Podstawić i każdy maszynista napuści bez prob- lemu.

Taka woda jest zdatna do picia, nie ma obawy.

Do łóżek kładą się bez kolacji. Nauczeni doświadczeniem, wiedzą, że chleb należy oszczędzać na, być może, gorsze czasy. Już nie ma jednego bochenka, kto wie na jak długo muszą wystarczyć pozostałe.

Wiktoria zasypia z troską w sercu. Jak dostać się rano do zatłoczonego pociągu i czy będzie to pociąg w ł a ś c i w y.

Na szczęście uczynny kolejarz nie zapomina o swych podopiecznych. Umieszcza ich w wagonie, w którym nie ma wprawdzie ani jednej ławki, lecz oni nie są wybredni. Nawet siedząc na podłodze, można z rozkoszą zajadać chleb popijany gorącą wodą przyniesioną przez Dorotę z parowozu.



Rozdział IV

Z N O W U N A S Z L A K U

W wagonie - nieopisany tłok. Ludzie, walizy, toboły, różnojęzyczny rwetes. Są nawet Czesi. O czymś gorąco dyskutują, coś roztrząsają. Często wymieniają nazwiska Masaryka i Hachy. Każdy plasuje się byle gdzie i byle jak. Jedni stoją, inni kucają, jeszcze inni przysiadają na bagażach lub gołej podłodze. Wiktoria siedzi na internackiej walizie Emilki, Dorota z Leszkiem tkwią obok. Emilka stoi tuż przy oknie, obserwując okolicę.

Przycupnięta w sąsiedztwie Wiktorii lwowianka nie potrafi się powstrzymać od uwagi.

- Czemu nie da pani dzieciakom czegoś cieplejszego do włożenia? - pyta ze zgorszeniem. - Pomarzę, widać.

- Nic na to nie poradzę - Wiktorii ściska się serce. - Straciliśmy wszystko.

- Ta joj! Ta bójże się pani Boga! Taż zimy tylko petrzeć! - woła lwowianka, grzebiąc jednocześnie we własnej walizce. - Czekał pani. Mam tu, zdaje się, sweter. Ot, choroba, nie sweter a szal! - wciska Wiktorii miękki szal z czerwonej wełny. - Nu gdzież ten sweter ja wtryniła, kapusciana głowa! A może wcale go nie brała? Szkoda!

Wiktoria jest zażenowana, lecz wzbrania się niedługo. Nie <sup>przeczuwał</sup> ~~przeczuwał~~ jak cenny okaże się ten dar serca w niedalekiej przyszłości. Tymczasem - swoim zwyczajem - zaczyna opowiadać o mężu. Może go ktoś widział? A potem zwierza się lwowiance ze swych obaw. Kiedy mówi o masakrze pociągu Kraków-Lwów, którym mógł jechać także Joachim, nieoczekiwanie wtrąca się podróżujący w pobliżu nieznajomy.

- Kiedy to miało być?

- Gdzieś tak na początku września. Może nawet pierwszego?

- No to niech pani plunie w oczy tym, co tak breszą! - wybuchła mężczyzna. - Sam ja ten skład prowadził. Bo ja, widzi pani, jeżdżę na tej trasie. I oświadczam: nikt wtenczas nie zginął. Nie było żadnej masakry. Dobrze pamiętam ten dzień. Jadę, naraz słyszę - buczy. Aha, znaczy się, nadlatują ścierwy. Jak nic, będą walić w pociąg. Tak ja, zwolniwszy, przystanął. Wojsko, ostrzeżone, powyskakiwało w las. Żywa dusza nie została, Bóg świadkiem. A wszystko zrobiło się tak prędko, że ja dłużej o tym teraz gadam. No to, jak oni pouciekali, tak ja letko pary popuścił i - ledwie się rozbujawszy - razem z chłopakiem-pomocnikiem - w bezpieczne miejsce!

Prawda, że niezadługo zaczęli w niego grzmocić, w pusty pociąg, znaczy, aż drzazgi lecieli. Zrobili z niego, skurczybyki, miazgę, prawda, Ale żołnierze nie ucierpieli.

Wiktoria słucha i serce w niej śpiewa, lecz - już po chwili - zaczyna ubolewać nad swym <sup>niepojętym</sup> ~~zamroczeniem~~. Bo jeśli Joachim nie zginął w pociągu, to <sup>(mógl)</sup> wędrować polną drogą z koszem przewieszonym przez ramię. Nawet, jeśli ~~Śluszczyk nie widział istotnie nikogo.~~ Krótki postój pociągu na stacji i wejście grupy zdemobilizowanych polskich żołnierzy/ bez pasów, dystynkcji, orzełków na czapkach i broni/ kieruje jej uwagę na inny tor.

- Polskie wojsko?! - Ludzie dziwią się, nie wierzą własnym oczom.

- Pokażcie się panowie! Czy to rzeczywiście nasze mundury? Polskie? Młodzi żołnierze, błyskając zębami w szerokich uśmiechach, pozwalają się oglądać, jak na pokazie mody. Jeden, starszy od kolegów, mówi.

- Wracamy z Kągru. Był rozkaz: nie walczyć z <sup>(Sowiekami.)</sup> Wzięli nas, potrzymani a potem puścili.

Żołnierze nie jadą daleko. Na każdej stacji któryś z nich, nieraz po dwóch, wysiada. Najdłużej pozostaje najstarszy, który w milczeniu, bacznie przygląda się Emilce.

- Dlaczego pan obserwuje moją córkę? - nie wytrzymuje Wiktoria i od razu spręży się wewnętrznie.

- Bo panienka bardzo mi kogoś przypomina. W ogóle cała rodzina. Wszystko się zgadza.

- Co się zgadza? *Na litość Boską, mówcie pan!*

- To było tak...Leżałem w ruskim lazarecie a koło mnie taki jeden. Ten gość...Jak on się nazywał?Mówił; nie spałem.Więc on nic, tylko o tej swojej żonie i dzieciach.Że taka drobniutka,taka delikatna i taka śliczna.I z dzieckiem na ręku.Z córeczką niedawno urodzoną. O trojgu starszych też opowiadał.Dwie panienki i chłopczyk;jak te tutaj. W kółko-macieju tylko o tym mówił.Po prostu wariował człowiek. A najstarsza córeczka nadzwyczaj do niego podobna.Dlatego zwróciłem na nią uwagę.Synek też,jak bliżej się przyjrzeć,cały tatuś.

Wiktoria słucha zachłannie,dygocąc coraz bardziej.Słuchają z zapa-  
rtem tchem wszyscy zainteresowani a nawet nieznajomi.

- Nazwisko!Nazwisko tego człowieka! - Wiktoria domaga się stuprocen-  
towej pewności. - Nazwisko!

- Mówiłem już.Wyleciało z pamięci.

- Więc proszę mi go opisać! - gorączkuje się Wiktoria.

- Dostyc wysoki,dobrze zbudowany.Śarczyasty taki.Aha,głowę miał łysą,  
jak kolano.

- Joachim! - woła Wiktoria. - Nikt inny! Co mu było?Ranny?Może ciężko?

- Skądże!Coś z żołądkiem czy kiszka.

- On ponad wszelką wątpliwość! - Wiktoria płacze ze wzruszenia.

- Dlaczego?... Dlaczego...nie ma go  
tutaj?

- Nie doczekał się,biedaczysko,zwolnienia.Mówiłem przecież.Szalał na  
punkcie swoich.Ciągle o jednym:że musi ich odnaleźć.No i nie wytrzy-  
mał.

- Umarł?! - wykrzykuje zgodny chór rodzinny.

- Nic podobnego!Uciekł tydzień temu.Niepotrzebnie,bo nas akuratnie  
wypuścili.

Wiktoria nie potrafi pogodzić się z tym okrucieństwem losu.Ćcała pod-  
daje się rozpaczy.

- Po co! Po co uciekałeś, Joachimie! Tak mało brakowało, żebyśmy się spotkali! Teraz, w tym pociągu! Gdyby do tego doszło, oboje błogosławilibyśmy przeniewierstwo Bluszczyka, O Boże, sam szatan musiał się w to wdać na nasze nieszczęście! - przejęta do głębi, aż do Lwowa, pozostaje niema i głucha.

Piękny dworzec lwowski, ze śladami niedawnego pożaru, tylko mgliście przypomina Wikterii czasy, gdy przyjeżdżali tu z Joachimem. Uplasowana, przy pomocy znajomego Joachima z łagru, w ocalałych podziemiach budynku stacyjnego, myślami nieobecna, nie od razu pojmie sens słów Rupińskiej.

- Pani Leszczyńska, - doszłam do wniosku, że nie powinnam wlec się w nieznane. Wsiądziemy z Heniusiem w Wilnie. Nie wytrzymuję już. Jadę do Klukowa. Na Podlasie. Pani do rodziny i ja do swoich. - Powiedziawszy tak wiele, zamiera na powrót pod swoim pleciem, niby obraz nieszczęścia.

Wiktorija przyjmuje tę decyzję ze zrozumieniem. Nie ma zresztą ochoty na dyskusję. Nie potrafi usiedzieć w miejscu. Z Ingą w ramionach, rusza między ludzi. Zaczepia co drugiego, pyta o Joachima, wypatruje w tłumie jego samego. Może sobie na to pozwolić. Znajomy Joachima z więziennego szpitala pilnuje tymczasem jej dzieci oraz skromnego dobytku. Mimo zmęczenia nie jest w stanie usiąść na dłużej. Tym bardziej usnąć. Czuwa do rana, niemal całą noc na nogach - niespokojna, podniecona, zrozpaczona.

Do podstawionego rankiem składu na Wilno dostają się dzięki pomocy ex-żołnierza, który towarzyszy im już niedługo. Wsiada w Brodach.

Pociąg jedzie wolno. Po prostu się wlecze - zatłoczony, przeładowany. Tu również są byli żołnierze. Wśród nich - anonimowi teraz oficerowie, najwyraźniej ukrywający swą rangę.

Wiktorija ma miejsce siedzące, co zawdzięcza towarzyszewi Joachima. Goly w Równem megafony ogłaszają przesiadkę dla jadących

do Wilna, przyjmuje to niemal ze łzami. Zwłaszcza

ze względu na wciąż nasilające się bóle. Nie ma już czynnego żołnierza. Z wielkim trudem wydostaje się na peron i za cud uważa, że pozostałym również się zo udaje. Poczekalnię dworcową - istną halę sportową - od końca do końca zalegają koczujące tłumy. Tu, w zaduchu dawno nie mytych ciał, wiele godzin oczekują na połączenie. Do pociągu wsiadają kompletnie wykończeni.

Wiktoria jest tak osłabiona, że modli się w duchu, aby nie wypuścić z ramion Ingi. Po prostu ledwie żyje. Na dobitkę nieszczęścia, gdzieś w okolicach Nowogrodu, przyczepia się do niej dziwny osobnik.

- Dokąd pani chce jechać? Niech pani przerwie ten beznadziejny pęd donikąd. Czas osiąść na stałym gruncie. Zaraz będzie stacja, pomogę. Tu niedaleko mieszkam. Kawałek lasem i zaraz wioska. Ludzie w niej bogaci, jedzenia dość, mieszkanie też się znajdzie. Po co szukać wiatru w polu! - Jego natarczywość, wprost nachalność każe Wiktorii mieć się na baczności. Zbyt jednak zmęczona, by mówić, milczy. Marzy o jednym. Aby ten nieprzyjemny, wręcz odpychający człowiek przestał ją dręczyć. Emilka, przysłuchując się monologowi obcego, coraz bardziej się denerwuje.

- Co będzie, jeżeli mamusia się zgodzi? Może to złodziej!? - Obserwuje nieznajomego, który - odszedłszy na bok - zamienia pośpiesznie kilka słów z jakimś kolegą, po czym wraca.

Jej podejrzenie zamienia się w pewność. - Boże, jak to powiedzieć matce! Intruz tymczasem przypuszcza do Wiktorii nowy szturm, jeszcze bardziej namolny. Rzecz by można; kategoryczny.

- No, proszę pani, stacja. Wsiadamy! - wyciąga bezceremonialnie rękę do największej, granatowej walizy, pewien swego.

Lecz oszukuje się. Niewielka, drobniutka, milcząca kobietka przemawia nagle tonem dragona:

- Dziękuję panu!

Zaskoczony ale i wściekły, macha wyciągniętą ręką i robi odwrót. Podróżującą obok kobieta z wielkimi koszami kwituje to prychnięciem.

- Tyż amator się znalazł! - pochylona nad jednym z koszy, wydobywa spory, owinięty w białe płótno pakiet, rozwija go i...wszystkim zapiera dech w piersiach.

Solidne kromy wiejskiego chleba, kawały pieczonej cielęciny - aromat takiej mocy, że odwracają czym prędzej chciwe spojrzenia, przełykając ślinę. Nie widzą, że kobieta okłada pajdy chlebowe cielęcą pieczeńią, że czyni zapraszający gest. Musi to powiedzieć głośno.

- Proszę, częstujcie się. Bez krępacji! - Odbiera wszystkich, ostatnią porcję zaczyna jeść sama.

- To chyba cud - myśli zachwycona Dorota. Je - podobnie jak pozostali - wolno, hamując ochotę naładowania ust po brzegi.

Ten posiłek wlewa w nich nowe siły. Gotowi są pokonać każdą odległość bez konieczności jedzenia choćby trzy dni. Emilka, przykucnięta wraz z Dorotą między ławkami, czuje się coraz bardziej ociężała, senna. Wkładając ostatni kęs do ust, usypia. Przełknie go dopiero po przebudzeniu.

Leszek, najedzony prawie do syta, śpi wyciągnięty na półce bagażowej. Wiktoria, pogawędziwszy z wielkoduszną kobietą, drzemie niespokojnie. Nawet przez sen martwi się o to, jak wysiądzie z pociągu.

Szczęście, acz chwilami kapryśne, nie opuszcza jej jednak w tym trudnym momencie. Znow Opatrzność przysyła jej chętnego osiłka, który nie tylko pomaga przy wysiadaniu, ale i prowadzi do poczekalni.

- Wilno, mój Boże! - <sup>zamyśla się</sup> Wiktoria. - Czy to wczoraj byliśmy tu z Joachimem? Restauracja, teatr, hotel... Sto lat. Sto lat temu byłam szczęśliwa.

Mimo tłoku, w poczekalni zięb, niby w psianki. Wiktoria przygląda się swym dzieciom z troską, Nie mogą, dłużej koczować. Nie wolno jej myśleć o Leopolu.

Przecież tam nie dochodzi pociąg! - Przypomina sobie nagle, że niedaleko stąd, w Głębokiem, mieszka Julia.

- Dzieci - mówi niemal wesoło. - Odwiedzimy najpierw ciocię Julię. Do babci pojedziemy potem.

Podczas gdy rodzeństwo zwraca swą uwagę ku znanym tylko ze słyszenia krewnym, Wiktorcia wynajmuje numerowego. Chce uniknąć niespodzianek. Dlatego spłaca go z góry i umawia na piętnaście minut przed nadejściem pociągu.

Potem wysyła Emilkę po wodę dla Ingi. Dziewczyna ledwie trzyma się na nogach, mimo to posłusznie bierze menażkę i odchodzi. W pobliżu nie ma akurat żadnego parowozu, *udaje się więc do restauracji.*

Przestąpiwszy próg, staje oniemiała. Inny świat! Dawno zapomniany świat przedwojenny. Cisza, czystość, nakryte białymi obrusami, suto zastawione stoliki. Syci, zadowoleni ludzie.

Podchodzi nieśmiało do pierwszego z brzegu kelnera.

- *Przepraszam;* czy mogłabym dostać trochę wody?

- Proszę przejść do bufetu - w głosie kelnera pobrzmiewa nutka lekceważenia.

Podczas gdy barmanka nalewa do menażki wody z ekspresu, Emilka przypatruje się dyskretnie ustawionym za szkłem, smakowitym przekąskom. *Nawet przez myśl jej nie przejdzie, by powiedzieć o tym matce.* Rusza ku drzwiom z napełnioną menażką, kręci jej się w głowie.

Przy ostatnim stoliku traci równowagę do tego stopnia, że *- zataczając się -* przesuwa go z hałasem i brzękiem szkła o dobre pół metra w bok. Na białym obrusie - *doża,* mokra plama. Emilka zamiera, przerażona, w oczekiwaniu *gromów.*

- *Przepraszam -* szepcze ze łzami w oczach. Nie wie, ma iść czy stać.

- Nie szkodzi, nic się nie stało. - *Słowa te brzmią anielsko. Osmiełają do umknienia.*

Wynajęty przez Wiktorię tragarz zjawia się punktualnie co do minuty.

Właśnie układa na wózku rzeczy, *gdy* podchodzi do niego *cierpiętniczo skrzywiona Ropińska.*

- Panie, weź pan moją walizkę!

- A dokąd pani jedzie?

- Na Białystok.

- Co pani! - oburza się tragarz. - To z innego peronu i tylko pięć minut później, niż na Głębokie! Jak pani to sobie wyobraża? Że ja zostawię kobietę z dzieckiem na ręku i pójdę pani usługiwać? Trzeba było wcześniej pomyśleć! - Nie zważa na głośny lament Rupińskiej. -  
- Nic pani nie poradzę.

W ostatniej chwili Emilka notuje w zeszycie adres Rupińskiej, Wiktoria raz jeszcze próbuje skłonić ją do zmiany decyzji. W końcu żegnają się ze łzami w oczach.

Pociąg do Głębokiego jest tak nabity, że bagażowy musi załadować ich przez okno. Ruszają ściśnięci, jak śledzie w beczce, <sup>chociaż</sup> przedział wielkością przypomina stodołę. Po obu jego krańcach, pod ścianami, biegną ławy. Środkiem tłoczą się pasażerowie i piętrzą bagaże.

Podróż wlecze się w nieskończoność i tylko dzięki nadziei, że to końcowy etap. Na miejsce docierają w godzinach porannych, ledwie żywi.

Jakiż to ziać! Natychmiast sinieją im ręce i twarze. Niemal tego nie czują. Siedząc w <sup>wynajętej</sup> dorożce, ciekawie rozglądają się dookoła, otwierają serca dla tych ciasnych uliczek i skromnych domków, dla szarego nieba, które już uważają za własne.

Niestety, radość pryska nadspodziewanie szybko. Pod wskazanym adresem nie mieszkają żadni państwo Ziemsy. Wyjechali przed samą wojną w niewiadomym kierunku.

Wiktoria nie poddaje się. Każę dorożkarzowi jeździć po mieście, zaczepia ludzi, rozpytuje. Wreszcie ktoś radzi im zgłosić się do sklepu niejakiego Blumsztajna. On powinien coś wiedzieć. Jest to właściwy trop. Handlujący „sztykiem, mydłem i powidłem” kupiec tak dobrze zna panią Julię Ziemską, iż wie, gdzie obecnie mieszka. Dwadzieścia kilometrów stąd, w Hołubiczach. Opóźnia to wprawdzie wymarzony moment zakończenia tułaczki, lecz go nie



wyklucza. Niemniej poważnie komplikuje. Dorożkarz : kategorycznie odmawia jazdy.

- Za nic w świecie! - wykrzykuje.

- Ależ to niedaleko! - dziwi się Wiktorja. - Zapłacę podwójnie. Potrójnie!

- Za żadne skarby! - upiera się dryndziarz. - Przecież oni mi po drodze zarekwirują konie! Z czego wyżywię rodzinę?

- Nie ma rady - kapituluje Wiktorja. - Trzeba się zatrzymać w hotelu. Odpocznjemy a potem się zobaczy.

Nic z tego, miejsc w hotelikach brak. Nie ma ich również w prywatnych mieszkaniach.

- Co to znaczy! - denerwuje się Wiktorja. - Oni chyba :

n i e c h c ą nas przyjąć! - Panie, zlituj się pan! - zwraca się ponownie do dorożkarza. - Płacę, ile pan zażąda.

- Nie mogę. Jak Boga kocham! - chłopisko wierci się na koźle coraz niespokojniej. - Choćbym chciał!

- To niech pan jeździ po mieście - dysponuje Wiktorja. - Może się coś znajdzie, zanim nadejdzie noc. Wynajmuję pana na cały dzień.

Brzemenna kobieta, którą nagabuje jako kolejną, patrzy litościwie, lecz odmawia. - Gdyby nie to - ukazuje swój wydatny brzuch. -

- Spodziewam się lada chwila.

Stoją nieopodal okazańszego od innych budynku; Wiktorja wysiada. Może tutaj ich przyjmą? Rusza i natychmiast przystaje.

- Co pani robi?! - wykrzykuje dorożkarz. - Przecież to NKWD! Istotnie. Napis na szyldzie głosi: "Narodnyj Komitet Wnutriennych Dieł".

- Aha, urząd. - Wiktorja nie rozumie, dlaczego dryndziarz się boi. - To najlepsze wyjście - dodaje, wspomniawszy przemyskie doświadczenia.

- Czy ja dobrze słyszę? Prosto w paszczę niedzwiedzia!

- Proszę tu na mnie czekać. - Wzruszając ramionami, znika w drzwiach wejściowych.

Dorożkarz kuli się na koźle, Emilka z Dorotą i Leszkiem schodzą na ziemię, chwilę rozprostowują kości. Nieopodal lśni ponurym odbłaskiem zachmurzonego nieba tafla jeziora. Woda! Można się umyć! Biegna nad brzeg, wyjmują chusteczki do nosa, moczą je, przecierają twarze i dłonie. Orzeźwieni, wracają do dorożki, bo przecież багаż! Oczekiwanie na matkę przeciąga się. Dziwne zachowanie dorożkarza budzi niepokój.

- Durna baba - burczy dość wyraźnie, by go zrozumieć. Dorota oburza się z całego serca.

- Czy to o mamusi? - myśli. - Dałby mu tatuś, gdyby tu był!

W międzyczasie Wiktoria - bez żadnych zahamowań - kroczy w głąb długiego korytarza, zastanawiając się, które z licznych drzwi wybrać. Szczęśliwym trafem - w najbliższych - okazuje się urzędnik.

- Proszę pana! - zaczyna <sup>Wiktorią</sup> i milknie, uświadomiwszy sobie, że mówi po polsku. Zanim się zdąży poprawić, tamten pyta:

- Czego sobie pani życzy?

Ośmielona, wyłuszcza swój problem.

- Ach, uchołdźcy! Z tym to do komisarza, tylko poczekać trzeba. Proponuję, w międzyczasie, opisać wszystko w podaniu.

epi: 7 - -

O, tam jest stolik. Zaraz przyniosę papier i coś do pisania. - Znika a wróciwszy, informuje tonem pocieszenia.

- Dostanie pani trochę pieniędzy. Uciekinierem przysługuje zapomoga.

- Ależ proszę pana! - oburza się Wiktoria. - Nie potrzebuję wsparcia. Nie jestem bez grosza. Potrzebny mi tylko dach nad głową. Chociaż na jedną noc.

- Nie ma się czego krępować - mężczyzna krzywi się nieznacznie. - Jest pani milionerką czy co?

- No nie.

- A więc proszę pisać.

Przybyły po około piętnastu minutach komisarz czyta podanie w biegu, sprawdza przepustkę z chyrowskiego NKWD, podpisuje i Wiktoria wzbogaca się o pięćset złotych. Mimo to nie odchodzi.

- Potrzebujemy kwatery - spogląda błagalnie, tuląc Inę do piersi.  
- To trudniejsza sprawa - mówi: komisarz. - Nie w mojej gestii.  
Tylko naczelnik jest władny coś zrobić.

- Proszę pana, ja błagam! - nie ustępuje Wiktoria i komisarz zgadza się zameldować ją zwierzchnikowi.

Gabinet naczelnika zaskakuje nieoczekiwaną elegancją. Miękki dywan, wygodne fotele, piękne stylowe biurko, firanki w oknach. W ich koronkowym tle, za biurkiem - człowiek w mundurze z dystynkcjami kapitana.

- W czym dieło?<sup>4</sup>

Powtórzywszy wszystko od a do zet, Wiktoria ~~koniecznie~~ przebiegle:

- Uciekłam od Niemców. Wy, Rosjanie, jesteście nam bliżsi, niż oni. Jedna rodzina słowiańska. Mąż zaginął, przyjechałam tu pod waszą opiekę.

- Dlaczego akurat tu? - Naczelnik patrzy podejrzliwie.

- Bo mam w tych stronach rodzinę. Stąd pochodzę. Pech, że siostra przeniosła się do Hołubicz, dlatego szukam noclegu.

- Hołubicze? To niedaleko. Dlaczego tam nie jedziecie?

- Piechotą, z dziećmi, nie dojdziemy. a koni nie mam.

Naczelnik twarz ma nieprzeniknioną. Nieoczekiwanie ostro ciska w nią pytaniem.

- Wasz mąż oficer?<sup>2</sup>

- Niet. Prostym on żołdat.<sup>3</sup>

Naczelnika interesuje jeszcze ostatnie miejsce zamieszkania interesantki, lecz długo nie może znaleźć na wielkiej, ściennej mapie napisu Nowy Targ. Udaje mu się dopiero wówczas, gdy Wiktoria poradzi mu, by najpierw odnalazł Kraków. Sprawdziwszy w ten nie skomplikowany sposób jej prawdziwość, okazuje zadowolenie, co Wiktoria wykorzystuje bez zwłoki.

- Widziałam tu auto. Dajcie szofera na dwie godziny i zejdę wam z oczu - podsuwa nieoczekiwanie dla samej siebie.

---

1. O co chodzi?

2. Czy pani mąż jest oficerem?

3. Nie, jest zwykłym szeregowcem.

- Benzyny nie ma - ucina naczelnik, co jej wcale nie zraża.  
- Te pożyczcie od kogoś - radzi niefrasobliwie, uśmiechając się uśmiechem uznawanym przez Joachima za czarujący.

Naczelnik pozwala się wciągnąć w grę. - Minutoczku! - rzuca i zaczyna kręcić korbką telefonu.

- Obiecali dać wiaderko, ale dopiero o *czwartej - oznajmia.*

- Poczekam! - Wiktoria dziękuje wylewnie, po czym wraca do dzieci. Dorożkarz, na jej widok, oddycha głęboko. - To ja już mogę jechać? - pyta skwapliwie.

- O nie! Poczekamy sobie pod budą. Możemy tylko zjechać bardziej na bok.

Woźnica klnie pod wąsem, lecz nie protestuje. Zbyt jest zdumiony a może przestraszony. - Czy pani wie, że do tego budynku tylko wejść łatwo! Z wyjściem już gorzej. To cud, że pani uszła cało.

- Nie tylko uszłam, ale i samochód załatwiony. - *Wiktoria wciąż nie rozumie przyczyny strachliwego zachowania się dorożkarza.*

*Ten* spogląda na nią podejrzliwie a następnie milknie. Nie odezwie się już do końca. Do momentu, gdy - opłacony - *odjedzie* pustą dorożką.

Zdezelowany łazik, punktualnie o szesnastej, zaczyna warczeć niesamowicie, wypychając z rury wydechowej tumany spalin. Naczelnik osobiście dogląda załadunku *osób* oraz rzeczy. Wiktoria, patrząc na niego, dziwi się, skąd wśród ludzi taki strach przed nim. Zwykły człowiek. Może tylko twarz zbyt ostra i czyhające jakieś spojrzenie. Nieważne. Grunt, że wreszcie jada.

Poza kierowcą tkwi przy nich jeszcze jeden *typ*, milczący jak pień przez całą drogę i mocno niesympatyczny.

W Hołubiczach pierwsze napotkane dziecko kieruje ich pod właściwy adres i łazik zajeżdża z fasonem aż pod oszklony ganek, na trawiasty *podjazd.*

Julia Ziemska, która natychmiast wybiega *przed dom*, rozświetla

się cała ciepłym, radosnym uśmiechem na widok siostry. Smukła, wyższa od Wiktorii, lecz ogromnie do niej podobna, biegnie z otwartymi ramionami, płacząc ze wzruszenia. Sciskając i całując wszystkich po kolei, woła śpiewnym wileńskim akcentem, który z miejsca oczarowuje siostrzeńców.

- Ach Bożeż ty mój! A ja tu łez wylałam już nad wami, że Dżwina czuć nie wystąpiła z brzegów! Witajcie, witajcie kochani i zachodźcie! - W tej chwili, trzaskając drzwiami, wypada czwórka młodych Ziemskich; mniej więcej w wieku przybyłej starszej trójki. Powitalna radość staje się tak spontaniczna, że Wiktoria ledwie ma czas podziękować szoferowi odjeżdżającego łazika.

Julia - wprowadziwszy gości do pokoju i usadowiwszy ich, gdzie się dało - od nowa wyraża radość z ich przybycia.

- Jak dobrze, że obiad ugotowany dziś na dwa dni! Dla wszystkich starczy! - Ustawia talerze, co rusz całuje któreś z dzieci Wiktorii, przemawia pieszczotliwie do Ingi. Tryska z niej energia, jest wesoła i jakaś niefrasobliwa, czym - mimowoli - zdumiewa przybyłych, lecz i zachwyca.

- Ach ta ciocia! - myśli Emilka. - Niby podobna do mamusi a jakże inna. Najbardziej, spośród ciotecznego rodzeństwa, podoba się jej najstarsza, Mania, ze swoją oryginalną urodą brunetki o śniadej cerze i jarzących się błękitnych oczach. Warkocze ma długie i grube, jak przegub ręki i zgrabną figurkę.

Dorota zerka z zainteresowaniem ku młodszym: dziewczynkom. Która najbardziej nadaje się na przyjaciółkę? Jej rówieśnica, Jolanta, równie szczupła jak ona, blondyneczka tańcząca właśnie z Ingą po pokoju czy nieco młodsza, poważna Kasia, dość nieśmiała, pozostająca na uboczu tej rodzinnej radości.

Leszek, zawarłszy znajomość z ciotką i kuzynkami, nie interesuje się nimi więcej, szczęśliwy ze spotkania z bratem, Tomciem.

Wszyscy pałaszują spóźniony obiad - barszcz czerwony i ziemniaki okraszone

skwarkami - gwar, jak na cygańskim weselu.

Po obiedzie Wiktoria pyta siostrę czy mogą tu odsapnąć przed drogą do Leompola, co wyzwała w Julii nową falę czułości. Po raz nie wiadomo który całuje Wiktorię serdecznie i kategorycznie oznajmia, że wcale jej od siebie nie puści.

- Sama widzisz, kochanie ty moje, że wszystko pasuje. Obie my bez mężów /wiesz, Edward uciekł zawczasu, bo na policję to o n i strasznie zjadli/, i po czwórce u nas dzieci, Przeżyjemy! Och, ależ wy zmordowani! - rozczuła się raptem. - Zaraz wszystko obmyślę, zobaczysz. Mam dwa pokoje. Jeden wam daję i kwita.

- Ależ my nic nie mamy! - protestuje Wiktoria. - Istne dziady. Jesteśmy po prostu nadzy i bosi.

- Głupstwo! - Julia gładzi Wiktorię po twarzy. - Podzielę się z wami tym, co mam a nie jestem taka znów najbiedniejsza. Od dziś, Wikuś, uważaj ten dom za swój!

Rozdział V

P R Z Y S T A N

Hołubicze - raczej duża wieś niż miasteczko - to parę okazałych budynków/cerkiew, szkoła, przychodnia lekarska, *Rajkom/* oraz dwa rzędy parterowych, drewnianych, krytych gontem lub słomą domków po obu stronach głównej drogi.

Z reguły cztery, pięć izbowe - domki należą w większości do Żydów. Jest nim również gospodarz Julii, Mendel. Ma żonę, Rochaciwę, dwunastoletnią, niedorozwiniętą córkę, Judaškę, i zajmuje się nielegalnym teraz ubojem bydła. Wszyscy troje mieszkają po lewej stronie długiego korytarza rozpoczynającego się u frontowego wejścia z ganku a kończącego u przeciwległej ściany, na tyłach wielkiej, wspólnej kuchni o dwojgu drzwiach: do izby Mendłów oraz na podwórze.

W tej kuchni, przy dużej płycie, ponad którą wycięto kwadratowy otwór wiodący na strych, *(gdzie wchodzi się po ścianie)* spędzi Wiktoria wiele znojących godzin, gotując posiłki najpierw dla dziesięciorga, potem dla pięciorga osób, pozostawiając wiecznie zajętej siostrze swobodę działania.

Elegancka, starannie umalowana i uczesana, lubi znikać na całe dni, toteż nie zdaje sobie sprawy z niewygód, na jakie skazane są obie rodziny. Najmocniej da się wszystkim we znaki ciasnota.

Większy, reprezentacyjny pokój pełniący połączone funkcje sypialni, jadalni i saloniku zostaje zarezerwowany dla Julii oraz Tomcia, Mniejszy - oddzielony ciężką, zieloną, zawieszoną w otworze drzwiowym zasłoną - służy gościom i trzem siostrom Ziemskim. Jedynym praktycznym przedmiotem w tym niewielkim, zagraconym mieszkanku jest piec. Wbudowany zmyślnie w ścianę pomiędzy dwoma pokojami, ogrzewa obydwu na raz.

W tylnym pokoiku, między połówką pieca a zieloną kotarą, na pluszowej kanapie, sypia Mania. Do Joli i Kasi należy, usytuowany vis á vis wejścia, tapczanik. Przytyka do niego

spora komoda, pomiędzy którą a oknem stoi łóżko Tomcia, teraz oddane Wiktorii oraz Indze.

Pod przeciwległą ścianą znajduje się stół. Między nim a łóżkiem na noc kładzie swój materac Leszek. Materace Emilki i Doroty, ciasno zsunięte, układane są wzdłuż komody, w nogach kuzynek, którym utrudnia to nocne wstawanie.

Mimo wszystko przybysze są, w pierwszym okresie, zachwyceni. Nareszcie dach nad głowami. Wreszcie koniec tułaczki! Dopiero nasilające się zatargi między ciotecznym rodzeństwem każą Wiktorii powrócić do

pierwotnego zamiaru osiedlenia się w rodzinnym Leompolu. Uzyskawszy połączenie telefoniczne z bratem, dłuższą chwilę walczy z rozrzewnieniem. On także jest mocno wzruszony a jego zaproszenie, by przyjeżdżała, brzmi szczerze. Niestety, nie jest w stanie zapewnić siostrze żadnego środka lokomocji i Wiktorię opuszcza wszelka chęć działania. Już wie, iż nigdzie się nie ruszy.

Próbuje więc załatwić sprawę inaczej. Rozumie, że dłużej tak nie może być.

- Julko - mówi z całym przekonaniem - zrozum. W takiej ciasnocie nie trudno o sprzeczkę. Każdy źle postawiony bucik czy porzucony łaszek urasta do rangi problemu. Jeszcze się pogniwamy z tego wszystkiego. Dziękuję ci za przyjęcie, ale teraz pozwól się nam wyprowadzić. Mam, dzięki Bogu, pieniądze, na pewno coś znajdę w pobliżu. Bo tu tylko kłopot przez nas. Dzieci się drocą, jak to dzieci a i ty odetchniesz.

- Pleć pleciugo, byle długo! Mieć rodzoną siostrę i poniewierać się u obcych?! I ty myślisz, że ja się na to zgodzę? - Głos Julii brzmi stanowczo, ciemne oczy goreją, pociągła twarz płonie rumieńcem.

- Powiem ci, że mnie nawet na rękę wasz pobyt. Często wyjeżdżam,



jak wiesz, bo to i mydło zdobądź, to mąkę, to naftę ; słowem - tysiąc spraw. Co za ulga - wiedzieć, że dopilnujesz w tym czasie domu i dzieciaków. *A jeżeli masz jakieś obiekcje, to możesz się dołożyć do życia, bo z pieniędzmi u nas krucha. Edward zostawił nas bez grosza.* Wiktoria nie potrafi zdobyć się na sprzeciw, Ulega. Za to, z całym poczuciem odpowiedzialności, bierze na siebie obowiązki narzucone przez *sytuację*. Wstaje pierwsza, o pół do siódmej, rozpala pod kuchenną płytą, ciągle dymiącą i przyczyniającą masę kłopotów, nastawia wodę na herbatę a potem budzi dzieci idące do szkoły: Kasię,

Tomcia oraz Leszka. Pozostałe nie mają nic do roboty w siedmio-klasowej szkółce, gdzie obowiązujący do niedawna wykładowy język białoruski zastąpiono rosyjskim - dodatkowa trudność dla Leszka, lecz nie przeszkoda.

Po wyprawieniu z domu najmłodszych i nakarmieniu pozostałych, teraz *dopiero* wysuwających nosy z pościeli, Wiktoria *sprząta, pierze i gotuje obiad!*

Najczęściej - oprócz Julii - znika z domu niemal dorosła Mania. Niebywale wesoła i towarzyska, ma wielu przyjaciół/także Białorusinów a nawet Rosjan/, którzy odwiedzają ją wieczorami i - popijając herbatkę - śmieją się, rozmawiają bez troski, śpiewają i tańczą.

Dzieci Wiktorii nie biorą w tym udziału. Posłuszne matce, która radzi, by się nie narzucały, wolą siedzieć za zieloną kotarą, przysłuchując *odgłosom zabawy*.

Mani się ta izolacja nie podoba i nieraz zwraca uwagę Emilce.

- Nie udzielasz się, Milka, towarzysko, nie chodzisz na wieczorynki ani na wiece; pomyślą, że jesteś kontra. Rozumiesz?

- Lubię spokój - wykręca się Emilka, czym sprowadza na swą głowę nowe wymówki.

- I źle robisz - ripostuje natychmiast *ślicznooka* Mania. - Dzisiaj lubi się *to*, co lubić trzeba. *Có* ci szkodzi udawać, że wszystko w porządku! Przynajmniej czepiać się nie będą. A jeśli aż tak ci ciężko,

niech chociaż Dorota poświęci za was oczami.

- Co ona z tego zrozumie - Emilka krzywi się nieznacznie, <sup>(więc)</sup> Mania daje za wygraną.

- Jak chcesz. Tylko żebyście potem nie narzekali - ostrzega.

Emilka woli pomagać matce. Nie lubi wychodzić. Dość dużo przebywa także w domu Jola, której wyraźną przyjemność sprawia zabawa z Iną. Jest to dziewczyna-żywił, przepelniona rozpierającą ją energią, wciąż w ruchu, tańcząca, śpiewająca, rozgadana. Gdy wiruje zawrotnie z dzieckiem w objęciach, wyśpiewując przy tym wesoło, Wiktorię ogarnia smutek.

Joachim. Joachim tańczący z niemowlęciem na rękę i śpiewający.

"Jeszcze jeden mazur dzisiaj, choć poranek świta.

Czy pozwoli panna Ina... - tu szarmancki ukłon - młody ułan pyta".

Wiktorcia pragnie z całych sił wierzyć, że wszystko to wróci. Że - wraz z odnalezieniem Joachima - znów będzie szczęśliwa. Lecz coraz jej trudniej, coraz ciężiej. W dodatku zaczyna się czegoś lękać. Czegoś niesprecyzowanego. Zwłaszcza po rozmowie z

Julią.

- Wracam z Głębokiego, Wikuś - siada ciężko, za ledwie zrzuciwszy okrycie - i powiem ci, że źle robisz. Dlaczego twoje dziewczynki wcale się nie udzielają? Nigdzie nie chodzą. Jakby <sup>były</sup> niezadowolone z nowej władzy.

- Bo nie są.

- Ależ co ty! Nie widzisz, na jakim świecie żyjesz? Niech choć Emilka się pokaże z Manią, bo zaczynają o was mówić. : To znaczy, że i wywieźć mogą. Nie żartuję.

- Wywieźć? Nas? Za co? *Dokąd wywieźć!* - Wiktorcia zdumiewa się szczerze. Nie ma także zamiaru wpływać na postępowanie Emilki, za co dziewczyna jest wdzięczna. Dobrze wie, co chodzi ciotce i Mani i opór jej wynika ze świadomego wyboru. Czuje fizyczny niemal ból na sam widok łopoczącej nad budynkiem Rajkomu/Rejonowy Komitet Partii/czerwonej flagi.

Pragnie ją zerwać. Obmyśla nawet sposoby przeprowadzenia operacji. Niestety, wysokość masztu wyklucza realizację szaleńczego zamysłu. Suma tragicznych doświadczeń ostatniego okresu czyni ją tym bardziej zamkniętą w sobie i tym zdolniejszą do głębokich odczuć. Podobnie jest z Leszkiem.

Fizycznie dziecko, w przyspieszonym tempie osiąga psychiczną dojrzałość. Po powrocie ze szkoły lubi zaszyć się na pobliskim cmentarzyku, gdzie - przykucnięty na jakiejś płycie nagrobnej - z głową opartą na dłoniach, potrafi godzinami trwać nieruchome, raz jeszcze przeżywając niedawną tułaczkę.

Wiecznie czymś zajęta Wiktoria nie domyśla się nawet, że nadmierna jego bladeść i <sup>tragiczny wyraz wychudłej twarzy (to wynik)</sup> wewnętrznych głębokich napięć, kładzie wszystko na karb niedożywienia podczas niedawnej tułaczki. Sama bez przerwy zamartwia się, co dalej. Nie narzeka, co prawda, na brak gotówki /ma przy sobie także książeczki oszczędnościowe z wielotysięcznym wkładem/, nie śmie jednak szastać pieniędzmi wobec niepewności jutra. Jedno, co uważa za konieczne, to uzupełnić zapas ziemniaków w piwnicy, pozostawionych przez mieszkającą tu przed Julią rodzinę komisarza miejscowej policji, Saka. Julia podsuwa nieoczekiwanie korzystne rozwiązanie tej kwestii.

- Jest tu w okolicy właściciel majątku, Kaniowski. Potrzebuje ręk do pracy. Jego Piaskowatka dwanaście kilometrów stąd, nie dalej - oznajmia, wróciwszy z jednego z wypadów do Głębokiego.

- Nie zabrali mu? - dziwi się Wiktoria.

- Może nie zdążyli - Julia macha ręką. - Więc on ma tu przyjść.

Zatrudni ludzi do przebierania kartofli i kartoflami płaci. Puścisz swoje dziewczynki? Moje też pójdą.

Następnego dnia Emilka, Dorota, Mania i Jola odjeżdżają koczem powożonym przez pana na Piaskowatce - wszystkie zaciekawione i podniecone. Dorota cieszy się z góry na myśl o zapowiadanych wiejskich

prysmakach. Nie potrafi jej rozczarować nawet smętny widok mocno zaniedbanego dwórku. Rozległe parterowe domostwo, z gan-kiem podpartym odrapanymi kolumnami nie rokuje dostatku. Nie lepsze wrażenie wywiera <sup>przestronna</sup> zimna sień i ogromna, zakopcona kuchnia, chociaż od wielkiego chlebowego pieca bucha dobroczy-  
ny żak.

Widok drobnej, krzątającej się tu kobietki, zwłaszcza zaś jej przyjazny uśmiech i gorący żur nalewany do talerzy napawają dodatkową otuchą.

Potem kobietka, żona właściciela, jak się okazuje, prowadzi dziewczęta do sąsiadującego z kuchnią pokoju, jeszcze większego i dobrze ogrzane-  
go, z niebywale szerokim, suto wymoszczonym poduchami oraz pierzynami łóżem.

- Mogą tu spać dwie panienki. - Dziedziczka uśmiecha się nieśmia-  
ło. - Dla dwóch pozostałych każe wnieść tapczan. Tymczasem proponuję obejrzeć miejsce pracy.

Miejsce pracy okazuje się wielgachną stołową

z kolosalną piramidą ziemniaków po środku.

- To wszystko mamy przebrać? - nie wytrzymuje Jola, czym wywołuje uśmiech na twarzy pana Kaniowskiego.

- Nie ma się czego obawiać. Czasu dużo. Chcecie zacząć od dziś czy wolicie odpocząć?

- Nie ma co zwlekać - decyduje za siostry Mania. - Przyjechałyśmy tu do pracy, nie na odpoczynek.

Mimo to właśnie ona pierwsza podnosi bunt. Tegoż jeszcze wieczoru oświadcza.

- To nie dla nas robota. Odchodzimy.

Dorota spogląda na Emilkę, niepewna, jak zareagować. *Ta* marszczy czoło w namyśle, po czym szepcze.

- Słuchaj, one mogą sobie pozwolić. Mają kartofle po pani Sakowej.

My nie mamy nic.

- Ale mamusia ma przewagę! - upiera się Dorota.

- Tylko że dostać nic nie można. Przecież wojna! - Emilka uważa, iż powinny wytrwać w Piaskowatce.

Leżąc wygodnie we wspianym kożu  
rozkoszują się miękkością pościeli. Jakaż różnica w porównaniu  
z twardymi materacami, jaškami pod głowę oraz wspólną, internacką koł-  
drą Emilki. Zасыpiają tak twardo, że nie czują grasowania wygło-  
dzonych insektów żarłocznie atakujących bezwładne ciała, instalujących  
się we włosach, w bieliznie.  
Siostry Ziemskie, mimo protestów państwa Kaniowskich, żegnają się z  
samego rana i odchodzą drogą do Hołubicz, wcale nie  
przestraszone długim marszem.

W czasie śniadania okazuje się, że w majątku przebywają okresowo  
krewni właścicieli, uciekinierzy z Wołynia. Małżeństwo z dwojgiem  
dzieci: dziesięcioletnią Zosią i pięcioletnim Jureczkiem. Prawdziwe  
błogosławieństwo dla pozbawionych wszelkiej siły roboczej, samotnych,  
niemłodych państwa Kaniowskich. Dziewczęta szybko się orientują, że  
ów wołyński "mąż opatrnościowy" odpowiada za wszystko, co się tutaj  
dzieje i że czyni to z prawdziwym znanstwem.

Sortowanie ziemniaków, aczkolwiek żmudne i wyczerpujące, okazuje się  
możliwe do zniesienia. Mimo to Emilka z Dorotą marzą o powrocie do  
domu natychmiast po wykonaniu zadania. Marzenia pana

Kaniowskiego biegną jednak innym torem.  
- Muszę się przedtem skontaktować z mamusią, panią - oś-  
wiadcza na odjeździe do Hołubicz.  
Wiktorii, obdarowana przez niego wielkim białym serem, ośmiokilogra-  
mowym bochnem chleba, <sup>garem śmietany</sup>, poz-  
drowieniami od córek oraz ich <sup>rzekomymi</sup> zapewnieniami, że pragną pozostać dłużej  
w Piaskowatce, dość łatwo wyraża na to zgodę.

- A co one tam robią? - pyta na zakończenie.

- Ach, prawie nic. Ot, pomagają trochę. To wszystko.

Wiktorii nie przeczuwa, ile bólu zada swym córkom tą zgodą przedsta-  
wioną im przez sprytnego szlachciurę jako polecenie spędzenia  
w majątku całej nadchodzącej zimy.

- Milka, one nas pożrą żywcem, te wszy! - Dorota pozwala sobie na skar-  
gę dopiero wieczorem, gdy znajdzie się w kożu obok siest-  
ry.

- Spij, jutro sadzenie drzewek. To może być ciekawe. - Emilka nie powie ani słowa więcej, lecz sama długo nie potrafi zasnąć, nękana żalem wobec matki, która nie życzy sobie ich powrotu. Skąd może wiedzieć, że <sup>(zadecydował)</sup> widok sera i pozostałych przysmaków będących, jej zdaniem, podstawą wyżywienia córek.

Sadzenie drzewek owocowych okazuje się <sup>pracą</sup> nie lżejszą, niż przebieranie kartofli. Zgodnie ze wskazówkami krewnego z Wołynia, cały dzień kopią spore dołki w uformowanych uprzednie kręgach, wkładają ostrożnie sadzonkę po sadzonce, <sup>przetrzymują,</sup> okopują, przyciskają korzenie, <sup>starannie</sup> udeptują ziemię.

Wilgotna, miękka gleba ułatwia wprowadzić pracę, lecz wielogodzinny wysiłek, połączony z dokuczliwym chłodem robią swoje. Emilka, odziana w starą spódnicę cietki Julii i modny na początku stulecia, aksamitny, <sup>zapienany</sup> na duże guzy żakiecik oraz czerwony szal litociwej lwowianki z pociągu, trzęsie się z zimna. Dorota, w otrzymanej od pani Nawskiej kurtce Leszka narzuconej na sukienkę, co rusz pociąga zakatarzonym nosem. Obie kaszlą. Do dworu wracają - po dniu roboczym - zziębnięte, przemoczone i ledwie żywe. Potykając się o kępy zbrązowiałej <sup>(nocnych)</sup> od <sup>przymrozków</sup> trawy, kuląc pod smagnięciami ostrego wiatru, marzą o gorącym posiłku, którego następnie nie mają siły zjeść. Ostatkiem sił walą się na zawzione łożo, zwyczajowo już narzekają na surowość tutejszego klimatu a potem - każda w cichości ducha - tęsknią do domu. Do prawdziwego domu z ojcem i matką w pobliżu. Do utraconego rajy beztraskiej, przedwojennej egzystencji.

A rano znów praca. Przerastający ich siły znój. Po uporaniu się z sadem - przesiewanie pierza. Ileż tego jest! Kilka opaskowych worów. A przetak jaki wielki i ciężki. Im dłużej się nim potrzęsą, tym cięższy. Oczyszczone piero, trzeba potem przesypywać do świeżych wysypów.

Tumany pyłu drażnią gardła, wciskają się do nosów. Ramiona bolą i drętwieją w niewygodnej pozycji.

- Ale nie marzniemy - pociesza, <sup>(Emilka)</sup>utyskującą Dorotę, która cedzi nienawistnie.

- Ciekawe, co z kolei wymyślą? Do czego nas znów zaprzęgą!

Nie czeka długo.

Otrzymuje polecenie grabienia ściółki w oddalonym o kilometr zagajniku. Gromadzenie suchych, złotych liści nie jest przykre. Gdyby tylko nie ten przeraźliwy chłód i gdyby nie wciąż nowe pęcherze na dłoniach. I gdyby nie ciągle wzrastający apetyt, powodujący, że oczekiwanie na posiłki trwa wieki.

Dorota, zawsze szczupła, chudnie tak bardzo, że przypomina przegięty wykrzyknik. Łudzi się, że po uporaniu się z liśćmi, odpocznie.

- Chyba już nic nie wymyślą! - *wzolycha* na próżno, bo niebawem zbiera chrust, by go następnie wiązać w wiązki i znieść na majdan.

Emilka, w tym czasie, udziela korepetycji z matematyki i języka polskiego małej Zosi, zaś w wolnych chwilach, "by się nie nudzić", ceruje i łata odzież oraz pościel.

Pan Kaniowski uznaje tymczasem za stosowne ponownie odwiedzić Wiktorię i zapewnić ją, że dziewczynki są pod dobrą opieką.

- Starsza uczy się z Zosieńką, młodsza bawi się z Jureczkiem.

- I zajadają takie wspaniałości na co dzień - myśli z zadowoleniem Wiktorja, *zerkając* dyskretnie na przyniesione dary.

- Nie mam nic przeciwko temu, by zostały u państwa jeszcze jakiś czas - oświadcza, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo zawiedzie oczekiwania córek.

Po miesiącu, mniej więcej, przebywania dziewcząt w Piaskowatce jej właściciel staje znów przed Wiktorją. Tym razem coś w jego słowach uderza ją niemile. Rodzi *niepokój* a nawet podejrzenie.

- Coś ci za bardzo na nich zależy - myśli. - *Muszę* to zbadać.

- Stęskniłam się, *proszę* mi je przysłać na niedzielę - *prosi* stanowczo.

Nawet zamknięta zwykle, nieskora do okazywania uczuć Emilka nie potrafi

oprzedzić się spontanicznej chęci uściskania wiszącej u jej szyi Doroty.

- Mamusia pozwala nam wrócić! Każe wracać! - Brną co się poprzez rozfalowane pole, po oszronionej grudzie, skulone z zimna, niby starszki. Do Hołubicz docierają, zmarznięte na kość, sine i zmęczone, lecz szczęśliwe.

Pierwszy dostrzega je wyglądający przez okno Leszek, który jak wicher wypada przed dom, pędzący na spotkanie. Ze względu na niedzielę ma na sobie najlepsze, szyte na miarę beżowe ubranko. Cienkie jego nożyny w krótkich spodenkach i grubych pończochach migają niezmerdowanie, by znieruchomieć tuż przed siostrami. Witają go czule, całując rozpromienioną radośnie buzię. Emilka z trudem hamuje szloch, gdyż widok rozpedzonych chłopięcych nóg przypomina jej ów dawno zapomniany sen z poprzedniego, zda się, istnienia. Letni dzień, mała Inga śpiąca spokojnie w wózku, braciszek kroczący na czele oddziału żołnierzy, bezpieczne pasma górskie pod wysokim niebem i zapach floksów. Utracony bez winy raj.

Wiktorii, na widok wynędzniałych córek, zatrzymuje się w pół taktu serce. Po prostu kamienieje z wrażenia, niezdolna do najprostszego gestu powitania. *Za to obecna*

przypadkiem w domu Julia nie traci przytomności.

- Stać, nie zbliżać się! - woła podniesionym głosem. - Na pewno macie lokatorów! Wpierw kąpiel.

Onieśmiałe, zawstydzone, zatrzymują się w progu. Na twarzach wypisana wina.

- No jak, macie? - przypiera je do muru ciotka, więc odpowiadają potulnie.

- Tak, ciociu.

Wielkie mycie odbywa się w Mendlowej kuchni, gdzie pośród kłębów parry Wiktorii długo i dokładnie szoruje każdą z siedzących w drewnianym cebrze. Spoglądając na zielonkawy niemal



odcień ich skóry, czując pod dłońmi wystające zebra i ostro uwypuklone łopatki, zaciska szczęki z oburzenia i bezsilnego żalu.  
- To tak, panie Kaniowski! Tak pan karmił panienki! Tak sobie wypoczywały! - Z niebywałą zawziętością wyczesuje krótko obcięte, dziewczęce włosy gęstym grzebieniem, z gniewem ciska upstrzony rozgniecionymi insektami płat gazety pod rozpaloną płytę, naciera skórę głów  
naftą.

Przybyłego nazajutrz właściciela Piaskowatki przyjmuje chłodno, bez uśmiechu.

- Dziewczynki zostają ze mną, proszę pana - oświadcza zimno. - Wystarczająco sobie odpoczęły. Dziękuję.

- Skoro tak - Kaniowski jest wyraźnie speszony. - Skoro tak, to trzeba się rozliczyć. W tych dniach przywiozę zapłatę.

Zapłata dociera już po dwóch dniach, w postaci czubato wyładowanej ziemniakami fury.

- Dziesięć metrów wystarczy? - pyta były ziemianin, dodając. - Proszę wskazać gdzie. Pomogę zrzucić.

Z braku miejsca w piwnicy Julii, ziemniaki zostają zsypane do piwnicy zaprzyjaźnionych z nią Tatarów, Aziulów - częstych bywalców herbatek, małżonków niezmiernie towarzyskich i wesołych, o ogniastej, właściwej ich rasie, urodzie. Śniadoliccy, kruczowłosi, czarncocy, pełnych, krwistoczerwonych wargach, perliście białych, wilgotnych, nieco drapieżnych zębach, z nieustannie gorejącym w oczach płomieniem. On - wysoki, masywny, ona - łop-Maryna, wylewnie okazują Julii sympatię, deklarują uczynność, co z kolei daje jej powód do nieustannych nad nimi wniesień.

Walka z przyniesionym przez dziewczęta robactwem kończy się pomyślnie. Matka z ciotką, czyszczą zawszone głowy niestrudzenie, aż do skutku.

Wiktorii udaje się nawet zdobyć parę kostek niezbędnego w tym przypadku mydła "Kora", na które wymienia sześć par, nie

wiadomo jakim cudem zawieruszonych w walizce nowych, męskich skarpet. - przypadek o tyle nieprawdopodobny, o ile błogosławiony wobec unieważnienia polskich pieniędzy, co

z dnia na dzień czyni z Wiktorii nędzarke, zaś Julię zmusza do prehandlowania komody.

Gdyby nie zarobione przez dziewczęta ziemniaki - podstawa wyżywienia całej rodziny - przymieraliby głodem. Niemniej problem jedzenia znów staje się najważniejszy. Z tym większym upodobaniem

rozpamiętują dawno przebrzmiałe, kulinarne przyjemności, w czym przodują największe domowe łakomczuchy, Dorota i Jola.

Sytuacja Julii nie jest wiele lepsza od położenia Wiktorii. Właśnie przejada komode, dzięki której może sobie pozwolić na kolacje dla dzieci. Wiktorii ogranicza się z konieczności jedynie do obiadowych kartofli; duszonych lub tartych i zapiekanych w okrągłym rondlu. Ze względu na kształt zapiekanek nazywa się "tortem" i dzieli, niby tort, na dziesięć trójkątnych porcji, rozłapywanych i pochłanianych w mgnieniu oka.

Niebawem Leszek, ku swej cichej rozpacz, zostaje wyeliminowany z udziału w tych ucztach. Raz na zawsze zaproszony na obiady przez kierownika szkoły, uchodzi za najedzonego. Tymczasem chłopiec wraca po lekcjach głodny, jak wilk. Siada wprawdzie do stołu wraz z rodziną nauczyciela, lecz zbyt jest nieśmiały, by folgować apetytowi. Nie ma również odwagi przyznać się do tego matce.

Kierownik, dotknięty rodzinną tragedią, nie dostarczy niczego, zwykle zajęty dwojgiem sierot po siostrze, która - nie mogąc znieść nowej "właści" - popełniła samobójstwo.

Także jego żona nie ma zwyczaju zachęcać

małego gościa do jedzenia lub proponować dokładki. Wiolocznie chłopak niegłodny, skoro jada niby wróbel!

Obdarowuje za to szczerze Inge.

Przynosi do domu Julii garderobę dziewczęcą, z której sześciolatnia sierotka dawno wyrosła. Jest to wyprawka dla trzy, czteroletniej "damy" z prawdziwego zdarzenia. Całe mnóstwo wytwornych łaszków: prześliczne haftowane, obszywane koronkami koszulki i majteczki, wymyślne sukieneczki, fartuszki, płaszczyki, kapelusiki, pończoszki i pantofelki - bezcenny skarb, zesłany "z nieba", zabezpieczający Ingę na dłuższy czas.

- Proszę się nie obrazić i przyjąć - żona kierownika patrzy przepraszając na Wiktorię. - To rzeczy naszej biednej siestrzeniczki. Nigdy bym się nie ośmieliła, gdyby nie wojna. I państwo, zdaje się, pozostawili wszystko po t a m t e j stronie?

- Och, Joachimie! - wzdycha radośnie Wiktorja. - Miałeś rację. Iną jest pupilką losu!

Emilka nie ma zwyczaju skarżyć się na głód czy inne dolegliwości, lecz żal jej bliskich. Wdrożona do pracy w Piaskowatce, zaczyna się rozglądać za jakimś zarobkowym zajęciem. Okazja nadarza się łatwo; potrzebni są ludzie do młocki.

Praca<sup>to</sup> ciężka, lecz opłacalna. Wzbożaca domowa, spisarnię, o wielki połec słoniny i ser. Sprawia też, iż sama Emilka pęcznieje z sytaości niby brzyk, uczęstawiana przez gospodarzy i przymuszana do jedzenia.

W krótkim czasie dziewczyna, <sup>(przez przypadek)</sup> staje się znaczącą siłą zarobkową rodziny.

Któraś z sąsiadek, zastawszy ją przy cerowaniu świeżo upranej poszewki, pyta.

- A mnie by zaszyła co niebądź?

Emilka, przypuszczając, że idzie o zwykłą sąsiedzką przysługę, godzi się chętnie. Tymczasem Białorusince chodzi o reperację całego stosu starej bielizny, ma się rozumieć, nie za darmo.

W ślad za pierwszą, zaczynają zarzucać Emilkę robotą także inne kobiety.

Za pięknie pocerowane skarpety, pończochy, bieliznę osobistą i pościelową /umiejętność nabyta w internacie siostr Felicjanek/, pracę żywnością. Nie brak i bezinteresownej pomocy. Odwiedzające Wiktorję, białoruskie baby przynoszą "gościńce". Woreczek kaszy, miarkę mąki czy grochu, serek, kawałek słoniny. Wszystko to wędruje do wspólnego kotła.

Dwukrotnie <sup>(jeszcze)</sup> zasila skąpy jadalospis rodzinny pan Kaniowski. Za każdym razem bochnem chleba i gomulką sera - kropla w morzu potrzeb.

Wiktoria, rozmyślając nad jakimś wyjściem z trudnej sytuacji, stwierdza nagle, że sposób istnieje. Ilez to się narobiła, jako dziewczynka jeszcze, ażurowych pończoch, szali a nawet swetrów! Podobnie, jak Emilka dziś jej, tak ona pomagała swej matce w ciężkich wojennych latach, po zamordowaniu ojca.

- Druty! Muszę zdobyć druty!

Wyrabiane z powierzonej wełny swetry, szale, skarpety i rękawice zyskują <sup>(wkrótce)</sup> taki popyt wśród okolicznych mieszkańców, że do domu zaczyna płynąć istny strumień wszelkiego dobra w postaci słoniny, sera, masła, mąki, grochu, fasoli, kapusty, śmietany, mleka. Lecz ten róg obfitości, acz niebaqatny, nie zaspokaja w całości zapotrzebowania licznej, bądź co bądź gromadki, choć Wiktoria dwoi się i troi.

Gdy za oknem zaczyna szarzeć, podnosi się cichutko i przesuwa bliżej źródła tego skąpego jeszcze światła, umożliwiającego dłubanie po omacku na drutach. Najpierw z białej włóczki, potem z kolorowej - ciemniejszej.

Sprzątaniem przestaje się zajmować zupełnie. Gotuje tylko obiady/na przemian - "tort" lub duszoną ziemniaki / a raz w tygodniu piecze chleb, który następnie dzieli sprawiedliwie między obie rodziny.

Wykonaną robotę odnosi do klientów Dorota. Lubi to bardzo, gdyż szczodre białoruskie baby nigdy nie wypuszczają jej bez obfitego poczęstunku, złożonego z gęstej śmietany do oładzi <sup>(lub)</sup> blinów, innym razem kluseczek

czy gorące, pożywnego, trzymanego od rana w ruskim piecu, rosołu z kawałkiem kury. W wyprawach towarzyszy Dorocie zwykle któraś z kuzynek, ugaszczoną potem na równi z nią.

Niektóre miejscowe obyczaje budzą zdumienie. Dorota, ujrawszy raz wiszącą na paradnym miejscu parę czarnych, sznurowanych, masywnych trzewików, nie może od nich oderwać oczu, co widząc gospodyni, wyjaśnia z dumą:

- To buty pamiątkowe. Szła w nich do ołtarza moja babka-nieboszczka, matka-świętej pamięci, ja sama a teraz czekają na córkę.

Nowiuteńkie! - kończy z nieukrywaną satysfakcją.

- A ile lat ma pani córeczka? - nie wytrzymuje Dorota.

- Trzynyscie, Doczeka się, przepióreczka.

Jola, po wyjściu na ulicę, prycha lekceważąco.

- Trzeba było mnie zapytać. Oni tu buty szanują, jakby były ze złota.

Latem - zamiast w nich chodzić - noszą przewieszane na plecach.

Wyprawy do klientów to przywilej, nie obowiązek. Jednakże istnieje coś, dla czego tak Dorota, jak Jola wolą pozostać w domu.

"Chlebowy dzień"! Dzień, w którym Wiktoria piecze chleb - sztuka wyniesiona z wołyńskiego okresu, przekazana przez gospozię domową, starą Mahoniową.

Sama zapowiedź: "dziś zaczynam ciasto" elektryzuje wszystkich domowników, lecz całonocne czuwanie przy dzieży, aby ciasto "nie uciekło", należy do Wiktorii. Ona też - z samego rana - pali w wielkim, kuchennym, ruskim piecu i zaczyna wyrabiać bochny. Niezmiennie - dziesięć. Gdy piec aż pęka od żaru, wygarnia węgle, po czym ostrożnie wsuwa pierwszą partię.

W takich momentach wszyscy są zgromadzeni w kuchni. Nawet Mendlowie.

Nikt nie potrafi oprzeć się pragnieniu odetchnięcia jedynym w swoim rodzaju, sytym, chlebowym zapachem. Pierwsza, poza najbliższymi, zjawia się zwykle grupowata Judaśka i od razu zaczyna trajkotać.

- Wy Polskę musicie z siebie wydychać tak, jak piec ciepło wydycha!

Teraz nowa władza nastąpiła! Radziecka! Sprawiedliwa! - powtarza bezmyślnie głoszone przez rodziców komunały. Ma ona istotny powód do wdzięcz-

ności wobec nowych władz, co Mendlowie niejednokrotnie, z naciskiem, podkreślają.

- Za polskich czasów trzymali ją trzy lata w drugiej klasie a teraz od razu przesunęli do czwartej!

Leszek z Dorotą - mimo surowych spojrzeń matki - zabawiają się, ku uciesze wszystkich, kosztem biednej Judaški.

- Judaška! Judaška, ile jest pięć razy sześć?

Judaška, w odpowiedzi, wybałusza chytrze orzechowe oczy, śmieje się szeroko, potem zaczyna chichotać, wreszcie wykrzykuje.

- Takiś mądry? Ty chcesz, żeby ja tobie powiedziałam? A sam se policz!

Policz se, to będziesz wiedział!

Mimo wyraźnego opóźnienia w rozwoju, Judaška przejawia charakterystyczny dla swej rasy spryt życiowy. Wszyscy tutejsi Żydzi - z dnia na dzień zaciekli komuniści - walczą teraz o przetrwanie, o pozostanie na powierzchni i nikt by nie odgadł, po czyjej są, naprawdę, stronie. Wiktorja nieco się tym gorszy, chociaż także rozumie. Mendlowie, na przykład, mają poza sobą straszliwą tragedię. Nic dziwnego, że pragną sobie oszczędzić dalszych nieszczęść.

Byli wówczas młodym małżeństwem a w kołysce kwilił ich pierworodny, Icuś. Pewnej nocy, spoza szczelnie zamkniętych okien nic, dotarły do obudzonego Mendla dziwne odgłosy: szum-nie szum, trzaski stęknięcia.

- Rochaciwe! - potrząsnął żonę za ramię.

- Ny, szto tam? <sup>1</sup> - spytała sennie.

- Szto to huczit, <sup>2</sup> Rochaciwe!

- Spij, głupi. To wiatr.

Kolejną próbę zainteresowania żony podejrzanymi szmerami przerwał okropny trzask, zaś izba, w jednej chwili, stanęła w płomieniach.

Rochaciwe, przytomniawszy,

błyskawicznie dopadła

kołyski, zagarnęła śpiącego Icusia w podółek <sup>1</sup> koszuli ~~data~~ do drzwi.

Mendel za nią. W tejże sekundzie, za ich plecami, zawalił się

z potężnym łomotem dach. Niestety, Icuś w podółku nie przeżył.

Upiekł się żywcem.

1. No, co tam?

2. Coś huczy.

Na miejscu starej chałupy stoi obecny domek a Mendel, choć dawne to dzieje, z jakimś masochistyczno-sadystycznym uporem, wciąż od nowa opowiada o tamtej nocy, czyniąc z relacji oskarżenie pod adresem żony - źródło wiecznych nieporozumień małżeńskich.

Dopiero teraz Wiktorია rozumie, z jakiego powodu Mendlowie nie zamykają na noc okiennic. Ona sama czyni to w obawie przed zaciągniętym „gurnowym uchem” /łatwiej jej też pojąć tę nagłą "miłość" do sowieckiej własności. Lepsze to, niż podzielić los osadników wojskowych z oddalonej o siedem kilometrów oficerskiej osady, napadniętych w środku nocy przez nieznanych sprawców, zdzierających ze śpiących kołdry, wydzierających spod głów poduszki, grabiących, co się da.

Zima zaskakuje mieszkańców Hołubicz i okolic strasznymi mrozami / do  $30^{\circ}\text{C}$  / oraz zaspami śnieżnymi uniemożliwiającymi przyby- szom normalną egzystencję. Brak ciepłej odzieży każe Wiktorii pozostać głuchą na wezwanie Rajkoma do odśnieżania ulic. Ratując sytuację, wybiera się na czyn społeczny Julia. Wychodzi z domu, starannie umalowana i wystrojona, wraca roześmiana.

- Nic mi nie dali robić. Są jeszcze na świecie rycerze!

Mróż ścisnąłtak srogi, że nikt nie wychodzi z domu bez koniecznej potrzeby: po wodę do pompy / z powodu zamarznięcia stojącego w podwórku żurawia /, do szkoły, z robotą do klientów, do budki z serduszkami. Dorota kapituluje pierwsza. Przeziębiona, przesiaduje w pobliżu pieca, zamartwiając się z powodu bezpowrotnie utraconego poczęstunku klientki, do której udają się Emilka z Manią. Temperatura powietrza podnosi się - zaledwie  $20^{\circ}\text{C}$ . Emilka, ubrana w kożuch komendanta Baczyńskiego, znosi marsz prawie dobrze. P r a w i e, gdyż pantofle ma lekkie. Te kupione przez Wiktorię w Otyunii. Zajadając postawione przez gospodynię smakołyki, z lękiem myśli o drodze powrotnej. Białorusinka spogląda na jej nogi z wyrazem świadczącym, iż myśli o tym samym.

- Jakże wy tu dokaraskali się! - mówi. - Zima krzepka, że psa nie wypędzisz; z powrotem saniami pojedziecie.

- Jedzie ktoś do Hrubicz? - cieszy się Mania, lecz kobieta kręci przecząco głową.

- Same pojedziecie. Koń łagodny, drogę zna. Poprowadzi.

- Ależ my powozić nie umiemy! - Emilka nie ukrywa żalu.

- A z koniem potem co? - wtrąca praktycznie Mania.

- Uwiążecie w szopie u Mendla. Jutro syn zabierze.

Jazda na wymoszczonych sianem saniach, z okrytymi grubą derką nogami, z narzuconymi na plecy wołkowymi kapotami to prawdziwa przygoda, do której śmieją się gorejące oczy Mani wymachującej dziarsko, a czniegroźnie batem, tylko ze względu na mróz powstrzymującej się przed odśpiewaniem swej ulubionej, głupiutkiej śpiewanki:

"Sokołowski żył,  
Kochał z całych sił.  
A ja jego nie kochałam,  
Bo on głupi był."

Wiktoria, dłubiąc w każdej wolnej chwili na drutach, ma wiele czasu by rozmyślać; wciąż - niezmiennie - o mężu. Żyje czy nie? Na jej polecenie Emilka pisze listy: do Sądowej Wiszni, Klukowa, Lwowa i Przemyśla. Odpowiedzi nadchodzą dość szybko i niemal jednocześnie. Rybski zawiadamia krótko, że we Lwowie nie natrafił na ślad Joachima, żąż Kłewiczowej donosi z radością o dotarciu żony z wychowankami do Sądowej Wiszni. Tylko rodzice Rupińskiej nic nie wiedzą o losie córki i wnuka, co bardzo gnębi Wiktorię.

- A więc nie dojechała, mój Boże. Dlaczego, dlaczego puściłam <sup>ją</sup> samą?  
U państwa Nawskich także nic nowego. Mieszkają spokojnie tam, gdzie poprzednio. Ona i bliźniacy i Pe - Pe!"



Tymczasem, z powodu trudności aprowizacyjnych oraz związanych z tym dziecięcych sporów i wzajemnych wyrzutów, Wiktoria z Julią decydują się na wprowadzenie odrębności gospodarczej. Łatwiej każdej wyżywić własną gromadkę, niż nastarczyć na wszystkich.

Boże Narodzenie witają więc wspólną wigilią, lecz święta spędzają oddzielnie, choć pod jednym dachem.

*Wiktoria - ze względu*

na zmniejszoną w przedświątecznym okresie ilość zamówień - nie może sobie pozwolić na rozrzutność. Musi się zadowolić pieczonymi na płycie plackami oraz pszennymi pierożkami drażdżowymi przekładanymi cienką warstwą kakao z cukrem. Z bezcennym cukrem uszczkniętym Indze. W ostatniej chwili któraś z litościwych Białorusinek wzbogaca ten skromny jadłospis świąteczny wielką jasną bułką i serem.

Nie są to rzeczy mogące zrównoważyć świąteczne menu Julii: *pieczeń cielęcą,*

*galaretka z nówek oraz ciasto. Z tego powodu Wiktoria cieszy się z podziaku. Nie chce być dla siostry ciężarem.* Okres poświąteczny, aż do końca stycznia, upływa bez szczególnych zaślności. Dopiero ostatnia dekada tego miesiąca zapisuje się w życiu rodziny ważnym wydarzeniem. Ośmiomiesięczna Inga, ku powszechnemu zdumieniu, zaczyna samodzielnie chodzić.

Julia wyciąga ręce do trzymającego się krzesła dziecka,

- No, Inuś, chodź do cioci! Chodź! - *zachęca.*

Inga patrzy uważnie, wtem uśmiecha się, puszcza poręcz i drepcze niezdarnie w kierunku wyciągniętych dłoni.

Od tego dnia chodzi śmiało. Zaczyna także mówić: mama, tata/ciocia/, Deta/Dorota/, Mika/Emilka/. Jest wesoła i dobrze się rozwija, lecz radość nie trwa długo. Za ledwie dwa tygodnie.

Dorota, z małą na ręku, stoi obok kuchennego wyjścia. Chucha na zamrażniętą szybę, pragnąc zrobić "okienko na świat", gdy drzwi otwierają się z trzaskiem i z podworka - poprzedzona lodowatym, białym obłokiem - wbiega Judaśka.

Inga ma zapalenie płuc. Jej życie wisi na włosku. Leży rozpalona, bezwładna, rzeźąca, zdana na jedyną <sup>(dostępną)</sup> pomoc medyczną w osobie miejscowej akuszerki.

Przychodzi codziennie, stawia dziecku bańki, robi okłady ze spirytusu, podaje jakieś leki - bez skutku. Temperatura nie spada i stam chorej wciąż jest bardzo ciężki.

Mimo to położna nie ustaje w staraniach.

Wreszcie słupek rtęci na termometrze opada tak znacznie, że zdaje się to zdomiewać ją samą.

- Wyżyje - mówi z ulgą. - To cud prawdziwy, w który nie wierzyłam.

- Nie mogło być inaczej - myśli Wiktoria, nieświadomie wyzywając Opat-  
ność. - P u p i l k a losu!

Wypadki zdają się potwierdzać to sercem dyktowane proroctwo Joachima. Ktoś darowuje Indze małe, dziecinne złoteczko, które Wiktoria ustawia w miejsce sprzedanej komody Julii. Może spać spokojnie, bez obawy, że przydusi dziecko przez sen jakimś nieostrożnym ruchem.

Inga wraca powoli do zdrowia. W końcu niebezpieczeństwo mija zupełnie. Jednak o chodzeniu nie ma mowy. Osłabiona, będzie się uczyła tej sztuki od początku. Główną sprawą staje się regularne dostarczanie niezbędnego dla rozwijającego się organizmu mleka. Początkowo czyni to pewna Polka zamieszkała w kolonii Dolinka. Od czasu jednak, gdy ją za to napadnięto, wylano mleko i zagrożono ponowną, ostrzejszą już nauką, rezygnuje z "wysługiwania się panem". Od tej chwili dostawa mleka z oddalonej o trzy kilometry Dolinki staje się obowiązkiem Doroty, która ogromnie się boi ciężkiej drogi i co dzień modli, żeby nie iść. Modli się o cud, gdyż wie, że iść trzeba.

Dom młeczarki, jak na złość, stoi na samym krańcu kolonii i - aby do niego dotrzeć - należy minąć wiele domostw. A w każdym -  
- pies. Ujadają, wyskakują na drogę, napełniają serce przera-  
żeniem.

Dorota zbliża się ze strachem już do pierwszej chaty, gdzie - z za węgła -

wyskakuje niezmiennie wielkie, czarne psisko. Istny diabelec.

Czarny pysk, białe zębcie - aż się zachłystuje  
od ujadania, które przechodzi we wściekłą warczenie, <sup>ψ</sup>charkot.

- No chodź, malutki, chodź. Dobry piesek - przemawia Dorota drżącym głosem.  
- Dobry, doobry pieseczek.

Psisko, o dziwo, uspokaja się. Wprawdzie powarkuje, lecz przepuszcza dziewczynkę. Przed nią, kolejne niebezpieczeństwo, czające się w sąsiedniej chacie. Dwa małe, jazgoczące za sto wielkich, diabliki. Zażarte, czupurne, skaczą prosto do łydek. Co za szczęście, że można je odegnąć kijem.

- No, nareszcie trochę spokoju! - oddycha z ulgą Dorota, mijając kolejną zagrodę. Tu pies uwiązany. Biega "po drucie". - A szczerkaj sobie, ile wlezie! Nic mi już nie grozi!

Radość to przedwczesna. Nie wiadomo skąd, wynurza się stadko gęsi. Sycząc jadowicie, atakują bez namysłu. Jedna dopada zmarzniętej łydki, skubie boleśnie.

Tak co dzień. Do końca wsi - z pustą menażką i z powrotem - z pełną. I wciąż nowy strach. Mimo przyrzeczeń składanych sobie samej i Bogu.

- Nie będę się bała. To przecież dla Iny, żeby nam rosła. Bo co powiemy tatusiowi, gdyby...

Wyprawy po mleko zwalniają Dorotę z innych obowiązków. Choćby chodzenia po wodę do odległej pompy. To powinność Emilki. Kroczy właśnie, w towarzystwie Joli, walcząc z mroźnym powietrzem i bacząc, by nie rozlać wody.

Jednocześnie zastanawia się, jaki to dzień.

- Dziewiąty luty - odpowiada Jola i nagle stają obie, jak wryte.

Zaśnieżoną ulicą sunie sznur sań wyładowanych różnymi sprzętami, tobołami z pościelą oraz ludźmi.

- Ty widzisz?! - woła podniecona Jola, lecz Emilka nie rozumie, skąd w jej głosie popłoch.

- A co, przeprowadzają się - mówi spokojnie.

- Przeprowadzają! Przecież ludzi wywożą! Poznają ich. To rodziny osadników wojskowych. Ludzie z leśniczówek i w ogóle - ci ze służby państwowej.

- Dokąd ich wiozą? - W dalszym ciągu nie pojmuje Emilka.

- Aleś ty naiwna. Gdzież by! Dawno już Mania mówiła, że będą wywozić. Podsłuchałam też raz w kuchni rozmowę Rochaciwe z Mendlem. Udaję, że but mi się rozwiązał, kucam i nastawiam ucho. Oni myślą, że ja nie rozumiem po żydowsku, ale piąte przez dziesiąte potrafię się połapać. Słyszałam dobrze. Wszystkich gojów na Sybir.

Wiktorია, wysłuchawszy relacji dziewcząt, wpada w popłoch.

- Chryste, oni jeszcze i nas gotowi wywieźć!

Nie zważając na wywołany tymi słowami śmiech domowników, podejmuje cichą decyzję. Od tego dnia przygotowuje się na taką właśnie ewentualność. Przetapia zdobywany czasem od Mendla łój, mieszając go z cebulą, czosnkiem i zieleń angielskim a zakrzepłe w rondlu kręgi magazynuje w skrzynce na werandzie. Piecze również kruche ciasteczka bez cukru, którymi nie częstuje nikogo z wyjątkiem Ingi.

Gromadzi <sup>(je)</sup> w dużej, stojącej pod łóżkiem, blaszanej puszcze. Coś jej mówi, że niebezpieczeństwo czai się tuż. Skoro zabrano nawet Kokota! Wprawdzie policjanta, <sup>(i lubianego)</sup> za to człowieka tak ludziom przychylnego <sup>dotychczas do uciekających zawczasu kolegów.</sup> Tymczasem Inga w pełni odzyskuje zdrowie. W połowie marca, skończywszy dziesięć miesięcy, zaczyna ponownie chodzić. Znacznie rozszerza się też zasób jej słownictwa. Umie już nazwać wszystkich domowników oraz określić jednym słowem-haśłem własne potrzeby czy nastroje. Żywa, jak iskra, ledwie odrosła od ziemi, uganiana po mieszkaniu, niby mała kuleczka.

- Niebýwałe! - dziwią się znajomi. - Toż to gada, jak stare!

Wiktorია widzi w tych zachwytach wiele przesady, nie może jednak zaprzeczyć, że dziecko - jak na wojenne warunki - rozwija się zadziwiająco dobrze. Tylko w co ubrać kruszynę, która nie dorosła jeszcze

do darowanej wyprawki!

Z zarobionej resztki błękitnej włóczki, robi szydełkiem maciupenką, ciepłą sukienunię, w której dziewczynka<sup>zynka</sup> wygląda, jak duża lalka.

W miarę dorostania Ingi zaczyna tępieć wyjątkowo sroga, tegoroczna zima. Mróz wyraźnie słabnie, śniegi zaczynają jakby przysiądać pod tchnieniem jasności słonecznej, z długich lodowych sopli pod okapami domostw ściekają krople wody.

Święta Wielkiej Nocy zaskakują wszystkich rozwinętymi, mechatymi baziami. Wiktoria w pośpiechu wypieka świąteczne baby. Trzeba z nimi potem iść aż do Podswila, do jedy-  
nego w <sup>najbliższej</sup> okolicy katolickiego kościoła - wyprawa, mimo wiosennych powiewów, mroźna i męcząca.

Zima niezbyt chętnie ustępuje miejsca opieszalej wiosnie. Dopiero w końcu kwietnia pojawiają się pierwsze, bardzo wątłe trawki a na drzewach zaczynają nabrzmiewać pąki. Jednak miejscami zalegają jeszcze białawe po środku, podciekle na krawędziach brudną szarością, łachy śnieżne.

- Co jest!?! - irytują się ludzie. - Zawsze w marcu bywało ciepło a w kwietniu zielono. Teraz ani listeczka nie wypatrzysz.

Myśl o wiosnie i tak nikogo nie raduje.

Ludzie są przygnębieni, spłoszeni, z końcem kwietnia wręcz strwożeni.

- ZABIERAJĄ RODZINY POLICJANTÓW!

- Nas nie zabiorą - śmieje się beztrąsko niebieskooka Mania. - Ja chodziłam na wszystkie wiece. My się nie boimy. Gorzej z wami - patrzy *niespokojnie* na kuzynów. - Siedzieliście w domu, manifestowaliście swoje niezadowolenie z nowej władzy. *Może* być kiepsko.

Udy pewnej nocy rozlegnie się silne kołatanie do drzwi frontowych, Wiktoria jest pewna, że to po nich. Poderwawszy się na równe nogi, biegnie

do pokoju siostry, Julia narzuca pośpiesznie szlafrok, zbliża się do drzwi.

- Kto tam?

- Otwierać! - ~~Coś~~ jest obcy, napastliwy. Chwila milczenia i słysząc inny, znajomy.

- Pani Ziemska, proszę otworzyć. Prędko! - ponagla Mendel.

- Dlaczego dobija się pan po nocy? Proszę przyjść rano! - Julia od-  
dycha swobodniej i znów przeraża, gdyż spoza drzwi dobiega dwugłos.

- Bo tu przyjechali do pani.

- Atkroej dwier'!<sup>1</sup>

W otwartych drzwiach-wysoka postać uzbrojonego NKW-dzisty. Obok wystraszona twarz Mendla. W głębi sześciu żołnierzy z osadzonymi na sztorc bagnetami, z karabinami gotowymi do strzału.

- Sabirajties'! Bystra!<sup>2</sup>

- Dokąd? - pyta wystraszona Julia.

- Małczat'!<sup>3</sup> - Na takie dictum wszyscy zaczynają się ubierać. Wkrótce są gotowi. Nawet Inga, niby lala w swej niebieskiej sukieneczce.

NKW-dzista spogląda na nich z niezrozumiałym zdumieniem.

Po chwili wykrzykuje.

- Ilu was?

Spoglądają po sobie, zaniepokojeni. NKW-dzista w międzyczasie sprawdza listę i wtedy wyjaśnia się, że zabierają tylko Julię z dziećmi - rzecz tak nieoczekiwana, że Wiktorcia nie potrafi się cieszyć. *Coż tu miejsce na radość*, kiedy *biorą* Julię! - Zaczyna pomagać siostrze w pakowaniu. Oddaje jej wszystkie zapasy: kółko, ciasteczka, słoninę, chleb.

W kółko przy tym powtarza:

- Widocznie nie zdążyli nas jeszcze wciągnąć na listę.

*Soldaci są* bardzo czujni i srodzy. Podążają - w razie potrzeby - za każdym, nawet do budki z serduszkim. *Z bronią gotową do strzału, z osadzonymi sztorc bagnetami.* Wiktorcia z dziećmi nie podlega żadnemu nadzorowi. Skoro

świt rozpierzchają się po okolicy, aby odebrać produkty /nawet za nie

1. Otwierać drzwi!
2. Zbierać się, szybko!
3. Milczeć!

wykończone jeszcze zamówienia/i wszystko to wędruje na furę z rzeczami aresztowanych.

Julia rozpacza w głos, raz po raz pytając NKW- dzistę.

- Dokąd? Dokąd nas zabieracie?!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, posyła Dorotę do Aziulów.

- Biegnij, złotko. Powiedz, żeby przyszli i wszystko, co po nas zostanie, zabrali. Was też na pewno wezmą. Nie dziś, to jutro. A oni przypilnują. Jak wrócimy, odbierzemy.

Aziul stawia się na wezwanie Julii w momencie, gdy konwój złożony z zakodowanej furki, kroczących za nią więźniów/towarzyszy im Wiktorii/oraz licznej, uzbrojonej po zęby eskorty, zniknie za węglem Rajkomo. Siostry Leszczyńskie, nie śmiąc protestować, spoglądają zafascynowane, jak się szarogęsi, wynosząc, co się da. Nawet kartofle z piwnicy. Wiktorii, po powrocie z Podswila, gdzie stał transport, zbyt jest przygnębiona, by zwrócić uwagę na pustkę w mieszkaniu. Z czokiem przy szybie, rozważa intensywnie, co by jeszcze skombinować dla siostry na drogę.

Aziul, oczywiście! - Biegnij, Dorotko do Aziulów. Poproś o jakiś podarunek dla cioci!

Dorota przynosi trzy bochny chleba, które Wiktorii porywa i wędruje z powrotem do Podswila. Po drodze udaje się jej zdobyć dwa litry mleka /jest to zaliczka na poczet przyszłego zamówienia/. Gospodyni ma dobre serce. Od siebie dokłada gorące jeszcze, owinięte w lniane płótno, przeznaczone na śniadanie dla domowników, bliny. Wiktorii tym bardziej spieszy, by zdążyć na czas. Julię widać z daleka, wychyloną z drzwi towarowego wagonu, najwyraźniej wyczekującą.

- Miałam nadzieję, że jeszcze przyjdiesz. Że zdążysz. - Bierze z rąk Wiktorii produkty, podaje córkom. - Słuchaj, Wikusiu, mam do ciebie ostatnią prośbę. Postaraj ty się dostać do Głębokiego. Do Blumsztajna. On teraz dużo może, pogadaj z nim. Powiedz mu, co ze mną. Może znajdzie jakąś radę, żeby nas z tego wyciągnąć. Pójdiesz?

- Pójdę - przyrzeka bez namysłu Wiktorii. - Pójdę na pewno. Tylko pisz  
Czeka, aż pociąg - szczelnie zaryglowany sztabami, przy wtórce <sup>(chóralnych)</sup> pieśni:

"Boże coś Polskę", "Serdeczna Matko", "Nie rzucim ziemi", wyrusza w nieznanym kierunku. Długo jeszcze patrzy za ostatnim znikającym wagonem, kreśląc błogosławiący znak krzyża i płacząc na wspomnienie *zalanym* twarzą Julii oraz siostrzeńców.

Do Hołubicz dociera kompletnie wykończona, nie na tyle jednak, by nie destrzec nareszcie огоłoconych kątów. W pierwszej chwili przypuszcza, że przez pomyłkę weszła do cudzego mieszkania, lecz widok dzieci upewnia ją, że tak nie jest.

- Co tu się stało? - pyta zdumiona.

- Ażiul wszystko powynosił - wyjaśnia Dorota.

- Jakim prawem!

- Ciocia kazała.

- Ach, ciocia... - *milknie* tak skutecznie, że nie wymówi ani słowa do wieczora. Jest bardziej zdumiona, niż oburzona. - Dlaczego, Julko? Za co? Czy ci Ażiul miłszy od rodzonej siostry? - Nie potrafi zrozumieć motywacji zszokowanej Julii. Wie jedno. Nie mają nic. Ani miski, ani łyżki, ani talerza, ani garnka. Ażiulowi nie przydały się tylko rzeczy po Sakowej: żeliwny <sup>(-czuqunny)</sup> pięciolitrowy garnek i dziecinna wanienska. Wiktoria leży na pozbawionym pościeli i materaca łóżku. Nie widzi przykucniętych na swoich materacach dzieci. Jej łóżko, łóżeczko Ingi, stół oraz materace starszej trójki, plus garnek, wanienska i rzeczy osobiste, przywiezione tutaj - to wszystko, co im zostało. Nawet Inga zdaje się rozumieć powagę sytuacji. Siedzi cichutko, przytulona do Emilki. Nikt nie upomina się o jedzenie. Jedzenia nie ma. Ani okruszyny.

O zmierzchu rozlega się ciche pukanie do drzwi ganku, więc podrywają się, przerażeni. Przyszli po nich!?

Majająca w progu postać budzi trwogę, dopiero jej głos rozwiewa obawy. To nauczycielka Leszka. Jedna z trzech sióstr mieszkających w pobliżu. Panna Aniela Mazurówna.

- Dobry wieczór, dlaczego tu tak ciemno?



Zapalona przez Emilkę, cudem ocalała przed pazernością Aziuła, lampa naftowa wydobywa z mroku całą ich nędzę, na widok której panna Aniela traci mowę. Pokręciwszy się chwilę po pustym mieszkaniu, wychodzi bez słowa.

Zanim upłynie godzina, pojawi się znów, w towarzystwie pozostałych sióstr: Leokadii i Zofii. W milczeniu ustawiają na stole przyniesione przez siebie talerze, sztuce, chleb, rondel z pachnącym kapuśniakiem, drugi - z parującymi ziemniakami okraszonymi słoniną oraz garnuszek z kluskami na mleku dla Ingi, *Nalewają, zapraszają.*

Wiktoria nie może jeść, lecz dzieci z apetytem pochłaniają ten pierwszy od wczorajszego wieczoru posiłek. Siostry Mazurównie usiłują nie patrzeć a odchodząc, mówią serdecznie:

- Proszę zatrzymać wszystkie te statki. *Nie są nam potrzebne. Dobranoc. Jutro wpadniemy znów.*

Wiktoria nie śpi długo w noc. Nade wszystko pragnie nie żyć. Nie istnieć - oto jej główne żądanie. I żal do Joachima. Nieuzasadnione wyrzuty, że ją zostawił. *Że jej pozwolił odjechać. Że ją do tego zmusił.*

- Powinnam się mu sprzeciwić, nie odstępować na krok - nie widzi bezsensu tych myśli, poi serce goryczą i żalem nad własnym losem.

*W łóżeczku Inga rzuca się przez sen, jęczy. To przywraca Wiktorii równowagę.*

- Dzieci! Tylko ja mogę je ochronić. *Mają tylko mnie - przywołuje się do porządku, zaczyna robić plany wydobywania się z nędzy. Nad ranem zapada w krótki, niespokojny sen, poprzedzony ostatnią myślą - postanowieniem.*

- Nie dam się! I tak się nie dam! Pomóż sobie, to i Bóg ci pomoże!

Rozdział VI

ZANIM PRZYJDA PO NAS

Dorota z Emilką nie mogą znieść przygnębiającej atmosfery, jaka zapada po wyjściu głodnego Leszka do szkoły. Wszyscy są głodni z wyjątkiem Ingi, która dojada właśnie wczorajsze kluski na mleku. Wiktoria usiłuje odwrócić uwagę własną oraz córek od beznadziejnej sytuacji, od rozpaczliwych myśli. Wspólnie zaczynają od nowa urządzać mieszkanie. Trzy ocalałe materace pozostawiają w mniejszym pokoju, łóżko oraz łóżeczko Ingi przenoszą do większego, w którym ustawiają także wzgardzony przez Aziulę stół i trzy koślawe taborety. Nic więcej nie można zrobić.

Wiktoria zabiera się do dłubania na drutach, co przygnębia ją do reszty. Pracuje za darmo. Należność - zainkasowana awansem i podarowana Julii - nie ma rady. Trzeba odpracować.

Depóki nie otrzyma nowych zamówień nie może na nic liczyć. Co począć, kiedy w domu nie ma ani okruska! Czym nakarmić dzieci!? I czym napalić w piecu? Bo drewno opałowe również wywędrowało do Aziulów. Dorota od dłuższej chwili patrzy na matkę z napięciem. Wreszcie nie wytrzymuje.

- Mamusiu, dlaczego nie bierzemy naszych kartofli od Tatarów? Kiedy nabierałam przedwczoraj, była jeszcze duża kupa.

- Ależ tak! - W Wiktorię wstępuje nowy duch. - Zupełnie zapomniałam. Weź, kochanie, wiadro z kuchni i biegnijcie z Emilką. Upiekę "tort".

Wiktoria nie traci czasu. Musi wykonać zamówienia jak najprędzej. Druty migają pracowicie w jej małych kich

dłoniach, oczy śledzą - czas od czasu - toczącą się po pokoju, niebieską kuleczkę - Inge, *Maka* bawi się kłębuszkiem włóczki i coś tam po swojemu szczebiecze. Trzaskają frontowe drzwi, potem te od pokoju i wchodzi - z nosami na kwintę, bliskie płaczu - dziewczęta.

- Nasze ziemniaki zgniły, mamusiu. Nie ma już ani jednego. Tak powiedziała Aziulowa. *Ale to nieprawda!* - Dorota wybuchła płaczem.

Oburzenie tamuje Wiktorii mowę. W pierwszym momencie pragnie biec, walczyć o swoje. Odkłada nawet druty, unosi się i znów siada. Nie ma po co iść. Nie ma przecież świadków, *Żadnego* dowodu na to, że zarobione przez dziewczynki kartofle znajdują się w niwnicy Tatarów.

Załamuje się tak bardzo, że zapomina o rebecie. Wszystko na nic, zginą z głodu.

- Padniemy, jak muchy, zanim po nas przyjdą którejs nocy -

- konstatuje w myślach i przymyka oczy. Nie widzi ani nie czuje maleńkich łapek Ingi, która - jakby rozumiejąc sytuację - porzuca zabawę i przytula się do nóg matki.

Ciszę przerywa wejście panny Anieli Mazurówny.

- Skończyłam właśnie lekcje i wpadłam dowiedzieć się, co słychać - zaczyna wesoło, lecz, spojrzawszy na Wiktorię uważniej, milknie. *Przyiadłszy* <sup>ostro</sup> znie na brzeżku taboretu, ryzykuje pytanie.

- Czy coś się stało?

- Aziulowie nie chcą nam oddać naszych kartofli - wypala bez namysłu Dorota, co oburza pannę Anielę do głębi. Wysapawszy gniew, próbuje najpierw pocieszyć Wiktorię, wkrótce jednak - nie żegnając się - odchodzi.

*Wraca* z wiadrem kartofli, woreczkiem mąki, połówką dużego bochna chleba oraz sporym serkiem.

- Mamy wszystkiego w bród - uprzedza zwyczajowe protesty Wiktorii. -

- Matki uczniów czuwają nad naszą spiżarnią, *Nie* zbiedniejemy.

Proszę nic nie mówić. Dają to bierz, biją - uciekaj! - *śmieje się.*

- Prawdę mówiąc, ratuje nam pani życie - mówi cicho Wiktorii - więc

przyjmuję z wdzięcznością: i niechże panią, moja droga,  
Bóg panią wynagrodzi, bo ja...

- Prosiłam, żeby nic nie mówić - przerywa serdecznie panna Aniela -  
- To nic. Nie pozwolimy państwu zginąć.

Gest panny Anieli - nie ostatni zresztą - pociąga za sobą kolejne.  
Być może za jej przyczyną, może samorzutnie, tegoż jesz-  
cze dnia pojawiają się kolejni ofiarodawcy. Syn popularnej  
zielarcki wyłuskuje z torby sporego okonia. Nieznajoma zupełnie  
białoruska baba stawia na stole miskę kiszzonej kapusty. Jedna z bliż-  
szych sąsiadek wręcza połówkę słoniny - tyle wystarczy, by poprawić  
nastroje wygłodniałych. Nie pójdą spać bez kolacji, a na  
obiad będą jedli kapuśniak! Lecz - by go ugotować - pot-  
rzeba drewna. Wiktoria zamierza pożyczyć parę po-  
lanek od Mendlowej; na szczęście leżą w  
schowku za piecem - niedopatrznie Aziula, dzięki któ-  
remu można nastawić na ogień cały, pięciolitrowy  
sagan.

Kapuśniak bulgocze w <sup>(najlepszej)</sup> gdy do kuchni wpada podniecona Dorota.

- Mamusiu, jakiś chłop przyszedł, prędko!

Wiktoria, zostawia<sup>szy</sup> córkę przy płycie, śpieszy do pokoju, gdzie - obok  
stołu - stoi ogromny wzrostem, stary, lecz czerstwy jeszcze chłopisko  
w obszernej niby namiot, długachnej, ciemnoszarej szwie z sukiennego  
samodziaku, szczelnie zapiętej pod szyją, z wielką czapą-baranicą w  
garści.

- Zwą mnie dziadźka<sup>1</sup> Spuzyrow - przedstawia się po białorusku,  
kłaniając nisko, po chłopsku, po czym przechodzi  
do rzeczy. - Znaczyś, ja tutki za interesem. Wot on interes! - wra-  
ziwszy wielką, spracowaną dłoń do przepaścistej kieszeni sukmany, wyła-  
wia esekę masła, kładzie na stole. Z drugiej kieszeni wydobywa  
spory bochenek chleba i dokłada do masła.

1. dziadek

- Dziękuję wam serdecznie! - woła wzruszona Wiktoriana. - Proszę bardzo, siadajcie.

Dziadzia Spuzirow nie czeka na powtarne zaproszenie. Siada

jednak niezwykle delikatnie i równie powściągliwie wypytuje Wiktoriana o jej sprawy. Równocześnie głaszcze czule ciemną głowinę ufnej Ingi, stojącej tuż obok z oznakami niebywałego zaciekawienia w dużych, zielonych oczach, jak dwie krople wody przypominających czy matka. Gość nie siedzi długo. Żegna się, jak stary znajomy i - zapowiadając ponowne odwiedziny - wciska na głowę swą ogromną czapę. Nie jest to ostatnia niespodzianka tego dnia. Przed wieczorem - oprócz jednej z sióstr Majerówien - zjawia się chłopiec od ryby.

Tym razem przyjeżdża furką wyładowaną porąbanym już na polana drewnem - rzecz niebagatelną, zważywszy, iż mieszka na wsi / w górę wchodzi odległość / i że - mimo szesnastu zaledwie lat - przygotował opał własnoręcznie. Jego matka - ze względu na wyhanie - zwana po prostu baptystką, dawno owdowiała i nie ma nikogo poza nim. Zna się na ziołach i skynie z wielkiej skuteczności oraz uczynności w leczeniu rozmaitych chorób. Zapowiada przez syna, że niebawem odwiedzi Wiktoriana osobiście.

Wiktoriana długo w noc rozmyśla z wdzięcznością o dobrych ludziach, dzięki którym przyszłość zaczyna się jaśniej rysować a następnego dnia - zgodnie z daną Julii obietnicą - wybiera się do Grębokiego.

Jest chłodno i tylko gdzieś widać świeżą zielenią traw oraz pąki na drzewach. Z początku maszeruje dziarsko, lecz u kresu drogi staje, skrajnie wyczerpana i spocona, jak mysz. Aby odetchnąć, a przede wszystkim pomodlić się o pomysłność dla Julii, przed rozmową z Blumsztajnem, wstępuje do kościoła. Klęcząc na zimnej, kamiennej posadzce, modli się długo i żarliwie, aż jej drętwieją kolana. Do sklepu Blumsztajna dociera "na ostatnich nogach".

Wiadomość o zabraniu Julii zaskakuje go i najwidoczniej martwi. Słuchając relacji Wiktoriana, pociera nerwowo brodę, wykrzywia wargi, stęka,

- Trzeba pani Ziemskiej pomóc, nie ma dwóch zdań. Jest *tylko* mała trudność. *Ja* nie mogę wystąpić oficjalnie. To musi zrobić

ktos inny. *Domyśla się pani, kto.* Pani napisze podanie, złoży w NKWD a ja będę sprawę smarować po cichu. Razem można dużo zdziałać.

- Ależ ja nic nie mogę! - Wiktoria czuje mdłości ze zmęczenia i dziwny ból w kolanach. - *Cóż ja!...* Sama jestem zagrożona.

- Jaka zagrożona! kto tu mówi o zagrożona! - Blumsztajn gestykuje gwałtownie. - Pani napisze, czarne na białe, że wy uciekli przed Niemcem tutaj, do siostry! A ze siostrę zabrali, zginiecie bez jej pomocy. *To* niech oni, w takim razie, puszczą panią Ziemską, bo pani sobie nie poradzi z *to* małe dziecko. Zrobi się mały pretekst a ja się do ten pretekst przyczepię!

Wiktoria, przekonana, godzi się na napisanie listu, co wprawia Blumsztajna w dobry nastrój.

- Bardzo mądra z pani kobieta. Bardzo, bardzo. Może pani u mnie przeno-  
cuje? Pani Ziemska zawsze się tutaj zatrzymywała.

- *Nie, dziękuję, śpieszę się* - Wiktoria *zakuje tej decyzji natychmiast* po opuszczeniu sklepu. *Ból w kolanach,* po kilkunastu już krokach, staje się paraliżujące ostry. Nie może po prostu iść dalej. *Mowy* nie ma o dwudziestokilometrowym marszu powrotnym. *Decyduje* się jechać pociągiem do Podswila, skąd już zaledwie trzy kilometry do Hołubicz. Szkoda wprawdzie tych paru rubli, wciśniętych przez pannę Anielę, lecz innej rady nie ma.

Jednak *samo* dotarcie do miejscowego dworca okazuje się niemożliwe. Straszliwy ból unieruchamia ją na środku chodnika. Kiwa na przejeżdżającą dorożkę, *a potem* *okługo* się do niej *gramoli*. Do pociągu nie jest w stanie wsiąść, pomagają jej w tym czyjeś uczynne ręce. Siedząc w wagonie, zamartwia się z kolei, jak sobie poradzi w Królewsczyźnie podczas przesiadki. *Na* <sup>*szczęście*</sup> *i* tam znajduje pomoc.

Najgorsze zaczyna się w Podświlu. Najwyższym wysiłkiem woli, zaciskając wargi do krwi, z oczami zalanymi potem, doczołguje się niemal do szosy, gdzie utyka na dobre. Nieopodal leży ogromna gałąź sosnowa, Wiktoria długo na nią patrzy, zanim uczyni próbę podniesienia. Leży niedaleko, za ledwie o metr, lecz jak pokonać tę przepaść? Opaść na kolana i podpełznąć? Ależ to właśnie kolana czynią z niej kalekę.

Zbiera się w sobie i, powstrzymując wycie, wykonuje parę bolesnych szurnięć stopami. Nareszcie! Można się oprzeć na tej zaimprovizowanej lasce i iść. Próbuje unieść nogę i chwieje się niebezpiecznie. Stoi więc, oparta na gałęzi, spocena z bólu, wyczerpana z wysiłku, świadoma, że za nic w świecie nie ruszy się z miejsca. Zaczyna poddawać się rozpacz, gdy elektryzuje ją warkot nadjeżdżającej ciężarówki. Z trudem uniósłszy gałąź, macha nią niemrawo. Wóz hamuje, siedzący obok kierowcy mężczyzna wychyla się z szoferki.

- Nu, my was widali, kak wy idiotie. Kuda wam nužno?<sup>1</sup>

- Da Hołubicz.

- Tak, sadietie,<sup>2</sup> - otwiera drzwi, lecz Wiktoria nie może wykonać ani jednego kroku, tylko wciąż się chwieje nad gałęzią, jak pijana. Wyskakują obaj na drogę i wspólnie wciągają ją do samochodu, który rusza z kopyta, trzęsąc się i warcząc. Przed domem Mendla zatrzymuje się, jak wryty, aż Wiktoria uderza głową o szybę. Kierowca z kolegą, nie proszeni, pomagają jej wysiąść. Z domu wybiegają Emilka z Dorotą, podtrzymują matkę z obu stron, wleką do kózka.

Emilka przynosi z kuchni miskę z wodą, moczy w niej ściereczkę, przeciera kolejno twarz, dłonie oraz stopy matki. Potem troskliwie otula ją kołdrą.

Następnego dnia Wiktoria budzi się z płytkiej drzemki z ciągle ostrym, wręcz nasilonym bólem. Odrzuciwszy kołdrę,

1. No, myśmy widzieli, jak pani idzie. Dokąd to?

2. Więc proszę siadać.

Z niepokojem ogląda swe opuchnięte monstrualnie nogi, po czym posyła Dorotę do sióstr Majerówien. Obiecują przyjść po lekcjach i słowa dotrzymują. Są niezwykle ofiarne; zwłaszcza panna Aniela, która wędruje aż do Podswila, gdzie felczer wojskowy/stwierdziwszy

na podstawie relacji, zapalenie stawów oraz gościec stawowy/ aplikuje chorej jakiś żółty, pachnący migdałami płyn do smarowania.

Po jego zastosowaniu nogi Wiktorii, od stóp po kolana, przypominają dwie wielkie, lśniąco marchwie, co nie powstrzymuje procesu leczenia. Ból wyraźnie maleje, lecz wciąż uniemożliwia chorej normalne funkcjonowanie.

Leżąc, bez przerwy rozważa sprawę listu do NKWD. To zamierza wydać stosowne polecenie Emilce, to się wstrzymuje. Wreszcie odkłada rzecz do czasu całkowitego swojego wyzdrowienia, acz nie wie, dlaczego to robi.

Od zabrania Julii mija tydzień z okładem. Wiktoria wciąż leży, gdy zjawia się dziwny gość, Rosjanin. Młody, miły w obejściu, wzbudzający zaufanie, choć można w nim wyczuć jakiś dryl. Żołnierski czy też urzędowy.

- Gdzie wasza siostra? - pyta na wstępie, nie przedstawiając się.

- Jak to! - oburza się Wiktoria nierozważnie. - Przecież ją wywieźliście! Wiecie dobrze, gdzie ona jest! - dostrzega pewne zmieszanie na twarzy nieznajomego, wprędce zresztą zamaskowane uśmiechem.

- Taka piękna z was kobieta a tak się złościacie!

Lecz Wiktorii nie do żartów. Zapomina o ostrożności. Wstępuje w nią jakiś diablik przekory i nierozsądku. Cedzi pogardliwie.

- Wyobraźcie sobie, kobietę z dziećmi sześciu uzbrojonych jak na wojnę mężczyzn zabierało! Nawet za własną potrzebą prowadzili pod bronią! Kobiety się bali! - Milknie nagle, spostrzegłszy się, że przeholowała. Twarz przybysza, ściągnięta i jakaś złowroga, rozpogadza się powtórnie.



*Nieoczekiwanie* zmienia temat.

- Mówią, że Aziul zagarnął rzeczy waszej siostry, Julii Michajłownej Ziemskiej. Prawda to? One się teraz wam należą. Tylko powiedzcie a wszystko odbierzemy z powrotem.

- Nie, on nie zabrał - kłamie na poczekaniu znów rozsądna Wiktoriana.

- On kupił te rzeczy od siostry. Wyjeżdżała, to nie były jej potrzebne.

- Wiktoriana nie chce i nie może powiedzieć prawdy. A nuż Julia wróci? Wielu ludzi oddaje swój dobytek, w przypadku wywózki, tym, co do których mają pewność, że zostaną

- Jakże bym mogła odebrać Aziulowi rzeczy, kiedy sama siedzę "na walizkach" - myśli. - Każdej nocy trzeba się spodziewać, że

przyjdą. - Patrzy w oczy intruza twardo, bez cienia uśmiechu

i jest tak dziewczęco niemal słuczna, że urzędowy gość, przez moment, wygląda zupełnie prywatnie. Jednak szybko się reflektuje.

Wypytuje Wiktorianę o jej losy, o życie przed wojną, o męża, rodzinę w Leopoldu, lecz ona - już opanowana - odpowiada dyplomatycznie.

Z małego pokoju wytacza się Inga i ciekawie ogląda obcego. Ten bierze ją na ręce, podrzuca do góry, potem sadza na własnej stopie i, huśtając, pokrzykuje z rosyjska.

- Inuszka, hop! Ech, krasawica ty, kak i mamuszka! <sup>1</sup> - raz po raz rzuca spojrzenia na Wiktorianę,

- Wy co, choraście, że tak leżycie?

- Tak, nie mogę chodzić. Gościec stawowy. A w ogóle ze zdrowiem u mnie kiepsko.

Mozoląca się nad czyjąś bielizną Emilka spogląda na obcego ze wzrastającą niechęcią. Z boku widzi doskonale dziwny wzrok, jakim patrzy on na matkę i coraz bardziej go nienawidzi. Według niej nieznajomy jest matką po męsku zainteresowany.

W jakiejś chwili, przechwyciłszy wymowne dziewczęce spojrzenie, wyraźnie zakłopotany, stawia Ingę na podłodze, uśmiecha się raz jeszcze i wychodzi.

---

A. Hop-hop, Ineczko, słuczna jesteś, jak mamusia.

Jakiś czas delib<sup>(obie)</sup>erują nad celem tych dziwnych odwiedzin, potem Emilka wychodzi do kuchni, by ugotować obiadową zupę. Wiktoria powraca w myślach do kwestii listu zalecanego przez Blumsztajna. *Jak postąpić?* Wahania rozstrzyga nieoczekiwane nowe goście, krewny pana na Piaskowatce, który przynosi w prezencie wielki chleb. Zapytany o zdanie, stanowczo odradza wszelkie działanie.

- Widział kto, żeby pac-szczur wydostał się z łapki? Chyba, żeby sobie odgryzł nogę. Koniecznie chce im pani, sobą i swoimi dziećmi, w oczy kłuć? Niech lepiej zapomną, że tacy istnieją. Siostry pani nie wyciągnie a siebie narazi. Znam ja ich. Słyszała pani o Berezwezu, prawda? I czym pani ma zamiar uzasadnić prośbę? Że bez siostry - ni tędy, ni owędy? No to was do niej zawiozą!

Wiktoria odycha z ulgą. Wszystko to przeczuwała, stąd rozterki, od których raz na zawsze się uwalnia. Żal Julii, bardzo żal, lecz co ona może! Choroba trzyma ją w łóżku bite dwa tygodnie. Zaczyna stawiać pierwsze kroki, gdy znów pojawia się tajemniczy Rosjanin. Rozmawia o wszystkim i o niczym, bawi się z Ingą, lecz ani myśli się przedstawić. Mimo sympatycznego sposobu bycia wzbudza nieufność. Kim jest? Czego chce? Po co przyłazi?

Rozmowa toczy się po rosyjsku; *gość* nie zna polskiego. Emilka wsłuchuje się w obce słowa z natężeniem, lecz nic nie rozumie. Tym mocniej go nienawidzi i tym bardziej się cieszy, gdy - po około godzinie - żegna się bez słowa wyjaśnienia.

Jakby w oczekiwaniu na jego wyjście, zjawia się dziadźka Spuzyrow. Na wstępie manipuluje w swych kieszeniach-studniach, z których wyciąga "gościniec": dziesięć jaj i ser, po czym przysiadła na brzeżku taboretu.

- Słabujecie podobnież - *okolicznościowa konwersacja*  
*szczerą rozmowę*  
przekształca się szybko w *szczerą rozmowę*. Od niego dowiadują się rzeczy niebywałych: o pakcie niemiecko-rosyjskim, który dzieli Polskę na dwie części, o potyczkach polsko-rosyjskich, o wziętych do niewoli polskich żołnierzach, o *tagrach* w głębi Rosji, o więzieniach, o wymor-

dowaniu tysięcy Polaków w pobliskim Berezweću, o wywózkach ludności cywilnej trwających od lutego i <sup>(o tym, że)</sup> nie zanosi się na koniec akcji.

- Biorą nawet Białorusów a i Żydom nie przepuszczają - opowiada dziadźka przyciszonym głosem. - Marny los. Bywa, że otaczają nocą całe wsie a nawet miasteczka kordonem żołdatów. Wylękają naród z łóżek, trzymają pod gołym niebem, na mrozie. A pamiętacie, jakie tej zimy mieliśmy mrozy! Wasza siostra miała szczęście, że wzięta wiosną. Choć takie to i szczęście - bydłące wagony, nie odgadniesz, dokąd wleczone.

Musi, że w stronę Azji. Słychać, że i umarłych tam nie brak, w transportach, co przeszli na tamten świat pomiędzy obstanówkami. Wiktoria słucha ze zgrozą, lecz i rezerwą. Kto wie, kim jest dziadźka! Lecz dziadźka sprawia wrażenie wyjątkowego poczciwca. Pochylony ku niej, pyta ni z tego, ni z owego.

- A macie wy choć co do gęby włożyć? - nie czekając na odpowiedź, dodaje: - Tu nie ma się czego wstydzic, wojenny czas. Tylko kraść grzech. Być głodnym w taka pora nie nowina. Ludzka to rzecz. Nu, już ja bez waszego mówienia wiem, co chciał wiedzieć.

Nazajutrz wkracza do domu przygięty pod ciężarem sporego worka, który zwala w kącie pokoju.

- Ot wam pół metra pszeniczki a ot jeszcze coś - zaczyna opróżniać sławetne swe kieszenie i, nie pozwalając Wiktorii dojść do słowa, dyryguje: - Przesypać trzeba, bo worek potrzebny. - Siada, swym zwyczajem, nieśmiało, wita uśmiechem Inge pędzącą ku niemu, jak torpeda. Po chwili zapasy znikają w tylnym pokoiku, pszenica przesypana - w braku innego pojemnika - do dziecinnej wanienki, zaś dziadźka chrząka raz po raz, jakby miał coś ważnego, lecz trudnego do powiedzenia. Wreszcie przystępuje do sedna.

- Trza będzie pomyśleć o waszym schowaniu. Tu się długo nie utrzymacie. Nie darują. Ale i ja nie pozwolę wam iść na stracenie. Nu nic, pogadam z kim trzeba i dam znać. Wy, znaczyś, bądźcie gotowe.

Dziadźka popatruje znacząco, Wiktorcia zamiera nad drutami.  
Czy można mu ufać?

- No, zostańcie z Bogiem - żegna się gość, - I nikomu ani słowa!

Od tego dnia Wiktorcia żyje, jak w transie; wciąż wyczekując pojawienia się Spuzyrowa. Zamiast niego, coraz częściej, odwiedza ją bezimienny Rosjanin. Wpada o różnych porach dnia, gawędzi, bawi się z Ingą, czasem milczy wymownie.

Wizyty te ogromnie wszystkich męczą i niepokoją - uczucia z dnia na dzień przybierające na sile. Zwłaszcza, gdy Rajkomu nadzieje wezwanie do stawienia się w powiecie /odległej o czternaście kilometrów Plisie/ celem pobrania nowych dokumentów.

Wiktorcia, pragnąc zyskać na czasie, kładzie się z powrotem do łóżka.

Tak zastaje ją zaprzyjaźniona klientka Tamara, pielęgniarka ze szpitala w Pędświlu.

- Mamy w bolnicy<sup>1</sup> nowego wracza<sup>2</sup> - mówi. - Zapytam go, może przyjdzie. Wracz pojawia się już następnego dnia. Chłopisko z niego wielkie i kudłate jak konopny wiecheć, wygląda jednak pocziwie, chociaż w niczym nie przypomina lekarza. On wszakże za takiego się uważa. Rozsiadłszy się na taborecie, każe Wiktorcii pokazać nogi.

- Tamara mówiła, że wy na nogi cierpicie.

- O tak, bardzo - zapewnia Wiktorcia, odchylając brzeg kołdry.

Na widok jej złotych, niby słonecznik, odnóży wracz cofa się gwałtownie.

- Ach, wyż oczeń balnaja! Wam w bolnicu nada!<sup>3</sup>

Wiktorcii takie rozwiązanie nie odpowiada, zaczyna go przekonywać.

- Towariszcz doktor, wy mi lepiej dajcie bumażku<sup>4</sup>, że nie mogę chodzić.

Do szpitala nie mogę. Widzicie, dziecko, jakie małe i po niedawnej chorobie jeszcze niezupełnie zdrowe. Jak wydobrzeje, póję.

- Nu ładno<sup>5</sup> - godzi się bez oporów wracz. - Tamara wam, co trzeba, wypisze i jutro przyniesie bumażku - rozsiada się jeszcze wygodniej, wyciąga nogi na środek pokoju. Czuje się, jak o siebie. Jest bezpośredni, wiele

1. w szpitalu

2. lekarza

3. Ach, jest pani bardzo chora. To wymaga szpitalnego leczenia.

4. zaświadczenie

5. No dobrze/zgoda!

i z upodobaniem mówi o sobie oraz o nowej włości.

- Znajęcie<sup>1</sup> - zwierza się na koniec - nadajeła mnie rola, pieriekinuła<sup>2</sup> się na medycynę. Ot równość-matuszka<sup>3</sup> nastąpiła. A co? Tylko panom wolno kierować się na dochtorów? Ja też potrafię, jaż nie durny. Ot i wam pomogłem i jesteście dowolna<sup>4</sup>, prawda?

- Szczera prawda - potwierdza Wiktorja skwapliwie.

Usatysfakcjonowany, uśmiecha się i bezwiednie wyciąga rękę po leżącą na kołdrze książkę - "Dzieje grzechu" Żeromskiego - którą Wiktorja czyta z mieszanyimi uczuciami, gdyż powieść ta figuruje na indeksie kościelnym. Cóż, kiedy tę właśnie pożyczył jej kierownik szkoły.

Wręcz wyciąga książkę w obie garście i - trzymając do góry nogami - wpatruje się w nią, jak sroka w kość. Po dłuższej chwili składa ostrożnie, waży w rękę i nieoczekiwanie prosi.

- Wy mi ją pożyczcie, co? Ja tam po prawdzie niegramotny, ale wnuczka u mnie kształcona. Ta przeczyta.

- A duża ta wnuczka? - pyta Wiktorja, która nawet Emilce zabrania podobnej lektury.

- Nu, toż siedem latek sobie liczy. Do szkoły chodzi. Do pierwszej klasy!

- No, jeżeli do pierwszej, to może sobie przeczytać - mówi poważnie Wiktorja.

Kolejną wizytę Bezimiennego przyjmuje z dobrze granym spokojem. Sili się nawet na uprzejmość, lecz tym bardziej udaje złożoną niemocą. Ma ku temu pretekst. Bumażkę napisaną przez Tamarę, opieczętowaną przez wracza z Podswila.

Nieproszonego gość zachowuje się, jak stary znajomy, niemal krewny.

- Listonoszkę spotkałem - mówi - to przy okazji list dla was wzięłem - podaje Wiktorii złożoną kunsztownie w trójkąt kartkę kratkowanego papieru z wypisanym jej nazwiskiem i adresem.

- To jest list?

- Najprawdziwszy. Od siostry.

- Pozwolicie, wobec tego, że przeczytałem - Wiktorja gorączkowo odczytuje

drobne pismo

1. Wie pani
2. Znudziła mi się praca na roli, więc się przerzuciłem na medycynę.
3. matuszka
4. zadowolona

raz i drugi, z każdą chwilą coraz bardziej martwiąc ze zgrozy. Julia pisze, że są w Kazachstanie, że jeszcze nie doszli do siebie po tak nagłym wyjeździe i że powoli się urządzają. Na koncu podaje adres jakiejś Julii Głodzik, z prośbą, aby przekazać jej ich nowy adres. To właśnie jest powodem troski Wiktorii, przekonanej, iż pani Głodzik nie istnieje i że stanowi zaszyfrowaną wiadomość o głodowaniu.

Osobna, mała karteczka wewnątrz listu jest zaadresowana do Aziulów. Julia pozdrawia ich i prosi o przysłanie paczki żywnościowej, co jeszcze upewnia Wiktorię, że rozumuje słusznie.

Skończywszy czytanie, spogląda na Bezimiennego z imitacją uśmiechu i niefrasobliwie wsuwa list pod poduszkę.

- Co ciekawego pisze Julia Michajłowna? - interesuje się nieznajomy.

- Nic takiego - odpowiada spokojnie Wiktorii. - Zajechali szczęśliwie wszyscy zdrowi.

Po jego odejściu odczytuje list ponownie, głośno, i wszyscy są przygnębieni wzmianką o Julii Głodzik. *Więc oni, w tym Kazachstanie, nie mają, co włożyć do ust!*

*Nic to, że sami nie dojadają, /Wiktorii znów gromadzi zapasy na czarną godzinę/. Są na miejscu. Tamci zaś - deportowani!*

Aziulowie kartkę od dawnej przyjaciółki przyjmują, lecz na tym koniec. Nigdy żadnej paczki nie wysłają.

Dla świętego spokoju Wiktorii zadaje sobie - a raczej Dorocie - trud odszukania fikcyjnej, jej zdaniem, Julii Głodzik i - ku ogólnej radości - okazuje się, że taka istnieje naprawdę. Mimo to Wiktorii pragnie pomóc siostrze. Nie mogąc sobie na to pozwolić natychmiast, dłuższy czas gromadzi produkty, które wreszcie wysyła paczką do Kazachstanu.

Na świecie robi się tymczasem ciepło, wiosna wybucha w pełni. Mimo tęsknych na nią wyczekiwań, nie potrafią się cieszyć, gdy stanie się faktem. Niepewność jutra dominuje wszystkie inne doznania. Jedyne Emilce dane

jest zaznać , w krótkim jak błysk zespoleniu z naturą, uczucia zachwycenia i bezprzedmiotowej radości. Tego późnomajowego dnia stoi w otwartych na przestrzeń drzwiach kuchni. Tuż za podwórzem, na którego środku góruje wysoki żuraw studzienny - poza wąskim, szarym paskiem drogi - zieleni się pysznie łąka. Tam, gdzie teren nieco się obniża, połyskuje w szmaragdowym obramowaniu kręta, połyskliwa smuga niewielkiej rzeczutki. Dalej łąka wznosi się w górę, aż pod progi domu miejscowych bogaczy, Darczyńskich. Emilka wpatruje się w potoczek, zastygła w oczarowaniu. Roztańczone, puszyste brzegi, zielone tą ulotną, młodą tonacją wiosenną z niczym nieporównywalną, niekiedy śnioną w kolorowych snach. I połyskująca srebrnobłękitnym okiem, lekko przymarszczona, wodna blaszka. I słońce tak przyjazne, że serce Emilki zalawa fala szczęścia.

Nie ma wojny, nie było ucieczki, tułaczkę. Czas cofa się na jedno, krótkie mgnienie, przerwane gwałtownie wołaniem matki.

- Milko, dopilnuj zupy, już prawie gotowa. Jedz i daj dzieciom, ja nie mam czasu. Dziadźka Spuzyrów przyszedł nareszcie! Emilka po raz pierwszy w życiu spełnia polecenie matki niechętnie. Z trudem i żalem odrywa oczy od pięknego widoku, obiecując sobie wrócić tu wkrótce.

Gdy Wiktoria wchodzi do pokoju, dziadźka Spuzyrów wyjmując właśnie z jednej ze swych "złodziejskich" kieszeni dorodne jaja i układa ostrożnie na łóżku, aby się nie stoczyły. Trzydzieści sztuk. Dołożywszy do tego kawał słoniny, wita się, siada i milczy dobrą chwilę. Dopiero po wymianie zwyczajowych pytań o zdrowie, przystępuje do rzeczy. - Jak obiecawszy, tak ono i jest - mówi wolno. - Gadał ja z człowiekiem i tylko patrzeć, jak dam znać. Miejsce dobre musimy naprzód wyrzutować, co bezpieczne było. Znacysz, zbierać się wam pocichońku potrzeba. Tu wam posiedzieć za długo już nie dadzą a jakże puścić kobietę z

takim drobnym dzieckiem - głaszcze swoim zwyczajem Inge - i jeszcze z większymi, co takż jeść chcą. Jak się zostaniecie pomiędzy nami, nie przepadniecie. Nie dajcie. Naród tu u nas niegorszy, przetrzymacie. Ale nie w Hałubiczach. Tutki wy na oku. Wywieżą, Bóg jeden wie, gdzie. Tak i musicie uciekać.

- Tylko dokąd? - woła podniecona Wiktorja. - I jak? Pieszko daleko nie ujdę. Zwłaszcza z Inge!

- Nu, moja w tym glowa. Mówię przecie, że gadał ja o tym i sam ciągiem obmyślam, co i jak. Niezadługo znać dam, czekajcie w pogotowiu.

Od tego dnia atmosfera w domu staje się coraz bardziej napięta. Wszyscy, z wyjątkiem Ingi, uczuleni są na niespodziewane szmery, stuki, wszyscy czekają. Kto zdąży pierwszy? Dziadka Spuzyrow czy... ONI.

Wiktorja, aby odwrócić uwagę własną i dzieci, opowiada najciekawsze, jej zdaniem, powieści przeczytane w przeszłości, Emilka powtarza rodzeństwu rzeczy zasłyszane od ojca podczas przedwojennych, wakacyjnych z nim spacerów. Więć o wielkim dworze z białymi kolumnami, w którym się urodził, o wuju Michale i ciotce Rozalii, o zamordowanej na klombie babce i ocalałym, hodującym arbuzy dziadku, któremu rewolucja pozostawiła kęs pola. Ucieczce ojca zorganizowanej przez nianię Łukierję, o wstąpieniu do Polskiego Wojska, bitwach, ranach i odznaczeniach. I o legendzie Dziadka - Pit-sudskiego.



Mimo wysiłków, Wiktorii nie udaje się zapomnieć o troskach. Męczy ją bezsenność, odnawiają się dolegliwości kobiece. Bywają noce tak koszarne, bóle

tak intensywne, że z trudem panuje nad sobą, by jękiem nie pobudzić dzieci. Przekonana, iż chodzi o normalną comiesięczną, niedyspozycję, cierpliwie oczekuje spodkiewanej ulgi.

Owa zwykła niedyspozycja zmusza ją jednak do pozostania w łóżku a gdzieś koło południa objawia się silnym krwotokiem.

Wezwana przez Dorotę akuszerka - ta sama, której zawdzięcza życie Inga - tamuje krwotok zimnymi okładami, lecz silny upływ krwi trwa, wobec czego niezbędny staje się lekarz. Nie przybywa wprawdzie osobiście, tylko przysyła przez Emilkę krople, które nie dają żadnego niemal efektu. Wiktorii wciąż broczy krwią, jest biała, jak papier, bezsilna, zmaltretowana nieprzerwanym bólem, niezdolna do wstania, przerażona myślą, co będzie, jeżeli dziadźka Spuzyrow właśnie teraz rzuci hasło ucieczki.

Sytuację ratuje baptystka-zielarka. Zjawia się z litrową, napelnioną ciemnym płynem butelką pod pachą, - istna siostra miłosierdzia.

Lekarstwo okazuje się cudowne. Krwawienie mija bez śladu, lecz Wiktorii zbyt jest osłabiona, by przejąć obowiązki domowe. Emilka bierze je na siebie. Pierze w wodzie bez mydła ubranka Ingi, aż na jej palcach ukazują się krwawe ślady a potem rozwiesza łaszki na podwórzu - tak z siebie zadowolona, że zaczyna nucić pod nosem. W pewnej chwili spostrzega się, że nuci a nawet śpiewa. Rotę. Młknie, spłoszona i długo rozgląda się wokół. Doskonale wie, że całe powietrze to jedno wielkie, podsłuchujące ucho. Ileż to razy wychodzący z nienacka z mieszkania

płoszy odrywający się od okiennicy cien, który cichcem pomyka w mrok. Dlatego lepiej nie zamykać okiennic i rozmawiać po cichu, wystrzegając się wszystkiego, co może w czyichś oczach wyglądać podejrzanie.

Wiktoria mobilizuje do opuszczenia łóżka wzmożona nagle ilość zamówień, co zdaje się potwierdzać jej obawy. Prostuduszne kobiety nie kryją się zupełnie.

- Chcemy mieć zapas, bo drugiej takiej robotnicy daleko by szukać. Robota solidna, gęsta, bez opuszczonych oczek, wełna rozliczana rzetelnie. Zapas... Tak więc wyrok zapadł. Wiktoria czeka wprawdzie wciąż na

dziadzkę Spuzyrowa, lecz jednocześnie gromadzi własne zapasy. Dziesiątki skarpet, szalików, czapek, rękawic, swetry zamienia na słoninę, z której wytapia smalec, chleb, który suszy, mąkę oraz kaszę. Kieczy też coś w rodzaju herbatników. *I nie trzeba, z tego powodu, zbytnio oszczędzić.*

*Nigdy nie kradną się teraz spać bez kolacji.* Aż się Wiktoria zaczyna lękać, że coś im za dobrze. To nie może trwać wiecznie. Łada noc zastukają do drzwi, uprzedzając dziadzkę. Narasta w niej niepokój, wręcz panika. Zwłaszcza, kiedy przychodzi Bezimienny. Nie sposób go rozszyfrować, *Czego chce? O co mu chodzi? Nie sprawia wrażenia wroga, przeciwnie. Jednak coś u nim jest, co dyktuje ostrożność.*

- A może u nich nie ma zwyczaju, żeby się przedstawiać? - zastanawia się Wiktoria.

Od dwóch dni, to jest od chwili ogłoszenia, że bieżący mogą wracać, skąd przybyli /nawet na germańską stronę/, nie może sobie znaleźć miejsca. Należy tylko złożyć w Plisie podanie i czekać na niezbędne dokumenty. - Skorzystać czy nie? - bije się Wiktoria z myślami i gorączkowo rozgląda

za kimś, kto usłużyłby dobrą radą. Coraz też uporczywiej zatrzymuje uwagę na Bezimiennym.

- Powiem mu - decyduje się wreszcie. - Cóż w tym złego, że chcę wrócić do domu? Czekać zbyt długo nie można, bo okazja minie a dziadźka chyba już się nie pojawi. - Podczas kolejnej wizyty Bezimiennego wprowadza zamiar w czyn.

A. uciekinierzy

- Słuchajcie - na chwilę odrywa wzrok od drutów - chciałam się poradzić, co robić. Pisać podanie o propusk na germańską stronę czy nie?

Rosjanin sztywnieje raptem tak bardzo, że aż odtrąca garnącą się do niego ufnie Inge. Najeżony, *spogląda* przenikliwie, długo milczy.

- Uciekliście przed Germańcem a teraz chcecie wracać?! - *W jego głosie wyraźna prefensja, w spojrzeniu - wyrzut.*

- Ale tam mój dom - tłumaczy Wiktoria i natychmiast milknie, patrząc, jak jej gość najpierw macha gwałtownie rękami a następnie pośpiesznie, bez pożegnania wychodzi.

Początkowo siedzi bez ruchu, niezdolna do nabierania oczek, zwolna jednak uspokaja się. Nie powiedziała nic zakazanego. Sprawa jest oficjalna. Najwidoczniej Bezimienny to dziwak.

*Decyduje się zasięgnąć języka w Podświltu. Po co od razu wędrować do rejonowej Plisy! Nie zawadzi też zabrać ze sobą gotowego podania.*

Urzędnik *podświltkiego* NKWD rozwiewa wszelkie jej obawy i wątpliwości. Radzi też zostawić podanie, obiecując przekazać je, drogą służbową, do *Plisy*, na ręce odpowiedzialnego naczelnika.

Po trzech dniach Wiktoria stoi ponownie przed tym samym urzędnikiem.

- No jak, wzięł naczelnik moje podanie?

- Wzięł.

- I co?

- Nic. Kazał czekać.

- Długo?

- Nie wiem.

Przekonana, iż ważnych spraw należy pilnować *(osobiście)* odczekawszy parę dalszych dni, pisze następne podanie i udaje się do *Plisy*. Tu czeka ją nie lada niespodzianka. W gabinecie naczelnika, który jej wskazano, zastaje... *Bezimiennego*!!/. Umundurowany, tkwi nieruchomo za biurkiem i nawet mrugnięciem nie zdradza, że ją poznaje.

- Wy w jakiej sprawie? - pyta chłodno, z nie skrywaną niechęcią.

Wiktoria mocuje się chwilę ze zdumieniem, prędko jednak dostraja do jego tonu.

- Przywiozłam podanie. Chcę jechać na rodzinę - oświadcza spokojnie.

- A jest' u was ciepł<sup>o</sup>je palto? - rzuca nieoczekiwanie naczelnik.

- Ciepłe palto?...?

- No, drugie. Ciepłejsze od tego, co macie na sobie. Tylko to macie? -- ob-  
rzuca wzrokiem jej lekki, popielaty płaszcz.

- Mam inne - mówi zaskoczona.

- Aha, znaczy - macie... To dobrze - wyciąga rękę po podanie, wciąż obo-  
jętny, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

Wiktoria ogarnia naraz lęk, nie cofa się jednak. Zostawia podanie, wy-  
chodzi z podniesioną dumnie głową.

Wracając, zastanawia się nad sensem wzmianki o ciepłym palcie i robi  
się jej coraz straszniej. Nie jest jeszcze w pełni sprawna, nogi doku-  
czają coraz mocniej. Nieba leje się żar, czuje wyraźnie spływające  
wzdłuż kręgosłupa strużki potu. Kilkakrotnie odpoczywa w cieniu, rozglą-  
dając się za autem lub furą; bezskutecznie.

Do domu przywleka się ostatkiem sił, niezdolna już tego dnia nawet do  
pracy na drutach.

Następny dzień wstaje jeszcze bardziej upalny, prawdziwie czerwcowy. Doro-  
ta wraca z mlekiem dla Ingi, szczęśliwa, że ma to już za sobą. Z przeci-  
wka, na rowerze, zbliża się ku niej „Bezimienny”. Zrównawszy  
się z nią, przystaje i zatrzymuje gestem.

- Co masz w menażce? - pyta nieoczekiwanie.

- Mleko.

- Daj się napić - rozkazuje a potem - udając, że pije - mówi  
szybko, przyciszonym głosem, prawie nie poruszając wargami.

- Powiedz mamasz, żeby koniecznie przyszła do Płisy i zabrała swoje  
podanie. Tylko prędko. Najlepiej jutro. Nie trzeba jechać w Germanię,  
1 Czy ma pani ciepłe palto?

rozumiesz? - Zwracając menażkę, rozgląda się nieznacznie i natychmiast naciska na pedał.

- I mówił po polsku? - zdumiewa się Wiktoria, gdy jej Bereta o tym z przejęciem opowiada.

- Tak. I bardzo nalegał, żeby to podanie odebrać.

- Niech on się całuje w nos, gdzie psi ogon rósł! - prychna Wiktoria. - Zostaniemy, a oni nas: chaps!... i wywieżą. Nie wierzę mu. Najpierw podanie przyjmuje, udaje, że nie zna a potem nagle każe wycofywać. Jakby nie można było powiedzieć od razu!

Od tego dnia Wiktoria żyje, niby w gorączce. Czegoś się instynktownie boi. Oczekuje najgorszego. Jednak do Plisy nie idzie. Właśnie wtedy spada jej, jak z nieba, dziadźka Spuzyrow - z pętem "swojskiej" pachnącej czosnkiem i jałowcem kiełbasy, z dobrą wieścią.

- Znaczący<sup>5</sup> wszystko załatwiwszy - oznajmia. -

- Jest wolna chata, jest i kawałek pola. Sam diabeł nie dojdzie, gdzie wy przepadli.

Wiktorii kamień spada z serca. Nie ma sensu zaprzętać sobie dalej głowy powrotem na niemiecką stronę, czy też wycofywać podanie, Lepiej korzystać z wcześniejszej okazji.

- To kiedy wyprowadzka?

- Niezadługo - mówi dziadźka. - A teraz słuchajcie, co powiem. Jutro Piotra i Pawła, niech panienka - zwraca się do Emilki - przyjdzie raniutko do kościoła. Ale nie do tego w Podświlu, tylko w Prozerokach. Daleko, bo daleko, ale co to dla młodych nóg dziewięć kilometrów. Będziem czekać; z kimś drugim, Trzebaż poznać <sup>(sie.)</sup> Moja rada taka, Spakować się

i czekać. On przyjdzie w nocy a której, to sam powie. Jutro się namówicie. U niego furmanka jest, wszystko możecie zabrać. Aby gankiem nie wychodzić. Oknem tobołki wystawcie, cob gospodarzy nie pobudzić. Jakoś rzeczy dociągniecie, nieduży u was, widać, majątek. A on do samych Hołubicz pchać się nie może. Nu, tak wy spamiętali wszystko dobrze, ha? Jutro na pierwszej mszy świętej w Prozerokach.

Podniecenie, jakie panuje w domu po odejściu dziadźki nie da się z niczym

porównać. Wiktoria pośpiesznie, trzęsącymi rękami pakuje rzeczy w małym pokójku, w najdalszym, wykluczającym zaskoczenie, kącie. Martwi ją <sup>tylko</sup> nie dokończona robota. Co począć? Odesłać wełnę klientom, znaczy zdekonspirować się, zostawić - narazić ludzi na straty.

Są już kompletnie spakowani, gdy - przed wieczorem - w otwartym oknie dużego pokoju ukazuje się popiersie postępującej u miejscowych bogatych Żydów kobiety. Z pękiem zasiusianych pieluch w ręku, rozglądając się nerwowo, wyrzuca jednym tchem.

- Skryjcie się gdzieś, "chapuny" przyjechali! - Nie dodając nic więcej, biegnie nad potoczek, pochyla się i płucze pieluczki.

- Dzięki ci, Boże, za pocziwego dziadźkę! - wzdycha przerażona Wiktoria, po czym zapędza Emilkę do spania.

- Kładź się, dziecko. Jutro wcześniej wstać musisz. Wy też - zwraca się do Ieszka z Dorotą a sama układa Inę. Sprawia się szybko, raz jeszcze obrzuca gospodarskim okiem spakowany dobytek oraz śpiące dzieci, nastawia budzik i kładzie się także.

Noc jest szczególnie piękna. Cicha, spokojna, ciepła. Przez okno zagląda do pokoju księżyc, na odległym niebie migocą rozliczne gwiazdy. Noc z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

- Rok temu Ina miała dopiero miesiąc - uzmysławia sobie Wiktoria - Teraz biega, mówi... Tylko ojca nie zna. - Nagłe stukanie do drzwi werandy wdziera się w tok myśli, niby wystrzał, wypełnia serce po brzegi. Wiktoria zrywa się na równe nogi, nasłuchuje. Może się przesłyszała?!... Stukanie powtarza się, jakby bardziej natarczywie. Cicho, na palcach, podchodzi pod drzwi i - z udanym rozespianiem w głosie - pyta:

- Kto tam?

Po drugiej stronie głos Mendla nalega na otwarcie. Nie ma żadnych wątpliwości. Przyszli po nich.

- Zaraz, zaraz - woła. - Tylko się ubiorę, - Pędzi do dzieci, budzi je, pomaga się ubrać. Inge pozostawia w spokoju. Nie śpieszy też z wpuszczeniem nieproszonych "gości" do środka, *aczkolwiek znów stukają.*

- Emilko - szepcze gorączkowo, odciągawszy ją w najdalszy kąt. - Córeczko, nie zdążyliśmy. Ale ty uciekaj. Przyczaj się tu, z tyłu i - kiedy otworzę drzwi - wyskakuj przez okno. Byle do Prozoroków. Tam się tobą zaopiekują. Chociaż ty się ratuj, kochanie. A kiedy odnajdziesz tatusia, powiesz mu o nas - głos załamuje się jej niebezpiecznie, lecz bierze się w garść. - Uciekaj! - powtarza. - Ja będę marudzić z otwieraniem. Zdażysz. Tylko uważaj na siebie. - Całuje córkę mocno, krótko obejmuje i popycha w kierunku okna. *Stukanie staje się natarczywe. Nie sposób dłużej zwlekać.* Wiktorią wolniutko zmierza ku drzwiom. Po chwili staje w nich Mendel. *Za nim... „Bezimienny“.* Do niedawna częsty gość. Bez munduru, odziany w ciemne spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, w towarzystwie jednego tylko milicjanta.

- Coś takiego! - zdumiewa się mimowoli Wiktoriana. - A po Julię przyszło sześciu uzbrojonych! No, i ten musi mieć schowany rewolwer-  
-myśli, patrząc na naczelnika pogardliwie.

Odprawiony Mendel wraca do siebie, milicjant pozostaje na ganku. NKW-dzista z Wiktorią wchodzi do pierwszego pokoju, gdzie - obok łóżeczka Ingi - stoją przestraszeni Leszek z Dorotą. Wiktoriana oddycha z ulgą. Emilki nie ma. Udało się!

- Nu, sabirajties'. Pajedietie w Giermaniju.<sup>1</sup> - mówi naczelnik, nie patrząc jej w oczy.

- Która się nazywa Sybir! - wykrzykuje Wiktoriana nienawistnie, pamiętając jego pseudo-grzecznościowe wizyty, jego zwodniczą uprzejmość, jego fałszywą sympatię i zabawy z ufną Ingą.

NKW-dzista milczy. *Sprawia wrażenie zakłopotanego.*

- Otwierać walizy? - pyta <sup>(Wiktoriana)</sup> szyderczo. - Będziecie robić rewizję? Jak siostrze?

---

<sup>1</sup> No, zbierajcie się. Pojedźcie do Niemiec.

- Nie trzeba Wiktorio Michajłowna - mówi <sup>(NKW-dzista)</sup> niepewnie i podchodzi do łóżeczka, w którym - nieświadoma grozy położenia, różowiotka, czarnowłosa, rozrzuciwszy szeroko drobne rączki, w białej, obszytej koronkami ko szulce - śpi spokojnie, posapując leciutko, Inga.

- Obudźcie dziecko - zwraca się do Wiktorii, lecz ona nie zamierza go słuchać.

- Niech śpi jak najdłużej. Nie będę jej budzić!

- Ależ trzeba! - tłumaczy łagodnie Rosjanin i po raz pierwszy ich oczy spotykają się na krótkie mgnienie.

- To ją sami obudźcie! - <sup>(Wiktorio)</sup> podświadomie czuje, że może sobie pozwolić na ten ten, ponieważ istnieje jednak między nimi jakieś nigdy nie wypowiedziane porozumienie, które można by określić dwoma słowami: "platoniczny adorator".

Istotnie, nie powoduje tym wybuchu jego gniewu. Wyraźnie przygnębiony, pochyla się nad łóżeczkiem.

- Ina... Ineczka... - podkłada dłonie pod plecki śpiącej, unosi ostrożnie. - Ineczka, wstawaj.

Mała otwiera wreszcie rozespiane tarczki oczu.

Bije od niej spokojne ciepło. Budzi rozrzedzenie. Przeciera piąstkami oczka, ziewa, potem spogląda przytomniej i - poznawszy miłego pana, tak często huśtającego ją na nogach - uśmiecha się do niego radośnie.

Ten, odwróci<sup>sz</sup> wzrok z widoczną przykrością, odstępuje na bok. Teraz zajmuje się Inga Wiktorii.

- No, jesteśmy gotowi - mówi twardo i nieruchomieje na widok wsuwającej się do pokoju Emilki, która patrzy na nią przepaszając. Niepozdziwienie Wiktorii odczuwa ulgę. Może to lepiej? Może właśnie powinni zostać razem? - Uśmiecha się przelotnie, krzepiąco i Emilka upewnia się, że jej decyzja była słuszna.

Wiktorii spegląda niepewnie na spory tobołek z cudzą robotą i wełną, na NKW-dzistę, raz jeszcze na wełnę.



- Mam tu pożyczone od kierownika szkoły książki i cudzą wełnę -  
zwraca się do naczelnika. - Pozwolicie  
y zwrócić? Już prawie widno - spojła w okno. - Poślę córkę,  
dobrze? Resztą możecie wysłać za nią tego tam - macha w kierunku  
werandy ze złośliwym błyskiem w oczach.

- Niech idzie. - W jego głosie drga coś, czego nie sposób rozszyfrować,  
co jednak Wiktoria ignoruje.

Nakazuje Dorocie przeprosić ludzi, których zawiadła nie z własnej  
winy i przekazać kierownikowi szkoły, że "Dzieje grzechu" są do odeb-  
rania u wracza przeobrażonego świeżo z rolnika. Wysyła także Leszka  
do Mendla.

- Idź, synku. Niech sobie zabierze pszenicę, bo mi wanienska potrzebna.

- Nie oddawajcie ziarna - wtrąca „Bezimienny”. - Przyda  
się. Zabierajcie wszystko, co macie.

- Nie wasza sprawa! - fuczy Wiktoria, sznurując wargi, ani przypusz-  
czając, jak bardzo przyjdzie jej żałować tej kupki pszenicy.

Urażony, siada za stołem, odsuwa leżącą na nim podręczną walizeczkę  
z rzeczami Ingi oraz dwoma kilogramami cukru na dnie, rozkłada  
swoją listę.

Wiktoria także ogarnia gniew. Poza tym jest jej wszystko jedno. Nic gor-  
szego nie może ich już spotkać. Wlega kaprysewi podroczenia się z nim  
na koniec.

- Ostrożnie! - podbiega do walizeczki. - Tu złoto! - obrzuca NKW - dzistę  
kpiącym spojrzeniem.  
Cukier jest dla niej istotnie na wagę złota, Inga nie może się bez nie-  
go obejść.

Cios trafia w dziesiątkę. Na obliczu byłego gościa - męka  
niepewności.

- Aha, jeszcze pożałuje, że nie przeprowadził rewizji!

On tymczasem zdaje się żałować rzeczywiście. Wstaje, kręci się koło wa-  
lizeczki, stuka w nią dłonią, lecz - ścigany jej złośliwym wzrokiem -  
nie śmie otworzyć. Zaczyna więc rozglądać się wokół myszującym spojrze-  
niem. Wtem schyla się, podnosi z podłogi zgięty, porzucony drut. W jego  
oczach - zadowolenie.

- Wy zabyli!<sup>1</sup> - oświadcza i pośpiesznie otwiera walizkę, aby włożyć drut. Jednak, oprócz pięknej wyprawki Ingi, nie dostrzega niczego ciekawego. Chwilę walczy z sobą, robi nawet gest, jakby chcąc wsunąć rękę pod spód, lecz - powstrzymany ironicznym wyrazem twarzy Wiktorii - opuszcza wieko na powrót.

Wiktorii, mimo zapowiadającego się upalnego dnia, wkłada na siebie swój zgrabny, popielaty płaszcz, na głowie formuje twarzowy berecik.

W tym momencie zagląda do pokoju milicjant. Uśmiechnąwszy się, rzuca szyderczo:

- Takuju ženszczynu Germancam atdat'? Nikak nie l'zia!<sup>2</sup>

Wiktorii zatrzymuje się w pół kroku, raptem świadomą popełnionego błędu, przed którym naczelnik próbował ją przecież ostrzec. Gdyby go usłuchała i wycofała podanie, jak radził, "zapomniałby" o ich istnieniu. Sama mu to uniemożliwiła! Patrzy na niego i w oczach

czyta potwierdzenie. Załując poniewczasie, świadomą

nieodwracalności tego, co się dzieje, traci całą dotychczasową zadziorność. Czuje się bezsilna i chora. Dopada ją wściekły atak migreny - dęgliwość nekająca ją, ostatnimi czasy nazbyt często.

- Można wynosić rzeczy - mówi cicho i, z walizką w ręku, wychodzi przed dom, gdzie stoi rzędem pięć niewielkich podwódr.

- Po co mi aż tyle fur! - woła zdziwiona, pamiętając, że po Julię, mającą nieporównanie więcej rzeczy do zabrania, przybyła tylko jedna.

NKW-dzista odprawia dwa wozy. Jedną furka mieści

skromniutki dobytek, dwie przeznaczone są dla wywozonych - po prostu luksus!

Wiktorii cierpi coraz bardziej. Siedząc na furce, przymyka oczy. Marzy o jednym. Aby jej dano świąty spokój.

Czekają jeszcze na Dorotę. NKW-dzista, oparty o ścianę werandy, rozmawia z milicjantem. Do Wiktorii podchodzi jedna z sąsiadek, wyciąga ku niej kamienny garnek, napełniony topionym masłem.

- Nie chcę. Po co mi to - mówi bezmyślnie, więc zgorszona Emilka czym prędzej przyjmuje podarunek, dziękując w imieniu całej rodziny.

1. Zapomniała pani.

2. Takiej kobiety nie wolno oddać Niemcom.

Na ten moment trafia powracająca Dorota. Dźwiga parę sporych pakunków, które podaje Emilce.

- Mamusiu - mówi. - Ta kobieta, co mieszka na skraju, wcale mnie nie wpuściła do domu, chociaż jest nam winna zapłatę. Widziałam dobrze, że się firanka poruszyła. Ona chce nas oszukać.

- Co jest? - wtrąca się „bezimienny”. - Ktoś wam nie zapłacił za robotę?

- W jednej chacie śpią jeszcze - przytomnieje momentalnie Wiktorii, lecz on nie daje się zwieść.

- Niczego. My ich obudzimy! - cedzi groźnie, odsłaniając swe kolejne oblicze, nieznane Wiktorii.

Furki ruszają, przeprowadzane współczującym wzrokiem ukrytych za firankami mieszkańców miasteczka, eskortowane jedynie przez NKW-dzistę na rowerze, który przedtem <sup>(ostentacyjnie)</sup> odprawia milicjanta. Zatrzymują się przed domem niewypłacalnej kobiety. Dorota puka do drzwi; raz jeszcze daremnie.

Wówczas Rosjanin podjeżdża pod drzwi na rowerze, pochyla się i łomocze w nie zwiniętą pięścią, aż drży futryna. W jednej sekundzie ukazuje się w nich wystraszona baba. Aż się kuli pod groźnym wzrokiem przedstawiciela władzy.

- Jesteście tu winna za robotę! - wrzeszczy baba, bez słowa, znika w głębi, aby się wnet pojawić z kawałkiem słoniny.

- Taka była umowa? - upewnia się naczelnik, zwrócony do Wiktorii. - Nie za mało?

- W porządku - potwierdza Wiktorii, chociaż kawałek jest wyjątkowo skąpy, co Dorota ma wielką ochotę wykrzyzczyć, oburzona skąpstwem babska, Inne gospodynie obdarowały ją, podwójnie, ta gotowa okraść! Nie śmie jednak sprzeciwić się matce.

Nikogo, oprócz nich, nie wywożą tego dnia z Hołubicz i nikt ich nie pilnuje, jeśli nie liczyć trzech woźniców. Furki są w dużych odstępach od siebie, naczelnik

znika co rusz na swoim rowerze, znów się pojawia. Mijają podążających do kościoła, odświętnie, dostatnio odzianych ludzi, spoglądających bez zdziwienia na przeprowadzającą się z pozoru rodzinę. Zainteresowanie wzbudza jedynie Dorota, szlochająca rzewnie, rozczewwioną, zapuchniętą. Martwi ją, że jadą nie wiadomo dokąd, że Inga nie będzie miała mleka, po które gotowa jest chodzić nawet dwa razy dziennie, gdyby im tylko pozwolono zostać.

Ubrana dziwacznie, w trzy - naciągnięte jedna na drugą - sukienki pod gimnazjalnym mundurkiem, z narzuconym na wierzch obszernym fartuchem z czarnej satyny w czerwone różyczki i zielone listki - skutek obaw przed zapamiętanym z wrześniejszej tułaczki zimnem - *sprawia mylące wrażenie.*

Mijające ich kobieciny szturchają się wzajemnie, wymieniają pełne współczucia uwagi.

- Patrzajcie, zabierają z sobą pod przymusem służącą a ta beczy, bo pewnikiem narzeczonego zostawiła.

Dorota nie widzi i nie słyszy. Patrzy poprzez łzy na rosnące przy drodze, rozkołysane, zielono-żółte zboża, których nigdy nie zobaczy. Wiatr *wieje* ciepły, przyjazny. Pogoda, jak na zamówienie. Droga biegnie wśród porośniętych zbożami lub jasną trawą, pokrytych zagajnikami pagórków prosto, to zakręca, pnie się *wzwyż*, znów opada.

Wschodzące akurat słońce sprawia, że wokół *staje się* przytulnie, bezpiecznie. *Aż* żal odjeżdżać.

W nękanej bólem głowie Wikterii goreje dziesięć takich słońc. Przymruża oczy i wówczas pole jej widzenia *przecinają*, *olbrzymie*, *palające* błyski czerwiejsze od słońca, krzyżujące się pod kątem prostym - nie wiedzieć - w głowie czy w oczach, czy na niebie. Zapomina o bólu, z napięciem śledząc krótko trwające zjawisko. *Wyraźny, płomienny znak krzyża wysoko w górze.*

- Krzyż... Trzeba *udźwignąć* ten krzyż, *Trzeba* dźwigać - odzywa się w jej wnętrzu *głos-nie głos*, Niebo znów jest czyste. Powraca ze

zdwojoną siłą ból głowy, w gardle wzbiera fala torsji. Powodują pewną ulgę.

Emilka milczy uparcie, owładnięta nagłą pokusą ucieczki. Konwojenta nie ma, furmani na kozłach drzemają, furki wleką się, człap-człap. Wystarczy zsunąć się bezszelestnie, przykucnąć w krzakach. Powinno się udać. Lecz dokąd uciekać? Do Prozoroków za późno. Dziadźki też nie sposób odnaleźć. Zresztą NKW-dzista ma spis. *Nie można przy tym zostawić ich* *(samolubnie.)* wszystkich *(się)* Inga taka mała. Powinno raczej pomóc matce, zamiast przysparzać kłopotów. Nie wolno myśleć wyłącznie o sobie. Wtem spostrzega, że ubrała sukienkę na lewą stronę i to poprawia jej humor.

Mijają ich trzy-eskertowane przez uzbrojonych po zęby żołdatów - ciężarówki, wyładowane szczelnie ludźmi i rzeczami. *Z żalem i zazdrością patną* na trzy swobodnie, z pozoru, posuwające się furki.

- Oni myślą, że my jedziemy na odpust - myśli Wiktoria, *rzucając* porozumiewawcze spojrzenie starszej córce. Obie nie mają wątpliwości co do *charakteru* podróży tamtych z ciężarówek.

W pyłe wzniesionym przez samochody pojawia się zniecka NKW-dzista na rowerze. Od tego momentu towarzyszy furmankom bez przerwy, aż wjadą w ulice jakiegoś miasteczka. Koła turkocą na bruku, mijają budynek stacji kolejowej. Na nim napis: ZIABKI. Jadą dalej. *Aż* na boczny tor zastawiony towarowymi wagonami z jednej strony, ze stertami drewna po drugiej. *Na stertach - gęsto od ludzi.* Przestrzeń obok zalegają zwalone na stopy bagaże. Między nimi - gromadki rozmawiających. Niektórzy spacerują nerwowo, inni siedzą na trawie. Nad całą tą, oświetloną przyjaznym słońcem ciżbą, unosi się głośny gwar. Jakieś szloch, okrzyki, słowa modlitwy i pieśni religijnych, bezsilne westchnienia.

Rozdział VII

W N I E Z N A N E

„Bezimienny”, odprawivszy puste furki, poleca Wiktorii z dziećmi uplasować się w dowolnym miejscu, sam<sup>zas</sup> znika na parę chwil.

Powróciwszy, sprawia wrażenie, że chciałby coś powiedzieć, lecz się waha. Spogląda na Wiktoria z namysłem, co ona wykorzystuje po swojemu. Z wyniosłą miną, wskazując sęgi dłużyć

/rozmyslnie ignorując jego obecność/ mówi do dzieci.

- Tyle mają swoich lasów a jeszcze n a s z e wywożą!

Jej dawny gość, ani drgnąwszy, udaje głuchego. Natomiast stojąca obok nieznajoma rzuca jej szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, co Wiktorii bagatelizuje.

- Dobrze mówię. NASZE! Jesteśmy przecież na NASZEJ ziemi! - Pragnie w tym momencie jednego. Dogryźć temu, którego uważała za przyjaciela, który najpierw bawił się z Ingą a potem przyszedł po nich nocą. Lecz on zdaje się nie słyszeć czy nie rozumieć. Tylko twarz tężeje mu coraz bardziej.

Dalsze, planowane prowokacje przerywa Wiktorii<sup>(jakiś)</sup> młody człowiek. Biegając dokądś w podskokach, zatrzymuje się na widok Ingii z idiotycznym uśmiechem, który dziewczynka nieoczekiwanie odwzajemnia. Nie razi jej głupkowaty wyraz zaślinionej twarzy obcego. Nie boi się go, mimo że<sup>(ten)</sup> raptem zaczyna się walić w piersć pięściami i wołać, sepleniąc.

- Ja A-lek Ksić-ki! Ja Ksić-ki! Ja, ja Ksić-ki!

Z wyjątkiem Ingii wszyscy najbliżej stojący są lekko przestraszeni.

Zanim ktokolwiek zdąży zareagować, w ślad za dorosłym swym dzieckiem, podchodzi elegancka, pięćdziesięcioletnia może dama.

- Bardzo państwa przepraszam. On jest nieszkodliwy. Chciał się po prostu przedstawić. - Ująwszy syna za rękę i skinąwszy głową, miesza się z tłumem.

Wiktorię znów ogarnia duch przekory.

- I takich u was nie chwatają? <sup>«Bezimiennego»</sup> - pyta szyderczo, celowo po rosyjsku, by nie mógł udawać, że nie rozumie.

Cios jest celny, aczkolwiek i ten pozostaje bez odpowiedzi. Wiktoria osiąga to tylko, że NKW-dzista nareszcie oddala się na dobre. Rozciągnięty nieopodal na trawie, pośród umundurowanych swych towarzyszy, leży z zamkniętymi powiekami do końca, to jest do momentu przekazania eskortowanych więźniów konwojowi transportu.

Syta zemsty, zajmuje się teraz wciąż szlochającą

Dorotą, sadowi na największej walizie Inge z Leszkiem, po czym - aby nie ulec rozpacz - próbuje rozejrzeć się w sytuacji.

Uwagę jej, niemal natychmiast, przykuwa tokująca pośród ciżby, niezmiernie wysoka, zasuszona, starszawa, przyodziana w czerń kobieta z dwoma pekińczykami pod pachami. Ganiając z miejsca na miejsce, wykrzykuje - w obu językach na przemian - z niebywałym zaciętrzewieniem:

- A złodzieje! A swołocze! A zdrajcy! A oszukańcy! Kary na nich nie ma! Z własnego kraju wywożą! Z domu rodzzonego, szubrawcy! - Do rodaków przemawia po polsku, na widok Rosjanina przechodzi na rosyjski, chlaszcząc go nienawiścią w mowie, gestach, wzroku.

Patrząc na nią, Wiktoria uzmysławia sobie własną swą nierozwagę i, po niewczasie, żałuje.

- Ciszej-dalej - poucza sama siebie. - Językiem można sobie pomóc, można też głupio zaszkodzić. - Dalsze rozmyślenia przerywa rozkaz zajmowania miejsc w wagonach, jak się okaże, brudnych i cuchnących. - Jedne po bydle, inne po wapnie.

---

A. I tacy są wam potrzebni?

Ludzie cofają się, proszą NKW-dzistów o zezwolenie *sprzątnięcia*,  
wyszorowania. *Bezskutecznie.*

- Nie grymasić. Wsiadać! - pokrzykuje eskorta. - Skariej! *Szybciej!*

Wiktoria, wierna swej niedawnej decyzji rozważnego działania, podchodzi  
do "Bezimiennego", zmieniona nie do poznania.

- Tawariszcz, bud'cie miubieznyj, razrieszytie nam pamot'<sup>4</sup> wagony - mówi  
uprzejmie. - Oczeń oni grieznyje.

*W oczach NKW-dzisty - triumf.* Nareszcie może się ode-  
grać. *Jego kolej!*

- Ładno - cedzi z pogardą. - *I takie dla was charoszyje!*<sup>2</sup>

Tego Wiktoria nie potrafi znieść pokornie. Raz jeszcze sprzeniewierza  
się własnym postanowieniom.

- *Prijdiot wremia; i TAEICH WAM NIE DADZIM!*<sup>3</sup> - odwraca  
się na pięcie, nieciekawa nawet jego reakcji i niemal natychmiast prze-  
rażona.

- Boże, ten człowiek źle na mnie działa. Co ja wyprawiam! - Nie zdaje  
sobie sprawy, że jest traktowana wyjątkowo, co doskonale dost-  
rzega Emilka, absolutnie już pewna swego. Ten bęcwał kocha się w mamusi!  
Lepiej, że wyjeżdżamy!

Na peronie tłok i gwar. Jedni NKW-dziści przekazują areszto-  
wanych drugim. *Nieskończona kolejka prze-*

*suwa się* w kierunku zasiadającego na belce oficera, który wszystkich  
po kolei wciąga na długą listę, po czym mogą już zająć miejsca w  
wagonach - po *kilkanaście* rodzin, ściśle według spisu. Gdy peron opustoszeje  
zupełnie, pierwsza eskorta wycofuje się. Znika także, bez słowa pozegna-  
nia, "Bezimienny".

Wiktoria nie bierze udziału w dywagacjach na temat: "Dokąd nas wiozą".  
Ona wie. Doskonale wie, gdzie może być potrzebne ciepłe, zimowe palto.  
Teraz, kiedy i tak jest za późno, żałuje, że nie pozwoliła sobie pomóc  
naczelnikowi z Plisy.

W wagonie - ciasnota i unoszący się w niewielkiej przestrzeni biały,

---

1. Towarzyszo, bógbicie tak uprzejmi i pozwólcie nam umyć wagony. Bardzo <sup>zaj</sup>brudne.  
2. W porządku. I takie dla was za dobre.  
3. Przyjdzie czas, że i takich od nas nie dostaniecie.



wapienny pył. Po obu jego końcach, od ściany do ściany, <sup>umocowano</sup> dwukondygnacyjne szerokie nary z grubych, surowych dech. Gnieźdzą się na nich *dziesiątki osób.* Płaszczyznę podłogi zavalają bagaże. *Na nich także siada, kto może.* Nieopodal drzwi, prostopadle do nich, biegnie kanalik z ujściem na zewnątrz - wagonowa, wspólna latryna, którą ktoś niebawem osłoni na stałe płachtą.

Wiktorii - wpuszczona wraz z dziećmi do wagonu jako *drugą* - zajmuje skianek górnej półki. Tuż obok niewielkiego okienka, w bezpośrednim sąsiedztwie pani Anny Krzyckiej, matki głupiego Arka oraz *panny Aniela. Jej starszy brat, żonaty i mieszkający w Częstochowie, szczęśliwie uniknął wywózki.* Uwagę Wiktorii zwraca ich niebywałych rozmiarów bagaż. Przedmiot podziwu i mimowiednej zazdrości. Pani Krzycka, nie pytana, uważa za stosowne wyjaśnić.

- Te rzeczy nie należą do mnie. Nasi przyjaciele, spodziewając się deportacji, powierzyli je nam na przechowanie. Tymczasem to ich pozostawiono w spokoju! Miałam nadzieję, że przyjadą tu, do Ziabek; niestety. Mamy dodatkowy kłopot. Pilnować cudzej... ależ Arku, nie przeszkadzaj!

- Alek idzie siusiu, tam! - *dwudziestopięcioletni* <sup>(uchłopczyk)</sup> zsuwa się z półki, przeciska do kanału i - mocząc zaryglowane już od zewnątrz drzwi - załatwia się bez żenady.

Panna Aniela, spiekłszy raka, podąża za bratem z kocem w rękę,

pani Krzycka mówi usprawiedliwiająco:

- Gdyby go pani widziała, kiedy miał pięć lat! <sup>(29)</sup> Coż to było piękne, co za mądre dziecko! Jakim cudem wdrapał się na czubek jabłoni, nie wiem. Dość, że gdyśmy go pod nią znaleźli, ustami i uszami ciekła mu krew. Nie pomogli żadni lekarze. Zatrzymał się na poziomie pięciolatka. Poza tym jest zupełnie nieszkodliwy.

Głupi Arek, odsunawszy bezceremonialnie koc, potrącając

siestrę, *Śpieszy* w stronę, z której dochodzi jej pisk, ku przeciwległej, *górnej narze.*

Usadowiona na niej, tokująca niedawno na peronie kobieta, pani Alina Mańska, bawi się czule z dwoma piszczącymi psiakami.

Jej dwie córki - Iza i Elżbieta - spoglądają na matkę pobłaźliwie - Żal mi było zostawić stworzonka na pastwę losu - tłumaczy się tymczasem pani Mańska swej <sup>(najbliższej)</sup> sąsiadce, samotnej kobiecie z pięcioletnią córeczką, *Lusią*, nazwiskiem *Turkotową* - więc zabrałam. - Całuje kolejno dwa czarne noski, co wprawia Arka w zachwyty.

Wiktoria jest zgorzozona. Jak można całować zwierzęta!

- Proszę pani! - nie wytrzymuje. - W taką <sup>(daleką)</sup> drogę nie powinno się brać psów.

- A cóż pani do tego! - odcina się *pani Mańska*. - Pani miejsca nie zabierają!

- Psia mama! - parska wzgardliwie pani Krzycka, lecz Wiktoria, zła na siebie, milczy.

- A pani łaskawie skąd wiadomo, jaka czeka nas droga; daleka czy bliska? Skąd te wiadomości? - wtrąca nieoczekiwanie pani Turkotowa, <sup>nie</sup> wypuszczając z objęć Lusi, <sup>zaczepnie</sup> podnosi głowę z upiętymi wysoko blond włosami. Zwyczajne niby pytanie a raczej ton, jakim zostaje zadane, brzmi jakoś złowrogo. Wszyscy cichną, patrząc niespokojnie na mówiącą, o której przypominają nagle, iż ją NKW-dzista nadzwyczaj troskliwie wspomagał podczas wsiadania do wagonu. Ma niemiły wyraz twarzy, wąskie wargi i napstliwe, rozbiegane oczy. Każde świdrujące w inną stronę, każde w innym kolorze: niebieskie i brązowe. Inosi w uszach złote kolczyki w kształcie swastyk.

- Mamusiu, ta pani jest zezowata - szepcze głośno Leszek a Wiktoria ucisza go pośpiesznie i, ostentacyjnie

ignorując pytanie, zwraca się do pani Krzyckiej, jakby wracając do przerwane go tematu.

- To niedobry człowiek. - Pani Krzycka zniża głos. - Zauważyłam ją jeszcze na peronie a raczej te świdrujące oczka. Ma się wrażenie, że wierci nimi dziurę w plecach. No i ten usłużny NKW-dzista, układający

jej rzeczy na półce. Na p ó ł c e! Coś też na koniec gadał. Nie rozumiałam.

- Słyszałam. Mówił: Wsio budiet charaszo, nie żurities! To znaczy: Wszystko będzie dobrze, proszę się nie martwić - wyjaśnia Wiktorja.

Turkotowa tymczasem, wyczuwając nieprzyjazną atmosferę, usiłuje naprawić niemiłe wrażenie.

Zaczyna opowiadać "psiej mamie" o sobie. Pochodzi z Cieszyna, mąż gdzieś zmobilizowany,

ona z Lusią - na wakacjach u jego rodziny - zagarnięta przez Sowietów.

Pani Mańska nie ma czasu na pogawędkę. Rozlega się przejmujący psi skowyt i spoczywająca na jej kolanach suczka zaczyna się szczenić.

Głupi Arek, wpadłszy w zachwyty, ślini się z uciechy i czochra po włosach. Pani Mańska spogląda wokół z rozpaczą.

- Tego tylko brakowało! - krzyczy ktoś z dolnej nary, oburzony, co wszakże nie powstrzymuje rozpoczętego procesu. Zbolałą psie skomlenie miesza się z czyimś histerycznym chichotem, robi się zamieszanie.

Gdy pierwsze mokre psiątko wypadnie na deski nary, "psia mama" ujmuje je w obie dłonie i tak zamiera, bezradna, ze łzami w oczach. Nowy skowyt i nowe jego następstwo: drugie szczenię przybywa na świat, co powoduje nieoczekiwany skutek. Płacząc rozdzierająco, wprost krzycząc, pani Mańska wyrzuca przez okienko mokry kłębuszek. To samo czyni z następnym i

ze wszystkimi pozostałymi, bez przerwy rozpaczając, w czym sekunduje jej głupi Arek. Wielkie dziecko *daruga* się za włosy, bije w piersi zwiniętymi dłońmi, każde ze szczeniąt w głos, przejmująco oplakując.

Widok jest tak tragiczny, że Turkotowa przytula główkę swej Lusi, usiłując oszczędzić dziecięcą wrażliwość. Także Wiktorja,

jak może, odwraca uwagę zaciekawionej niezdrowo Ingi. Leszka uważa za dość dorosłego, by się nim nie <sup>(zejmować)</sup>, więc chłopiec patrzy bez przeszkód,

ze skurczonym sercem. Patrzą wszyscy. Także ci z dolnych nar, poderwani na równe nogi.

Właśnie ostatnie szczenię znika za okienkiem, gdy drzwi odsuwają się z trzaskiem i stają w nich dwaj mundurowi.

- Zdzisław Adamowicz Święcickij! - woła jeden, co natychmiast usztywnia młodego, przystojnego, niebywale rozrośniętego człowieka z dolnej narty.

- Jestem - mówi, pobleǳy, postępując krok ku drzwiom.

NKŹ - dzisia mierzy go uważnym spojrzeniem z dołu do góry i oświadcza:

- Was naznacza się starszym wagonu a obowiązek wasz taki: Co dzień zdawać raport o stanie ludzi, zgłaszać prośby, chodzić po żywność i wodę - odwraca się, zeskakuje na peron, zaś drugi na powrót rygluje drzwi. Matka Zdzisława, pani Magdalena Święcicka i jego siostra, Lilka, nie kryją zadowolenia. Nawet Sowieci się na chłopcu poznali. Podchorąży, jakby nie było:

Lecz Zdzisław nie sprawia wrażenia usatysfakcjonowanego. Siedząc na pryczy, mówi kpiąco:

- Wobec tego muszę państwa wciągnąć na listę. Jak się rozliczać, to rozliczać - wyjmuje z zanadru duży notes. - *Od kogo zaczynamy?*

Pierwsza zgłasza się Turkotowa z Iusią. Następne są trzy panie Mańskie, po nich trzyosobowa rodzina Święcickich i, uplasowana z nimi, niemłoda pani Tomczycka z dwoma synami-wielkoludami:

Markiem i Konradem. Potem panie Krzycka i Wiktoria z dziećmi a na końcu -

podróżujące pod nimi dwie samotne dziewczyny: Marysia i Zosia Zalewskie oraz młodziutka matka trzech niedorosłych córeczek: Danusi,

Kamilki i Krysi, Emilia Górecka. W sumie dwadzieścia pięć osób. Wyjątko-

wo mało w stosunku do innych wagonów, jak się niebawem przekonają.

Zakończenie spisu zbiega się, jak na zamówienie, z ponownym zgrzytem

otwieranych drzwi i pierwszym zleceniem dla Zdzisława. *Wyznaczenie dwóch*

*bladałkowych* osób, zorganizowanie trzech wiader oraz marsz po zupę i wodę.

W oczekiwaniu na posiłek, Marysia Zalewska,

zachęcona czyimś pytaniem: "Co to, panienki tak bez rodziny?", opowiada o wrześniowej tułaczce, *przebiegłej* przez pocisk i pochowanej gdzieś przy drodze, w wygrzebanym pazurami,

płytkim zagłębieniu, byle jak przyrzuconym ziemią, o koślawym krzyżyku z dwóch znalezionych patyczków zatkniętym na mogile, której nigdy nie odnajdą. O wędrowce, gdzie oczy poniosą, o dobrnięciu na Wileń szczyzną, przygarnięciu przez dobrych ludzi i o aresztowaniu nocą.

Zapach zupy odwraca uwagę od tragedii dziewcząt a jej zła jakość i skąpa ilość rozdrażnia wygłodniałych dodatkowo.

- Ciekawe, dokąd nas powiozą? - zastanawiają się wszyscy, co Wiktoria kwituje ledwie słyszalnym mruknięciem.

- Tam, gdzie bardzo zimno.

Nagabywana o źródło tej informacji, milczy jednak uparcie, nie zwierając się nawet pani Krzyckiej.

Po dwudniowym wyczekiwaniu w Ziabkach, gdzie wszystko <sup>także</sup> zaspokajanie potrzeb fizjologicznych/odbywa się pod ścisłą kontrolą stojących nad głową uzbrojonych żołdatów, <sup>wreszcie rusza.</sup> Z dnia bucha śpiew, <sup>epartowani szukają pocieszenia w przesniach religijnych.</sup> Jazda nie trwa długo, w Podsiwibie transport ulega na nowo. Wiktoria cierpi znów z powodu bólów kobiecych, co skrzętnie ukrywa przed dziećmi. <sup>Jak może, stara się je pocieszyć.</sup>

- Dobrze, że wzięli nas latem. Zimą nie wytrzymałybyśmy tego w naszych lekkich ubraniach. Mamy szczęście!

Podświadomie wyczekuje znajomych z Hołubicz; a nuż ktoś się zjawi? Nie zjawia się nikt. Tylko panią Mańską odwiedzają przyjaciele, którzy zabierają, podane im błyskawicznie przez Izę, oba pekińczyki.

- Nie zgadzam się! - protestuje zrozpaczona "psia mama": - <sup>Odełajcie chociaż jednego, błagam! O, po cóż ja wyrzuciłam małe! Prędko się ze mną Pan Bóg policzył!</sup> - Nie słucha usiłujących ją <sup>ugłaskać</sup> córek i znajomych, <sup>deklarujących opiekę nad pupilkami.</sup> - Wracam do Ziabek. One tam jeszcze muszą być. Może żyją! - spuszcza nogi z przyczę, gotowa biec.

- Maleńka trudność łaskawa pani - powstrzymuje ją Zdzisław. - Drzwi!

Pani Mańska nieruchomieje, pozostając w tej pozycji dłuższy czas. Współczuje jej tylko głupi Arek. Wychylony zza płachty, osłaniającej teraz na stałe odpływowy kanalik, kwili po dziecięcemu. - Nie ma pieś-ków, Alek śmuty! - Grzmoci się w pierś, aż dudni. Pod wpływem bólu w pustym brzuchu zapomina o pieskach. - Alek głod-ny! Głod-ny! Jeść! O, puś-to! - maca się po zapadniętym żołądku. - Jeść! - płacze rzewnymi łzami.

Panna Aniela, zsunawszy się pośpiesznie z półki, prowadzi brata na jego miejsce, wciska w dłoń małą kromeczkę suchego chleba. Głuptas ucisza się natychmiast, uszczęśliwiony.

Słysząc tylko chlipanie pani Mańskiej; coraz rzadsze, coraz cichsze, niby nożem ucięte raptownym wstrząsem pociągu. Szarpnięcia powtarzają się, wagony toczą do przodu. Zrazu wolno, potem szybciej, znów niemrawo; wciąż trzęsąc i dudniąc niemilosierdzie.

- Krowie wagony nam dali, żeby ich trąd powyduszał! Kacapy, bolszewiki przeklęte! - piekli się pani Mańska, zapominając o psiej tragedii. Kiedy się wreszcie wyczerpie, zaczyna opowiadać ciekawe historyjki, bawiąc cały wagon.

Do takich zalicza własne aresztowanie. Mijając - już pod eskortą - swój zagrabiony majątek ziemski, do żywego dopieka usiłującemu z niej zadrwić NKW-dziscie.

- Eto wasze b y w s z y j e imuszczestwo!<sup>1</sup> - podkreśla konwojent, na co ona, bez namysłu, odpala.

- Bywszyje i BUDUSZCZYJE!<sup>2</sup>

Jakże jej, choćby za to, nie wybaczyć małego, psiego dziwactwa!

Turkotową sprawą zdaje się interesować szczególnie. Wswidrowana w sąsiadkę kosym spojrzeniem, upewnia się raz jeszcze.

- Tak mu pani powiedziała?! - W jej oczach lisie czyhanie.

Ktoś mówi o niej złośliwie: "Zyz von Drynda", co z miejsca się przyjmuje a w przyszłości zupełnie wyeliminuje nazwisko.

Trwające przez cały dzień rozmowy zamierają dopiero o zmroku,

---

1. To wasze byłe miemie?

2. Byłe i przyszłe!

gdy - pomęczeni - sposobią się do snu, każdy zwinięty na swym skrawku nary. Spią niespokojnie, nękami koszmarami, czasem złudą o utraconym-odzyskanym domu oraz bliskich, by rankiem powrócić do strasznej rzeczywistości - epileptycznego pędu donikąd, przystanków stacyjnych, skąpych racji wody i wyczekiwania na pobrany przez Zdzisława, nędzny posiłek uzupełniający własne zapasy. I do nerwowego napięcia.

- Oni nas wożą w kółko! Już tutaj byliśmy!

- Niemożliwe!

- Po nich się można wszystkiego spodziewać!

Jednostajny stukot kół o szyny wykańcza psychicznie zdrowych, potęguje dolegliwości chorych. Wiktorię nękają częste migreny i bóle kobiece, toteż rzadko opuszcza narę. Emilia milczy wytrwale, zamyślona i smutna. Dorota często płacze. Tylko Inga, licząca rok i miesiąc, podobna do dużej lalki w swej niebieskiej sukieneczce, wieści się niefrasobliwie po pryczy, zadowolona, gdy się jej pokaże coś ciekawego za małym okienkiem i gdy ma pełny brzusek. Szczebioce, płacze i śmieje się na przemian lub usiłuje uciec na podłogę, co się jej czasem udaje przy pomocy głupiego Arka, którego uwielbia; zresztą z wzajemnością. Budzi ogólny podziw swą żywotnością a zwłaszcza bogatym zasobem słownictwa. Potrafi już zupełnie wyraźnie powiedzieć, o co jej chodzi, mówi zdaniami i jest nad wiek rozwinięta. Nie grymasi, zjada wszystko, co dostaje, z wyjątkiem kakao, które raz Zdzisław przynosi dla dzieci - czysty zysk dla Leszka.

Chłopiec, przepełniony nienawiścią do strażników transportu, z trudem powstrzymuje pokusę wylania któremuś na głowę

/gdy znajdzie się pod okienkiem/zawartości nocniczka Ingi.

W miarę upływu dni wśród ludzi narasta zniecierpliwienie. Zdzisław Świątcki ulega mu tak dalece, że - nie kryjąc się - zaczyna rozważać realne możliwości ucieczki z transportu. Opinia ogółu jest w tej kwestii podzielona.

- To bezcelowe i niewykonalne.

- To się może powieść!

W dyskusji nie bierze udziału jedynie "Zyz von Drynda". Poprzes-  
tają na świdrowaniu wzrokiem tak *szczegółowym* Zdzisław - zetknąwszy się  
z nią *spojrzeniem* - milknie. Zda się, nawet odstępuje od zuchwałego pomy-  
słu.

Jednak na najbliższej stacji, wychodząc w towarzystwie siostry po  
wrzątek-kiptatki, szepcze:

- Do widzenia, mamó. Może mi się powiedzie. Trzymajcie z Lilką kciuki.

- Z Bogiem, synku - pani Święcicka kreśli nad nim w powietrzu znak  
krzyża.

Lilka wraca do wagonu sama, z dwoma wiadrami wody, co "Zyz von Drynda"  
zauważa natychmiast i wprawia w ruch swoje "świderki".

Pani Święcicka natomiast i reszta  
wykazują życzliwy niepokój, pomieszany z radością, która -

Już na następnym postoju - zamienia się w rozpacz.

Do wagonu wpadają, z hukiem trzech strażnicy. Jeden wysuwa się na śro-  
dek, dwaj pozostają u wejścia i od razu się zaczyna.

- Familia Święcickich jest?

- Tutaj - odpowiada słabym głosem, po chwili zwłoki, pani Święcicka.

- Aaa, tut wy! - strażnik uśmiecha się szyderczo. - A dzieci wasze  
gdzie?

- Córka jest - matka Zdzisława wysuwa do przodu Lilkę.

- A syn? On-że starszy wagonu, prawda?

Pani Święcicka zaczyna coś jąkać, chlupać, wreszcie wybucha bezradnym  
płaczem.

- Syn gdzie?! - wrzeszczy Rosjanin. - Uciekł!

- Ja nie wiem. ~~Nie~~ wiem - mamle kobieta przez łyzy. - ~~Nie~~ nie wiem, On  
dorosły. ~~Nie~~ trzyma się matczynej spódnicy.

Strażnik patrzy na nią zimno, badawczo.

- Macie tu jakich krewnych? ~~Z~~znajomych może?

- Nie, nikogo nie mamy - pani Święcicka sprawia wrażenie obłąkanej ze  
strachu. - Ach, prawda, syn narzeczoną ma - poprawia się pośpiesz-  
nie.



- Znaczy; narzeczona - strażnikowi poprawia się humor. Wtem zmienia taktykę, *ponownie* unosi głos.

- **Familia! Adres!** - ryczy.

Pani Święcicka trzęsąc się, jak galareta, *bezwolnie*

udziela żądanej informacji.

Obecnych zamurowuje z wrażenia. Własnego syna! Rodzonego syna wydać Sowietom!

Strażnicy odchodzą, starannie ryglując drzwi, nie wypuszczając nikogo.

Matka Zdzisława tkwi nieruchomo na pryczy niby posąg rozpacz, Lilka trzyma twarz w dłoniach - obie wciśnięte w najdalszy kąt, nieme, oślepięte łzami, stężone z bólu. *Jakże im nie współczuć!*

Atmosfera <sup>(ogólnego)</sup> napięcia, wręcz rozpacz potęguje się jeszcze, gdy - trzeciego dnia, licząc od wyruszenia z Ziabek - transport staje w Stołpcach. Granicznym nie tak dawno mieście. A więc opuszczają Polskę!

Z dolnej nary pod Wiktoria rozlega się spazmatyczny szloch, przechodzący momentami w wycie. To pani Górecka

w ataku hysterii tak strasznej, że pani Tomczyckiej z trudem udaje się ją *wyciszyć* przy pomocy kropli uspokajających.

Emilka, swoim zwyczajem w milczeniu, lecz z *obawą* obserwuje matkę czy i jej nie udzieli się nastrój spazmującej sąsiadki. Jednak Wiktorcia siedzi, jak skamieniała. Za to Dorota zapłakuje się niemal na śmierć i nawet Inga - widząc ten powszechny lament - rozwrzaskuje się na cały regulator.

Nowy "starszy" wagonu, Marek Tomczycki, udaje się - zgodnie z poleceniem strażnika - do budynku stacyjnego z dwoma wiadrami. Na zupę i drugie danie. Lecz nawet podział żywności nie poprawia sytuacji.

Fasolówka jest *mieszka*, za to drugiego nie sposób przełknąć. *Jakieś* żółtawo-zielonkawe, dwustugramowe na oko kostki czegoś twardego. Po jednej bryłce na osobę.

- Co to może być? - Wszyscy obwąchują, niektórzy próbują lizać, inni nadgryzają porcje.

Arzywią się, wybrzydząją.

- Świństwo!

- Skiśnięte!

- Toż to groch!

- Nie, chyba soczewica!

- Tak czy siak, niezjadliwe - kończy dyskusję pani Mańska i dorzuca parę ciętych inwektyw pod adresem "trucicieli".

Nie nadające się do jedzenia, nie zidentyfikowane kostki wylatują przez małe okienka na peron. Są tak zbite, że nawet nie zmieniają kształtu w zetknięciu z ziemią. Pozbywszy się ich, ludzie sięgają, jak zwykle, do zapasów domowych. Jedzą w milczeniu. Wtem ktoś woła: - O Boże! - i ukazuje ręką za okno.

kto może, ciśnie się przy małych, nie oszklonych otworach w ścianie. Patrzą z otwartymi ustami, ze zgrozą.

Jacyś ludzie, wyrosli niby spod ziemi, rzucają się na wzgardzone kostki *zjadające* bezzwłocznie, pożerając łakomie. Pędzą wzdłuż pociągu -  
- kto pierwszy ten lepszy - bo z okien zaczynają spadać także kawałki suchego chleba, którym ci, co nie zaznali jeszcze prawdziwego głodowania dzielą się z głodującymi. Strażnicy usiłują ich odpędzić, lecz czynią to bez przekonania, dzięki czemu nie marnuje się ani okruszek.

Opuszczając Stołpce, wszyscy mają miny zwarzone, serca ściśnięte rozpaczą i - JUŻ - tęsknotą za krajem. Są przecież na obczyźnie! Mimo nocy nikt, oprócz dzieci, nie śpi. Ktoś intonuje "Wszystkie nasze dzienne sprawy", liczne głosy podtrzymują, wzmacniają słowa oraz melodię. Potem słychać już tylko cichy pogwar, szepty, westchnienia, słowa modlitw, krótkie szloch.

- Jak myślisz, Milko, wrócimy? - Wiktoria pragnie ponad wszystko słowa pociechy.

- Przecież musimy wrócić! - odpowiada porywczo dziewczyna. I w tej-że sekundzie nachodzi ją wątpienie. - Ale to będzie trudne - dodaje.

Noc to ciężka; miespana i złowroga,

po której ranek następuje nie lepszy. Transport stoi - po raz pierwszy na obcej ziemi - zza ścian wagonu dochodzą obce, rosyjskie słowa.

- A oni za co popadli? - pyta ktoś.

- Za zdradę Sowieckowo Sojuza - brzmi odpowiedź.

Wiktorija, z głową w okienku, pragnie krzyknąć, zaprotestować. Już otwiera usta, ukiada odpowiednio wargi, lecz milczy. Nie ma sensu. Szkoda nerwów. Drzwi stają otworem, strażnik ogłasza, że każdy - kto chce - może pójść po kipiatak. Starszy, Marek Tomczycki, odbierze jedynie żywność.

- Zrozumiałe, nie muszą się już bać, że uciekniemy, bo do kogo! - myśli Emilka, biorąc do rąk czajnik oraz menażkę. Spuszcza w dół nogi, zamierzając zeskoczyć, gdy pociąg niespodzianie szarpie gwałtownie. Mimo to udaje się jej zgrabnie, bez szwanku wylądować między pakami i wiadrami. Zanim odnajdzie swoje naczynia, grupa z wagonu zdąży się oddalić, co utrudni dziewczynie powrót.

Ani rusz nie potrafi odnaleźć swojego wagonu. Mimo specjalnie zakodowanego w pamięci znaku-napisu odczytanego jeszcze w drzwiach:

"NIE KURIT"<sup>1</sup>. Wie nawet, co to znaczy, gdyż o to zapobiegliwie spytała, Okazuje się jednak, że identycznych napisów jest wiele. Na błąkającą się - tu i tam - zwracają w końcu uwagę strażnicy.

- Szto ty, dziewczeczka?<sup>2</sup>

Emilka domyśla się sensu pytania, zaczyna więc - po polsku oraz gestami - tłumaczyć, o co chodzi. Rozbawieni, każą jej iść za sobą i wtedy od razu dostrzega w okienku buzię Leszka.

W wagonie zastaje... Zdzicha Święcickiego we własnej osobie, obściskiwanego akurat przez zaskoczone ale i uszczęśliwione matkę z siostrą. Nie mniejszą radość okazują pozostali sąsiedzi - każdy ciekawy.

Zadają pytania, uśmiechają się, śmieją. Nikt nie zwraca uwagi na „świdry” "Zyz von D<sub>r</sub>yndy".

Dopuszczony wreszcie do głosu Zdzich <sup>(mq)</sup> niewiele do powiedzenia. Ujęty już w pierwszym dniu ucieczki, znaleziony w pustym wagonie towarowym,

dołączony do transportu, jedzie

1. Nie palić

2. O co chodzi, dziewczynko?

z nimi cały czas, pod specjalną - ma się rozumieć - eskortą, nawet nie prześladowany.

Po powrocie do wagonu otrzymuje na powrót funkcję starszego, znajduje się jednak pod obserwacją. Zamiast młodych Tomczyckich towarzyszą mu po przydział żywności dwaj strażnicy.

Eszelon podąża wciąż w niewiadomym kierunku, dni i noce zlewają się w jedno. Mijane stacje noszą obce napisy - pierwsza nauka języka rosyjskiego dla większości.

Emilka - niegdyś pilna uczennica - stara się zapamiętywać ich brzmienie, dla pewności notując w zeszycie.

Pociąg pędzi bez tchu, zatrzymując się z rzadka, co zmusza ludzi do racjonowania nie tylko żywności, lecz i wody do picia. O myciu nie ma nawet mowy. Mimo otworów okiennych, panuje zaduch. Od strony wiadomego kanalik zalatuje moczem.

Każdy postój witają, n'by/zbawienie. Kto żyw pędzi po wodę, po kipiatak. Wszyscy usiłują, zdobyć jak najwięcej "rodków" do przetrwania.

Szczególną inicjatywę przejawia w tym zakresie jadąca w sąsiednim wagonie matka pięciorga drobiazgu, żona szewca, człowieka nieruchawego jak grzyb, usiłująca przodować w tym wyścigu o życie.

Jeszcze pociąg w biegu, jeszcze drzwi zaryglowane a ona - wychylona do granic możliwości z okienka - nawołuje w kierunku zawsze obecnych tubylców, których próbuje skokietować językiem "rosyjskim".

- Ludzie dobryje! Macie mlako? Przedajcie! My porządnyje ludzie! Jak Boga kocham! My nie komunisty!

- A to im się przymiliła! - sarka ktoś i wszyscy wybuchają śmiechem. Niekiedy istotnie udaje się kupić mleka od miejscowej ludności. Aby dokonać transakcji należy spuścić najpierw na sznurku pustą butelkę /lub inne naczynie/, wciągnąć z powrotem napełnioną, na koniec rzucić pieniądze.

Zdarza się to rzadko, transport nie czeka. Mknie dniami i nocami, śpiesząc wyraźnie, czyniąc dzień podobny do dnia, noc do nocy.

Pocztą pantoflowa donosi niekiedy o czyjejs śmierci, o porzucaniu ciał na szlaku. W wagonie Wiktorii - odpukać - nie jest tak tragicznie. *Ten i swęple się czuje, okresowo zapada na zdrowiu, lecz wszyscy żyją! Wszyscy zapragnęci najważniejszym i czasem oraz celem tej jazdy.*

Obserwacja słońca początkowo sugeruje kierunek wschodni. Potem

transport zbacza lekko na północ. Mija Orszę, staje w Wielkich Łukach.

WIELKIE ŁUKI - zapisuje Emilka w zeszycie a potem przygląda się ciekawie stojącym na peronie kobietom. Ubrane w niezmiernie długie sarafany, trzymają w rękach kosze z prowiantem. Niektóre już handlują. Trzeba się spieszyć, pociąg nie czeka zbyt długo. Znow pędzi na łeb-na szyję, szamocze ludźmi, grzmoci kołami o zdezelowane szyny.

Emilka z Leszkiem klęczą w otworze okiennym. Na mijanej stacji - napis: "ВОЛГА". I, niemal natychmiast, rozpościera się przed nimi wielka połać wodna.

- Mamusiu, jak to się czyta? - Emilka kreśli zapamiętane znaki w zeszycie. - Ach, Wołga! Więc to jest Wołga...

Migają wiązania mostu, pociąg przecina rzekę. Już jest po drugiej stronie. Wciąż gna na północny wschód. Minawszy Jarosław i Wołogdę, skręca jeszcze ostrzej ku północy, na rozległe, puste, nie zamieszkałe tereny, od których wieje przygniatającym smutkiem i niepokojem.

*(coraz częściej)*

Ci z dolnych prycz wpraszają się na górne.

- Dajcie choć popatrzeć na świat Boży, bo u nas to jak w puszcze po konserwie.

Lecz ów świat Boży wokoło to tylko *bezkresne* nieużytki. Martwa pustka, wśród której migają kiedy niekiedy skąpe kępy lasów. *Odludzie* takie, że *wszelka myślo ucieczce traci sens*. Odryglowane na krótkim postoju w polu drzwi, pozostają otwarte. Można je teraz rozsuwać w trakcie jazdy, patrzeć do woli, wdychać świeże powietrze.

Transport pędzi nieprzerwanie ku północy. Wśród ludzi narasta przygnębienie. Nawet "Zyz von Brynda" *"świdruje"* z mniejszym zaangażowaniem. Po minięciu stacji Bołogoje, w powietrzu zachodzi gwałtowna zmiana. Jest jakieś odmienne. Mokre-nie mokre; dziwne. I nieprzyjazne.

Emilka czuje nagle silne ukłucie w wystawionym przez okno łokciu. Odruchowo trzepie w to miejsce dłonią a po chwili przygląda się, zdumiona, niezwykle wielkiemu, rozgniecionemu komarowi. Ukłuta ręka puchnie w oczach, piekąc i swędząc straszliwie.

Wszyscy - szczerze przejęci - udzielają "zbawiennych" rad.

- Przemyć koniecznie spirytusem !

- Tylko skąd go wziąć?

- W takim razie zimny kompres!

Emilka przykłada kompres, *ani podejrzewając*, że niebawem na tego rodzaju drobiazgi nie będzie zwracać najmniejszej uwagi.

W miarę posuwania się - wciąż na północ - zaczynają zaskakująco jaśnieć noce. Nie są po prostu prawdziwie ciemne. Jeszcze trochę i kończą się zupełnie. Nie zapadają po dniu.

- Białe noce! Białe noce! - niesie się wzdłuż eszelonu. Ludzie są podnieceni, przeczuwają jakąś zmianę.

Zmiana następuje rzeczywiście. Transport zatrzymuje się, strażnicy wzywają starszych wagonów na zebranie, podczas którego cała reszta wychodzi ze skóry. Wiadomości są niegorsze, *Zanosz* się na koniec podróży.

Najbliższa stacja to Kotlas. Ostatnia stacja kolejowa wysunięta

najdalej na północ. Stamtąd do Archangielska można już tylko płynąć Dwiną. Tak więc cel bliski, acz wciąż niewiadomy.

- A dalej? Co z nami dalej?

- Powiedzą na miejscu, to jest w Kotłasie. Jeszcze trochę cierpliwości - odpowiada Zdzych.

Pociąg rusza. *Wśród* ludzi podniecenie, ale i popłoch.

No gdzież ten Kotłas? Gdzie? Dostyc tej beznadziejnej jazdy! Chcą wiedzieć. Nareszcie wiedzieć, co ich czeka.

Kotłas sprawia dziwne wrażenie. Cały drewniany. Domki, chodniki i jezdnie - wszystko z drewna. Niezliczone kroki szurają, dudnią o deski.

Idą... Kroczą - jeden za drugim, rodzina za rodziną, dźwigają toboły, walizy, kufry. Wloką się... Zatrzymuje ich wysoki, urwisty brzeg ogromnej, szeroko rozlanej Dwiny..

Daleko w dole, na rozległej, błyszczącej w słońcu wodnej przestrzeni kołysze się na fali wielka barka, o której od razu - nie wiadomo skąd - wszyscy wiedzą, że czeka na nich. Po drugiej stronie - gęste, ciemne pasmo lasów. *Wrażenie potężne.*

Nikt nie myśli o odpoczynku. Nikt nie odczuwa zmęczenia. Przybysze z odległych stron patrzą bez tchu, zafascynowani imponującym widokiem.

- Bez porównania większa, niż Wisła - konstatuje Emilka z przykrością i nagle obudzoną tęsknotą. Rzeka - olbrzym, groźna, nieprzyjazna, obca.

- Masz, Joachimie, twój sen - myśli Wiktoria. - Stoję nad przepaścią. Razem z dziećmi, bez ciebie. Niedługo tam się znajdę. Czyżbyś naprawdę odszedł już do ojca? Och nie, nie opuszczaj nas, Joachimie! Nie opuszczaj! Gdy pierwsza impresja osłabnie, w tłumie wytwarza się zamęt. Jedni siadają na trawie, odpoczywają. Niektórzy schodzą w dół po stromiźnie skarpy aż nad wodę, kąpią się, pluskają. Inni tylko ochlapują się przy brzegu. W jednej chwili wzdłuż rzeki formuje się wielkie obozowisko - wagon obok wagonu, znajomi skupieni koło siebie. Rozmawiają, posilają się, drzemają.

Wtem z dołu, od rzeki niesie się krzyk. Jakiś mężczyzna, podobno Żyd, utonął w Dwinie!

Zanim zdążą ochłonąć, pantoflowa poczta wnosi poprawkę.

- Nie utonął. Uciekł!

Wznieca to spory, zdania są podzielone.

- Trzeba być idiotą, żeby t u t a j uciekać! Dokąd?

- To kaczka! Na pewno nie żyje!

- Spójrzcie na jego żonę. Nie widać, żeby rozpaczała!

- Nie lamentujcie. On żyje!

- Skądże! Tak jej widocznie zależy na mężu! Cieszy się, że się go pozbyła!

Po paru godzinach barka podpływa do brzegu, z którym łączy ją teraz dwie kładki. W koczującej ciżbie wybucha wrzenie, ludzie krzyczą.

Każdy chce się zabrać w pierwszą kolejności. Bo okazuje się, że wszyscy na raz się nie zmieszczą.

Strażnicy wywołują starszych wagonów, tłum przycicha. Czeka.

Zdzich wraca z zadowoloną miną.

- Udało się. Idziemy na pierwszy rzut!

Wybrańcy losu zrywają się pośpiesznie, chwytają bagaże, forsują zbocze; byle prędzej, żeby zająć lepsze miejsce!

Wiktoria niesie na rękę Inge, córki dźwigają część dobytku. Reszty pilnuje Leszek. Dziewczęta schodzą dość zgrabnie, Wiktorii dziecko przesłania widoczność. Zatrzymuje się, niezdecydowana. Konrad Tomczycki kładzie swój bagaż, podchodzi do niej, pomaga zejść, podprowadza do trapu, zawraca. Wiktoria stoi, patrząc z lękiem na wąską, nie zabezpieczoną poręczami kładkę. Dwie, zbite poprzecznymi listwami deski, nie budzą zaufania.

- A jeśli się zachwieję, wypuszczę dziecko z rąk? - nie ma odwagi wejść. Cofa się przezornie i czeka. Objuczone pakunkami Dorota z Emilką stoją obok, nie kwapiąc z wejściem na pokład. Przyglądają się, jak dowódca transportu przekazuje wsiadającym kolejno, według listy, człowiekowi w mundurze, którego tytułuje rajkomendantem.

Emilka, pierwsza zdobywszy się na odwagę, podchodzi do trapu. Dźwiga



dwie największe walizy, zgięta w pół, przerażona oczekującą ją przeprawą. Wygląda tak wzruszająco, że rajkomendant wyciąga rękę, by jej pomóc, co dziewczyna *kwituje* gniewnym prychnięciem. Nienawidzi go całym sercem. Nie potrzebuje łaski wroga! - przechodzi zgrabnie, wspomóżona własną złością.

Wiktorii nie może ryzykować. Inga to nie walizka. Przyjmuje pomocną dłoń Rosjanina a nawet mu grzecznie, po rosyjsku, dziękuje. Stojąc u szczytu biegnących w głąb barki schodów, obok niewielkich drzwi po prawej ręce, próbuje je otworzyć. Stwierdza jedynie, że to ubikacja i już napierający z tyłu zmuszają ją do zejścia w dół, pod płaski dach zawieszony ponad deskami pokładu.

*Bardzo* tu przestronnie, miejsca dużo, lecz w nozdrza uderza przykry, sładziowy odór. *Cała podłoga wolna,* można się na niej *sadowić.* Można się również przyzwyczaić do smrodu.

Wiktorii plasuje się zrazu przy ścianie, lecz postawiwszy Inge i rozejrzawszy, *przechodzi* na środek, w pobliże prostokątnego otworu w dachu, opatrzonego w otwartą teraz na oścież klapę - źródło światła i powietrza. Dziewczęta składają tu bagaże, po czym wracają po resztę i po Leszka.

Barka wypełnia się błyskawicznie. *Nie widać nawet skrawka pokładu.*

Z wyjątkiem wąziutkiej przesieki po środku, biegnącej wzdłuż, od krańca do krańca, wyznaczonej ułożonymi równo bagażami.

Ciekawski Leszek znika na jakiś czas, myszkuje po nowym terenie i powraca z wiadomością, że po obu stronach statku znajdują się prowadzące na dach, dodatkowe schodki. Zanim Wiktorii zdąży zareagować, oddala się ponownie, aby po chwili ukazać się w górnym otworze.

- A kuku! - woła, zadowolony z siebie.

- Zejdź mi zaraz! - *denerwuje się Wiktorii.* - Spadniesz!

- Nie spadnę. Tu są poręczce dookoła! - broni się Leszek, lecz posłusznie schodzi na dół, skąd zerka zazdrośnie na inne chłopięce twarze, wychylone figlarnie z dachowego okna, jakby to była wycieczka krajoznawcza.

Na dole panuje nieopisany ścisk. Miejsca jest tyle tylko, by kucnąć, toteż nikt - z wyjątkiem małych dzieci rozłożonych na bagażach - nie śpi. Barka płynie wolno, od wody ciągnie chłód. Cichną rozmowy.

W ciszy tym wyraźniej słychać ożywioną polemikę między sąsiadującymi z sobą - Żydem Rubinem i profesorem matematyki, Kuferskim. Wszyscy mimowoli słuchają, coraz bardziej zaciekawieni, nawet zaangażowani. Polacy po stronie matematyka, *Semiá*-kontra.

Dyskusja przeradza się w zaciekły spór. Padają argumenty i kontrargumenty: *tych* przeciwko *tamtym*. Polacy wnoszą pretensje o żerowanie na ich prostolinijności, o ciemne geszefty, nawet o rzekome dodawanie kropli krwi chrześcijańskich dzieci do paschalnej macy, co szczególnie oburza starozakonnych, rozżalonych z powodu dyskryminacji rasowej, poniżania, obśmiewania, odtrącenia. Robi się gorąco. Jedni usiłują przekrzyczeć drugich.

Emilka nie może tego dłużej znieść. Wymyka się cichutko na dach, gdzie - mimo lekko stożkowatego kształtu - można bezpiecznie, w pozycji leżącej, drzemać. Ułożona na jednej pole swego gimnazjalnego płaszcza, okryta drugą, zasypia nadspodziewanie łatwo. Jest tu więcej młodzieży. Jedni śpią, inni stoją, oparci o barierę, przyglądając się krajobrazowi.

*Na dole dysputa trwa już* tylko między najwytrwalszymi: profesorem a Rubinem. i wygląda na to, że skończy się polubownie.

No bo jeśli obie nacje wierzą w tego samego Jahwe-Dawcę Dekalogu-Ojca Jezusa Chrystusa, to już jest punkt do porozumienia. Szkopuł

w tym, iż Rubin nie ustępuje w kwestii wyższości judaizmu nad chrześcijaństwem, który z tegoż czerpie.

- Kto jest bardziej szacowny, panie Kuferski? Starszy brat czy młodszy? Ojciec czy syn? Mężczyzna czy chłopiec?. Skoro się zgadzamy, że *W A S Z E* korzenie tkwią w *N A B Z Y C H* świętych księgach, no to co ja dalej mogę

Ja nie muszę nic więcej tłumaczyć. Pan jest mądry człowiek.  
Pan się ze mną zgadza, szacowny panie?

Matematyk długo myśli, zanim odpowie, że sedno tkwi w negacji bóstwa Jezusa Chrystusa, co dowodzi, iż naród izraelski - już prawie dwa tysiące lat temu - utracił łaskę Jahwe, który odebrał mu zdrowy rozsądek do tego stopnia, iż - podobnie jak Adam i Ewa w raju - uległ podszeptom szatańskim i wzgardził Wyczekiwanym przez cztery tysiące lat.

Rubin trwa w milczeniu, z przymkniętymi powiekami, bite pół godziny, zanim z namysłem odpowie.

- Ja sam się bardzo boję, panie Kuferski, że kiedy nasz Mesjasz wreszcie się narodzi, będzie podobny do waszego Jezusa, który jest przecież Żydem. I ja, panie Kuferski, nie wykluczam, że naród wybrany został za-  
lepiiony przez szatana. To chytra bestia, ten upadły Anioł! Skąd my możemy wiedzieć, jakich sposobów użył na Ewę?

Przecież oni WSZYSCY - na początku Czasu - byli Duchami, proszę pana, co łatwo dowieść, bo tylko duch bez ciała fizycznego nie odczuwa cierpienia. Anioły, bez wątpienia, były to duchy wyższe od Adama i Ewy. Dlatego kobieta tak łatwo uległa jednemu z nich, choćby i strąconemu do szeolu, o czym nie musiała jeszcze wiedzieć. Ona mogła przypuszczać, że kusiciel przemawia w imieniu samego Jahwe. Tak czy nie? I poznała  
TAJEMNICĘ BOSKĄ, którą - jako dobra żona - dzieli się z Adamem, przez co oboje dostają ciała fizyczne, skazane na ból i głód, i chłód. I wiesz pan co, panie profesorze. Ja się poważnie obawiam, że otwo piekło upadłych Aniołów to nic innego, jak tylko ciała. Nasze marne opakowania.

- No, to już przesada! - oponuje matematyk.

- Gdzie przesada! Jaka przesada! A czy pan sam się nie zetknął z takim diabłem w ludzkim ciele? A ten Hitler?! A chapuny!? Panie Kuferski, ja mówię panu, że to pasuje. W jednych ciałach - zbuntowani przeciwko Jahwe, w innych - potomkowie Adama i Ewy. I po co im były potrzebne ciała,

ja się pytam, panie profesorze. Czy pan się ze mną zgadasz?  
Na szczęście większość sąsiadów drzemie, dyskusja powoli wygasa. Obaj  
oponenci przymykają oczy.

Emilka, pokrzepiona krótkim snem, budzi się ścierpnięta i - nie zmieniając  
pozycji patrzy przed siebie, gdzieś po linię nieboskłonu zanu-  
rzonego w umykających wodach Dwiny. Właśnie w tej chwi-  
li znika w nich, zda się, słońce.

- Co to, ~~ZACHÓD~~ słońca?! - zdumiewa się a w sekundę później otwiera  
z wrażenia usta, gdyż jaśniejąca kula n a t y c h m i a s t /! /wychy-  
ła się po przeciwnej stronie horyzontu.

- WZESZŁO? - Emilka zrywa się na równe nogi, zachwycona i oszołomio-  
na. - Wschód i zachód słońca równocześnie! Nigdy  
o tym nawet nie czytała! - Trzyma się kurczowo bariery pomostu, olśnio-  
na roztaczającym się wokół pięknem, sama pośród uśpionych.

Rzeka szeroka, <sup>połykliwa</sup> rozległa niby morze, zawieszona ponad nią kupała nieba-  
- błękitna z odcieniem ciemnego i jasnego różu oraz seledynu - zlewa-  
jąca się z posrebrzoną u brzegów falą... Przelewają się w niej i  
pulsują łagodnie, mieniając i przenikając, niezliczone barwy - całość  
w obramowaniu odległych, ciemnozielonych smug leśnych.

Zachwył Emilki stopniowo przeobraża się w smutek, nawet niechęć. W końcu  
wyrzuca sobie coś w rodzaju zdrady. Czy ma prawo - ona, Polka, siłą uwie-  
ziona z własnego kraju, podziwiać to narzucone piękno? Czy piękno może  
być wrogiem? - Skrzypnięcie drzwi kajuty rajkomendanta odwraca jej uwa-  
gę od krajobrazu. Patrzy z niedowierzaniem, z przerażeniem, z oburzeniem,  
Wierzyć oczom czy się uszczypnąć?

Z kwatery Rosjanina wychodzi na pomost młoda, ładna dziewczyna z trans-  
portu. Prędko, gnąwszy się leniwie, znika <sup>z powrotem</sup> w kajucie, ziewając...  
szeroko. Była naga pod narzuconym na ramiona, muniolukowym  
płaszczem!

Emilka jest wzburzona. Ani chwili dłużej w tym okropnym miejscu! - Odchr-

dzi pośpiesznie na dół. Po drodze znajduje obskórą kabinę sanitarną -  
prymitywną, zbitą z dech kłite -  
a zorientowawszy się, że drugiej na barce nie ma, radzi swym bliskim  
skorzystać z niej zawczasu.

Rada to zbawienna. Zanim minie godzina, do budki ustawi się nie kończąca się przez cały dzień kolejka cierpiętników. Wielu dokucza rozstrój żołądka - zjawisko tak powszechne, że każdy musi stawać w ogonku wielokrotnie.

Także zapobiegliwa Dorota spędza czas w kolejce, zajmując miejsca dla członków rodziny, co okazuje się posunięciem iście strategicznym.

Słońce traci blask a może po prostu się chowa, doświadczenie, że niebo szarzeje, gdy sunąca leniwie barka skręca do brzegu, ku zakotwiczonej tam barce-przystani. Napis namalowany na burcie i na desce przymocowanej do wko-

panego w brzeg pala głosi, że miejsce to nazywa się Siewtra. Zmęczeni całonocnym i całodziennym przymusowym czuwaniem, ludzie z prawdziwą ulgą witają koniec uciążliwej przeprawy. Na łódz schodzą wolno, atakowani

rojami drobniutkich muszek czy meszek. Nasycając ruchomą, czernią całą przestrzeń, oblepiają twarze, szyje i ręce, wciskają pod ubrania, <sup>(do ust, oczu, nosów.)</sup> są też komary - wielkie, bzykające namolnie, napastliwe „samolociki”. Wilgotne powietrze drży, brzęczy, dzwoni.

Roztasowany, byle jak na brzegu w mgnieniu oka pokrywa czarny, swędzący, żywy kożuch meszki-plagi tych okolic. Na nic opędzanie się i drapanie. Tylko pogarsza sprawę. To skandal! Czyżby ich miano zostawić tu, nad tą szeroko rozlaną Dwiną, pośród gęstej, złowrogoj tajgi? Czyżby to już punkt docelowy? - Pani Mańska zaczyna wymyślać i złorzeczyć.

- A gdzież to te bolszewickie swołoczki nas przywieźli, prosto do piekła! Oj, doczekają się za swoje, doczekają!

Wszyscy przyznają jej w duchu rację, nikt jednak nie ma <sup>(lub siły)</sup> odwagi przyłączyć się do niej - każdy zdrożony, przygnębiony albo chory.

Emilka czuje się okropnie, wstrząsają ją dreszcze - najprawdopodobniej skutek noclegu na dachu. Jest tak słaba, że kładzie się na nabrzeżnych kamieniach, niezdolna do oganiania się przed meszką i komarami.

Robi to Wiktoria, nachylona nad córką trwożnie, badająca dłonią

rozpalone gorączką czoło, odgarniająca bujne, wijące się w naturalnych lokach, ciemne włosy.

Usadowiona na kamieniu, obok siostry, wymachująca obronnie łapkami, Inga powtarza współczująco raz po raz:

- Milka chola, biedna Milka.

Raptem wszystkich elektryzuje anonimowego pochodzenia informacja.

- Dalej idziemy pieszo. Podobno osiemnaście kilometrów.

Ludzie są przerażeni. Jak to dalej! G d z i e dalej!? Przecież tu las naokoło!

- Raczej tajga - poprawia profesor Kuferski. - To jest tajga archangielska na kilkaset kilometrów we wszystkie strony. Może mają tu jakieś ośrodki?

Wiadomość o kolejnym etapie okazuje się prawdziwa. Niebawem nad brzegiem Dwiny pojawią się olbrzymie, ciągnione przez traktor sanie.

- Sanie w lecie?

Sanie, jak się przekonają, są dla tych okolic najodpowiedniejszym środkiem lokomocji o każdej porze roku. Zimą ze względu na śniegi, latem, bo podmokły grunt.

Na saniach przybywa Ważna Osobistość - osobnik w mundurze NKWD, któremu rajkomendant przekazuje listy spisowe wraz z żywymi załącznikami, po czym pada rozkaz ładowania wszystkiego, co najcięższe.

Obciążone po granice wytrzymałości sanie ruszają bez zwłoki a za nimi, przy dźwiękach monotonnej muzyki

owadziej, sunie karawana pieszych. Zagłębieni w leśny dukt wiedący poprzez wąski wyręb między dwoma niebotycznymi ścianami tajgi, wloką się z wysiłkiem, dźwigając tobołki i dzieci. Nogi grzęzną - podobnie jak płoczy sań - w podmiękkłym trawiastym podłożu.

- Widzisz? Koła by utknęły - mówi Emilka do podtrzymującej ją Doroty i zatacza się. Dorota upuszcza tobołek niesiony w drugiej ręce, podtrzymuje siostrę. Leszek - również obciążony drobiazgami - kroczy z wysiłkiem, Wiktoria

dźwiga Inge. Żadno z nich nie ma już sił oganiać się przed meszką. Wiktorii omdlewają ramiona. Potyka się o wystające tu i ówdzie kornienie, z coraz większym wysiłkiem wyciąga zapadające się w wykrotach,

spuchnięte, bolące nogi. Szczęśliwym trafem kroczy tuż za saniami na których dostrzega skrawek miejsca pośród rzeczy. Sadowi tam Inge, którą już tylko podtrzymuje, chroniąc przed upadkiem. Co za ulga! Sanie suną wolniutko. Emilka chwyta się ich brzegu, wlecze obok matki ostatkiem sił.

Wtem jakaś *kobieta* przedziera się na czoło pochodu, wrzeszcząc histerycznie.

- Ja jestem chora! Jestem słaba! Ja muszę jechać! Niech pani zaraz zabiera ten dzieciak. *Un* ma młode nogi!

Zanim Wiktorcia zdąży zareagować, zbliża się pani Krzycka ze swym głupim Arkiem, uśmiechniętym boleściwie i bardzo wychudzonym.

- A-lek po-nie-sie! A-lek lu-bi I-nę. Chodź! - wyciąga ramiona a Inga odwzajemnia się mu bez namysłu. Obejmuje go czule i ufnie za szyję i tak ruszają. Miejsce Ingi zajmuje *obca*, co udaje się jej w ostatniej chwili, ponieważ sanie nagle nabierają szybkości. Suną teraz, oddalone od pieszych, parę metrów. Kobieta siedząca na bagażach kiwa się coraz mocniej, najwyraźniej przysypia. *(A może ślabnie?)* Wtem sanie podskakują mocno na wykrocie i wszyscy widzą ją, spadającą na ziemię. Widzą także, jak płoza sań prześlizguje się gładko po jej szyi i widzą leżącą bez życia, z odrzuconą w tył głową. A potem patrzą, skamieniali, na trójkę dzieci, które płaczą w głos nad zwłokami matki.

NKW-dzista na saniach, które natychmiast zatrzymuje, klunie głośno, każe przywiązać trupa do bagaży, po czym - jakby zły z powodu straty czasu - nagli do pośpiechu.

Przybici, wstrząśnięci tą niepotrzebną, tragiczną śmiercią, bez słowa docierają do przydrożnej polany, na której NKW-dzista zarządza rozładowanie sań i postój. Zaraz potem odjeżdża.

Po środku polanki stoi drewniana budka, obok ławka z drzewnego kłosa.

Do świerku-przymocowana deska, na niej napis:  
„Siadzi, zakuri.”<sup>1</sup> Mało kto go rozumie, niemal nikt nie zauważa.

Padają na bujną trawę; wpatrzeni w leśny trakt, którym odjechały traktorne sanie. Tam, gdzie zbczyły, <sup>w prawo!</sup> nie mogąc się zmieścić w tworzącym groblę przewężeniu, łączącym brzegi płynącego tamtędy strumienia, kędy biegnie wspomniany przez NKW-dzistę wyręb w kierunku na jakieś Treśniki.

Są sami. Po raz pierwszy od momentu aresztowania sami, bez dozoru, co wcale nie cieszy. Wokół głusza i, nie wróżąca niczego dobrego, tajga.

Przygnębiającą ciszę mąci jedynie owadzia kapela i szum odwiecznych drzew.

Zapiekły z nienawiści głos pani Mańskiej uderza w milczących, niby grom z jasnego nieba.

- Boże miłosierny. Na zgubę tu jesteśmy rzućeni! Na pastwę losu! Nikt tu po nas nie przyjdzie. Zginiemy marnie! Taki rodzaj śmierci dla nas, bandyci, obmyślili! Nawet kuli nie stracą. Nawet stryczka! Zeżrą nas żywcem te bolszewickie muchy; żeby je pokręciło!

Reakcja jest zaskakująca. Zewsząd rozlegają się - najpierw tłumione, potem głośnie - szloch, aż płacz staje się powszechny. Spoza budki, wysuwa się starzec - tubylec, biednie odziany, ze współczuciem w oczach.

Zaczyna mówić i płacz milknie. Wpatrują się w niego, wsłuchują w obce, niezrozumiałe słowa, zdumieni, lekko przestraszeni.

Wiktoria pojmuje wszystko. Postąpiwszy parę kroków do przodu, słucha i natychmiast tłumaczy.

- Wy nie płaczcie, biedniagi<sup>2</sup> - głos starca brzmi serdecznie. - Nie trzeba płakać. Wam jeszcze dobrze na białym świecie. Teraz lato i domy na was gotowe czekają niedaleczko. Kiedy - w tamtą będzie chyba wojnę - przywieźli tu waszych, nie było nic. Jeden las. Tak ich

przygnali i rzucili. I tak oni siedzieli, jak wy, i płakali. Noc przyszła, noc biała jak mleko a oni wciąż siedzą. A meszka

---

1. Usiądź i zapal.  
2. biedacy



oblepia, a komary kłują, a schronić się nie ma gdzie. A dzieci też małe są, trzebaż o schronieniu pomyśleć. Przestają oni płakać, narzekać, dawaj klecié szafasy, budki - na początek. A potem dawaj las rąbać. Tak i pobudowali baraki. Dla was, okazuje się. Widzicie, jak wam dobrze będzie?. Grunt to dach nad głową.

- No a oni? - pyta Wiktoria po rosyjsku. - Gdzie się oni podziali?

- Oni? Oni... Baraki po nich zostały, tyle korzyści - mówi posępnie starzec.

- Wyjechali!

- Tam, skąd się nie wraca.

- Wszyscy?!

- A wszyscy. Ale wy się nie martwcie. <sup>1</sup>Wam będzie dobrze. I kipiatielnia <sup>2</sup> tam jest, i stołowa <sup>3</sup> (bania), i <sup>4</sup> tiuma, i ambulatorium, i koman-  
dantura, i kulturnyj dom. <sup>5</sup>Życ nie umierać!

- Ale ONI! - nie ustępuje Wiktoria, zapominając o tłumaczeniu. - Dlaczego umarli?

- Głód nie ciotka. Ot, przechodzisz rankiem koło śmietnika, patrzysz - noga sterczy, nie rusza się. Polazł, widać, za jakimś ochłapem, tak i zmarło mu się. Nie miał siły z powrotem wyleźć, ot co. Słaby był naród, nienawykły. A jeszcze jak zima-matuszka przygrzała! Żaden wiosny nie doczekał.

Opowiadanie starca przygnębia ich tym bardziej, mimo to nikt już nie płacze. Zdżicha interesuje położenie wspomnianych baraków. Czy to bardzo daleko?

- Niedaleczko - śpieszy z wyjaśnieniem starzec. - Będzie ze trzy kilometry. Tam was osiedlą, tam-że <sup>6</sup> kagier. Znaczy - Korgowa. W stołowej można obiad kupić, w kipiatielni wrzátku nabrać - wszystko gotowe.

Nieco pocieszeni, uspokajają się. Nie zostaną tu, pod gołym niebem, dostaną mieszkania - niektórzy wpadają na pomysł przeprowadzenia natych-  
miastowego rekonesansu.

1 miejsce gdzie gotuje się wodę na wrzátok  
2 stołówka  
3 kaźnia

4 więzienie  
5 dom kultury  
6 ubóz

Emilka leży bezwładnie na trawie, gorączkuje. Wobec tego Dorota - zaopatrzona w parę rubli, czajnik oraz menażkę - udaje się do *każdu* w towarzystwie Leszka. Wracają po godzinie, bardzo podnieceni.

- Mamusiu - opowiadają, jedno przez drugie - kipiatielnia to taka specjalna buda. Tam tylko kipiatok gotują, to znaczy wodę. Można brać za darmo, ile się chce, z takiej wielgachnej beki z kranikiem. Ta pani, co pracuje w kipiatielni, to Polka z lutowego transportu, ona mówi...

- Dosyć gadania! - denerwuje się Wiktoria. - Pokażcie, co macie.

Po chwili dzieli między dzieci szarą, zawieszistą ciecz,

Indze i sobie pozostawiając najmniejszą porcję w menażce.

- Co to takiego? - pyta, karmiąc dziecko.

- Zacierka! - woła Leszek pałaszujący ze smakiem.

- Pół litra kosztuje dwadzieścia kopiejek - wtrąca Dorota - ale wzięliśmy tylko litr, bo menażka za mała - zwraca matce resztę pieniędzy. Skąpe racje niby-zacierki, uzupełnione sucharami oraz *wrzętkiem* stawiają ich na nogi. Sprawiają że przyschnięte niemal do kręgosłupów, puste żołądki przestają nękać uporczywym, bolesnym ssaniem.

Łaknienia nie odczuwa jedynie Emilka, zbyt chora, by jeść z apetytem.

Marząc *o* prawdziwym łóżku,

przysłuchuje się opowiadaniu ro-  
dzeństwa: o ustawionych w rząd barakach, o wielkich, szwendających się między nimi, wychudzonych psiskach, zupełnie niegroźnych mimo odrażającego wyglądu.

Starzec-tubylec, siedząc nieopodal, przygląda się Wiktorii życzliwie.

Wtem znika wśród traw, wsiąka w tajgę. Ku gromadzie zbliża się nieznajomy Rosjanin w mundurze, niezmiernie wysoki, o bardzo nieprzyjemnym wyrazie twarzy. Towarzyszy mu olbrzymi wilczur. Za nim suną wąskie, długie sanki ciągnięte przez dwie kobiety.

- Kto zna język rosyjski? - pyta a gdy wystąpi parę osób, dodaje

obcesowo:

- Gdzie trup?

Okazuje się, że wąskie sanie przeznaczone są dla zmarłej, którą przybyłe kobiety natychmiast zabierają, po czym zaczyna przemawiać NKW-dzista.

Jest to komendant obozu

Siewiernaja Korgowa/Korgowa Północna/, Mierżlewcew. Mówi krótko i zwięźle, jakby poszczekiwał.

- Przysłano was tutaj do pracy. Wy spiecpieriesiedleńcy. Póki co macie wolne. Zagospodarujcie się, Wtedy powiem, co dalej. A teraz bierzcie rzeczy i marsz za mną - odwraca się na pięcie i szybko oddala.